

TOM CCXXXX

SERYA 8

De.I.1
ROK 60

ZESZYT 715

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

LISTOPAD.

1900.

TOM IV.—ZESZYT 2.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka № 14.

1900.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
I. POWIEŚCI LUDOWE. (Szkice literackie i ohyczajowe),—przez A. Brücknera	201
II. NA SKRAWKU ZIEMI. Nowella, — przez Maryana Ga- walewicza	245
III. Z DZIEDZINY ŻYCIA ROLNICZEGO WE FRANCYI. — przez Władysława Grabskiego	276
IV. „MŁODA POLSKA“. Poezye, nowelle, fragmenta dramatów. MCM. Rysunki i układ St. Wyśpiańskiego, — przez Stanisława Kozłowskiego	295
V. WŚRÓD STEPÓW I JARÓW. Kultura przeddziejowa, — przez Ksawerego Chameca	305
VI. PAN BALCER W BRAZYLI. — III. POWRÓT — przez Ma- ryę Konopnicką,	336
VII. POGADANKA ARTYSTYCZNA. Obrazy Jacka Malczewskiego, — przez Stefana Popowskiego	355
VIII. PIŚMIENICTWO. Piekosiński: „Wiece, sejmiki, sejmy i przywileje ziemskie w Polsce wie- ków średnich“, Kraków, 1900, — przez A. R.	363
Leo Belmont: „Rymy i rytmy“. Wybór poezyi. Trzy tomy. Warszawa, 1900, — przez Z. D.	370
Mieczysław Gliński: „Poezye“, Warszawa, nakład Dubowskiego, 1901, — przez M. W.	374
IX. KRONIKA MIESIĘCZNA. Kilka uwag z powodu dnia Zadusznego. — Szkoły elementarne w Warszawie. — Sprawa odczytów w miastach pro- wincjonalnych.—Walka z ospą.—Przytułek dla rze- mieśników i robotników fabrycznych i nowa jego sie- dziba.—Bocznicza kolejowa w Zagłębiu Dąbrowskiem. — Nad świeżą mogiłą	375
X. WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE	389



De. II. 1.

POWIEŚCI LUDOWE.

(Szkice literackie i obyczajowe).

„Przypatrzcie się liliom polnym, jako rosna, nie pracują, ani przęda. A powiadam wam, iż ani Salomon we wszystkiej chwale swej nie był odziany, jako jedna z tych.“

Żadnem innem porównaniem nie określimy dokładniej, ani trafniej stosunku, zachodzącego między powieścią „ludową“ a artystyczną, jak właśnie tem, chociaż niewinna, jak lilie polne, powieść ludowa nigdy chyba nie była naiwną, a przytem bywała zmysłową, okrutną, przebiegłą, a tak realistyczną, że szczegółów drastyczniejszych i Zola chyba-by nigdy nie wymyślił.

Powieść tę powtarzały i kobiety, lecz wytworzyli ją na wschodzie, jak i na zachodzie, tylko mężczyźni, którzy nigdzie nie sponiewierali bardziej kobiety, jak w powieści wschodniej. W każdym jej szczególe przebija despotyzm paszy haremowego i wschodnia nienawiść i pogarda kobiety, dziecka płochego a złego, które w strasznej grozie utrzymywać należy; występki męskie są Bogu miłsze, niż cno-

ty niewieście. Wszystkiemu złemu kobieta daje początek: żona zdradza męża, macocha prześladowuje pasierbicę, a zwodzi i kusi pasierba, a baba zawsze złośliwa czarownica. Przy całej ich złości jednak, jakież to słabe stworzenia: wystarczy pojawienie się obcego mężczyzny, aby matka zaraz czyhała na życie syna, żona porzuciła męża, siostra wydawała brata; temat o zdradzie niewieściej niewyczerpany, o zdradzie męskiej ani nie tykany. I pojawia się dziwny dualizm: mężczyźni to niewiniątka, aniołki, święci—kobieta to szatan. lecz i szatan boi się kobiety. O prawach jej, o szacunku jakimś dla matki i żony wschodnia powieść ludowa ani wiedzieć nie chce; tylko na zachodzie często odnajdziemy kobiece typy szlachetne, wzniosłe, wzruszające. Próbowano nieraz umoralniać bajki, ażeby w nich, ku skażeniu umysłu dziecięcego, nie tryumfowali zawsze głupcy, Zagłoby itp.; przedewszystkiem należało-by jednak zmienić z gruntu ów typ niewieści, srogiego, zawziętego wroga albo korną owieczkę, liżącą rękę kata (bo tylko te krańce zna wschodnia powieść ludowa); należało-by przetrwżyć w człowieka, w towarzysza mężczyzny, nie jego tyrana lub pacholka. Sfałszowalibyśmy jednak i popsuli samą powieść, ów kwiat fantastyczny, o dziwnych barwach i szczególniejszej woni.

I jeszcze jedna jej nieprawda: wbrew przysłowiu: „nocna kukulka dzienną przekuka“, zwycięża w niej stale „cnota“ i mężczyzna karze „zdradę niewieścią“—ale to tylko w powieści; tak mści się naiwny ludek i nad djabłem, wetując w bajkach wyprowadzaniem go w pole rzeczywiste tryumfy biesa na świecie.

Powieść artystyczna bywa więc i sprawiedliwszą, i prawdziwszą zarazem, nie tak stronniczo upartą. W przeciwstawieniu do niej cechuje dalej powieść ludową krótkość a raczej oschłość pewna; powieść ta nie zna opisów; w analizy psychiczne się nie bawi; wątków składowych, intrygi zawikłanej nie znosi. Brak jej więc rozmaitości, fineryi, konsekwencyi; nie roztacza ona nigdy rozleglejszych widnokręgów, pelza raczej po ziemi; wprawdzie zachowuje jako tako lada pozory prawdopodobieństwa, fantastycznego czy realnego, lecz za to miesza z największym spokojem do rzeczy codziennych cudowność nadprzyrodzoną, aby znowu do zwykłego trybu wracać. Szczegóły wykonania zawiodą więc nasze oczekiwania, lecz pomysły powieści

i wybrednemu czytelnikowi zaimponować potrafią: czy to, gdy tworzy uludy fantastyczne, odbijające jaskrawo od nędzy istotnej; owe niewyczerpane mieszki z pieniędzmi, drzewo, na które i śmierć, i dyabła na wieki wsadzić można, zwierzęta i istoty o cudownej sile wiedzy i piękności; czy to, gdy z największym realizmem przerabia odwieczne temata o ludzkich żądzach i słabościach, nieszczęściach i przygodach, zbrodniach i cnotach, o nagłych przewrotach, spychających z tronów i wynoszących na nie; czy to wreszcie, gdy wyszydza i przedrzeźnia mądrość i ład tego świata, blaznowaniem głębszą pokrywając prawdę. Co się moralności tyczy, to wszelką odpowiedzialność za czyny zsuwa chętnie na ślepy traf losu, sprzyjający stale niezasłużonym, ale szczęśliwym, bo „lepszy łut szczęścia niżli funt rozumu;“ na przeznaczenie nieublagane, bo „co ma wisieć, nie utonie“: Edyp, Judasz, Grzegorz święty, pojma własne matki, Henryk zostanie cesarzem a Pelagiusz papieżem, choćby ich już w niemowlęctwie do wody lub zwierzętom porzucono, aby spełnienie wyroczni uchylić.

Podobnie jak autorowie tych powieści są nieznanii—tworzy je właśnie lud cały, jak wszelką prawdziwą epikę—tak występują i bohaterowie ich stale albo w początkach swych bez nazwy, miejsca, czasu, albo też zrzucają, w ciągu wędrówki przez wieki i narody, wszystko, coby pochodzenie ich zdradzać mogło. Wędrówki te, to znowa w powieści ludowej rys nadzwyczaj znamieny. Nam się wydaje, że dopiero w nowszych czasach powstała literatura wszechświatowa, że to od niedawna dopiero drukują Sienkiewicza i Tolstoja w Europie i w Ameryce równocześnie, a Żołą i Kiplinga w Indyach i Paryżu czytają.

Tymczasem, jak Wieki Średnie wyrobiły jednolitą naukę o tych samych poglądach, metodach i języku, tak powieść ludowa była już wtedy i dawniej międzynarodową w najściślejszym znaczeniu słowa i nie było jeszcze żadnej prasy drukarskiej ani wózka pocztowego na świecie, gdy już Kasia na prządkach opowiadała, co niegdyś Herodot z ust kapłanów egipskich zapisał, i tą samą bajką usypiała piastunka, w Sycylii czy na Kujawach, w Szkocji czy na Szląsku, swego pieszczocha.

Fakt stałego powtarzania się całkowitych wątków powieści i bajek po całym świecie wywołał znaczne nieporozumienie; przyczynę tego dziwnego zjawiska upatrywano bądź to w naturze ludzkiej, wszędzie i zawsze jednej, a więc i w tworcach wyobraźni się powtarzającej, bądź to w zapożyczaniu i w powtarzaniu bajki i powieści ludowej, wędrującej za słońcem, od Wschodu na Zachód, od Indji do Ameryki. Lecz jednolitość fantazyi nie wytłómaczy, dla czego nie tylko same motywa, ale, wbrew regule prawdopodobieństwa, i same

ich kombinacye, i każdy najdrobniejszy szczegół się powtarzają, tak, że samej powieści lub bajki nieraz ani poznać, czy ona pod biegunami czy pod równikiem, dziś czy przed wiekami, powstała. Również nie zadawała druga hipoteza, szukająca kolebki każdej niemal bajki i powieści w Indyi, przypisująca rozszerzenie się baśni po świecie wyprawom Macedończyka, pochodom krzyżowym lub pośrednictwu cyganów; lecz żelazny inwentarz bajek—jak o tem tradycye egipskie i mitologia grecka przekonywają—jest starszy, niż jakiegokolwiek styki z Indyą, niż sam buddyzm, a cóż dopiero cygani; to, co Kasia o kowalu albo o zakłętej królownie opowiada, opowiadał już Homer o swych bogach i półbogach.

Nie wierzymy więc ani w samorzutne, niezawisłe powstawanie wątków powieściowych u ludów najrozmaitszych, ani też w wyłączną indyjskość czy nawet specjalny buddyzm naszych bajek; węzeł gordyjski tylko Aleksandrom jednym zamachem rozcinać się godzi; my bądźmy skromniejsi i cierpliwsii. Decyzyę, co do zawilego a większego pytania ułatwi nam rozbiór pytania mniejszego; jak powstają i szerzą się bajki i tradycye, zrozumiemy, badając, jak powstają i szerzą się „powieści ludowe“, stojące z bajką w związku nierozzerwalnym. Z bajek i tradycyi wyłączamy bowiem te powieści, nie dla ich treści lub formy spływającej z bajkami nieraz całkowicie, lecz dla kryteriów innych, zewnętrznych, z powodu ich należenia np. do większej całości, z przyczyny pochodzenia ze źródła literackiego (choć samo źródło literackie znowu z tradycyi ludowej czerpało), z powodu szerzenia się drogą książkową, z przyczyny mniejszej ich różnorodności i odrębności.

O właściwem znaczeniu i pochodzeniu bajek (i powieści ludowych), krążą dotąd najdziwaczniejsze domysły. Umiejętność—romantyka braci Grimów, i dzisiejszych ich adeptów,—uważała w każdej tradycyi ludowej, w jej wątku i w jej bohaterach, dawne oryginalne mity i wierzenia narodowe, tłumaczyła każdą bajkę, nawet zwierzęcą, mitycznie: lis np. był dla niej symbolem zimy czy zniechętu, feryomorficznym, jak antropomorficznym symbolem była Jędrza; smok wielogłowy, to oblok, co porwał, zakrył królowę—słońce, ale żołnierz-piorun roztrzaskał oblok i wywiódł słońce; woda ożywiająca i przywracająca wzrok, to deszcz, orzeźwiający przyrodę, niesiony przez kruki-wiatry itd. Dzisiaj trudno uwierzyć, że poważna umiętność naszego wieku w taką ciuciubabkę na seryo się bawiła, lecz dziwołógów tych w umiętności naszej ani wykreślić, ani zaprzeczyć nie możemy; wartość zaś tego mityczno-symbolicznego wykładu jest taka sama, jak owego etyczno-symbolicznego komentarza, obiegającego

w Wiekach Średnich, kiedy to kaznodzieja te same bajki o lisie lub smoku walką naszą z grzechem i ciałem, krzyżem, czartem tłómaczył: przystrojono tylko stary błąd w nowe szaty, bardziej ludzące.

Wedle najnowszego tłómaczenia bajek i powieści, t. zw. etnograficznego, mają być wreszcie bajki fantastycznym odbiciem *p r a w d z i w e g o* niegdyś stanu rzeczy czy myśli: bajka o Psysze powstała, gdy już zapomniano, że to niegdyś wszyscy nowozaślubieni za dnia unikać się musieli i tylko nocą się widywali; bajka o Meluzynie, gdy w związku istot nadziemskich z ziemskimi silnie wierzone i tylko trwałości im nie przypisywano; w roli nawet, jaką zwierzęta stale w bajce odgrywają, upatrzono wpływu indyjskiej wiary istotnej. Lecz tłómaczenie etnograficzne, raczej akcesorya bajki, niż bajkę samą, objaśnia i kwestyi oryginalności, czy wędrówki bajek właściwie nie dotyka. Że fantazyja, nawet tworząc bajki, rysami obyczajowemi, materiałem z obserwacyi zaczerpniętym posługiwać się może, nie przeczy my; lecz zbyt nie odszukiwanie tych niegdyś za czasów dzikości i barbarzyństwa, faktycznych, a potem w przeżytkach dochowywanych i nierozumianych rysów prowadzi z wszelką pewnością na te same manowce, po których w bajkach o wężu i o zaklętej królownie, albo w anegdotach o Sowizdrzale, śladów i ułamków eposu mitycznego, walki światła i nocy, słońca i burzy, resztek kultu kamieni, roślin i zwierząt i tym podobnych arcyciekawych, lecz niemożliwych rzeczy na gwałt się doszukiwano.

Już samem owem oświetleniem jednostronnem stanowiska kobiety ujawnia powieść ludowa obczyzną, i nie powtórzymy już dziś za naszym romantykami:

O wieści gminna... w tobie lud składa...

S w y e h myśli przedzę i s w y e h uczuć kwiaty...

Gdyż główny zrab „wieści gminnej“ bywa pochodzenia obcego, a rodzimą jest nieraz tylko jej szata zewnętrzna, językowa, niektóre szczegóły i wiązania motywów.

Protestując przeciw romantycznemu hasłu o niepokalanej rodzi-
mości tradycyi ludowej, uchylamy za to kornie czolo przed jej sędzi-
wością: niema żadnego rodu na świecie, ani królewskiego nawet, któ-
ry-by genealogię swoją mógł tak daleko wstecz dokumentami auten-
tycznemi poświadcząć, jak byle jaka powieść lub bajka, a z dawno-
ścią wiekową licuje najlepiej ogrom obszaru, jaki one zwykle zaj-
mują.

Wykreślamy starannie drogi handlowe prastare; wykopaliska
monet rzymskich czy kufickich, to niby wiechy, wytykające zawiane
wiekami stacye pierwotne; mniej troszczymy się o drogi, któremi
kroczył najpopłatniejszy handel wymiany, handel bajkami i powie-
ściami, a szlaki te i ciekawsze są, i znamiennejsze; — monety zakopy-
wał przecież i zbój, i złodziej, nietylko prawy ich właściciel; bajka
zaś to towar zawsze legalny.

Towar ulegał jednak po różnych miejscach i czasach odmianom
w nazwiskach i szczegółach, nie zawsze też dopisywała pamięć; luźny
związek całości dopuszczał mechaniczne przenoszenie wątków z miej-
sca na miejsce, rozszerzanie, rozpychanie bajki. Ale towar sam oca-
łał, chociaż po drodze ponabierał najrozmaitszych stempli. Nie cie-
kawszego, jak śledzić w zapisanych dzisiaj z ust ludu naszego poda-
niach i powieściach stopy wschodnie, greckie, rzymskie.

Oto przykład. Opowiada sobie lud o królu Łokietku, jak on
wymierzał wysokość nieba i głębokość morza: siadł na orla i nad głó-
wą trzymał mu kawałek mięsa, że się orzeł coraz wyżej wznosił itd.
Czy to wymysł ludowy? Bynajmniej. Z drukowanej historyi pol-
skiej o Aleksandrze Macedończyku dowiedział się nasz ludek o tej
próbie, króla Łokietka przyplątał tak sobie, bo o Łokietku nieraz
opowiadał, a nieznanego gryfa orłem sobie zastąpił.

Jest to szczegół bardzo ważny, przez naszych historyków
z wielką dla ich badań szkodą zupełnie zapoznawany: nazwisko hi-
storyczne, czy topograficzne bajki w tradycję bynajmniej jeszcze nie
zamienia. W bajkę o niewiernej żonie wpleciono u nas w trzyna-
stym, czy czternastym wieku nazwy Tyńca i Wisława; otóż historycy
nasi kusili się o odtworzenie jakichś zamierzehłych dziejów, nie po-
mni, że Tyniec i Wisław dostali się do owej bajki, jak Łokietek do po-
dania o Macedończyku, że więc nazwy te niczego, żadnej tradycyi
nie dowodzą. Do najzwyczajszej bajki o smoku powtykał mistrz
Wincenty nazwy Kraka itd. i uwiódł kompletnie badaczy, upatrują-
cych w tej pustej bajce mit czy historyczną tradycję. Można nawet
zapytać, czy i rzekome tradycye historyczne o Piaście i Popielu,
o Przemysle i Libuszy, nie są raczej zwykłemi, pustemi bajkami, w któ-

re nazwy tradycyi czy pseudotradycyi później powplataną, czy raczej nie należy ich traktować, jak owego „podania“ Łokietkowego, i z tradycyi historycznej całkiem wyłączyć? Bajka zupełnie dowolnem przybieraniem nazw osób i miejscowości przedzierzga się więc w (pozorną) tradycyę: z faktem tym, bardzo dla historyka smutnym, bo usuwającym tradycyę, musimy stale się liczyć; inne przykłady przytoczymy niżej.

Lecz nietylko wątek powieściowy, nawet każdy szczegół jego, zwrot, przysłowie, zagadka itd., nabierają w ustach ludu samostnego życia i nie poznać po nich, że wyszły z głębokiej Azji lub południowej Francyi. Zapisują np. etnografowie nasi przysłowie ludowe: „kto się miesza w plewy, tego świnie zjedzą“, ani nie domyślając się, że to dosłowne tłumaczenie z łacińskiego Marcholta i przez polską książeczkę do ludu dotarło; inne przysłowia z greckiego Ezo-pa przywędrowały. Dawny autor przytacza na początku szesnastego wieku „przymowę pospólnego ludu“ (tj. przysłowie pospolite): „prawda przebija głowę“—ależ i to przysłowie łacińskie (prawdę mówiącemu głowę rozbijają), dodane do dziejów bożka-posągu, któremu głowę rozbito, aby prawdy nie powiedział. Jedna z najpiękniejszych zagadek ludu naszego (o rybach i wodzie—izbie, która oknem z sieci wycieka) poszła z romansu storogreckiego itd.

Zasila się więc „wieść gminna“, tradycya ludowa, wbrew fantazyom romantycznym, głównie ze źródeł obcych, stroi się w cudze piórka, praw autorskich nie zna żadnych, zabiera co się nawinie i spodobą bez wszelkiego wstydu; na kulturę ludową składają się więc tak samo żywioly obce, przywożne, jak na kulturę warstw wyższych. Jednem z głównych jej źródeł są właśnie powieści „ludowe“, wprawdzie nie przeznaczone pierwotnie tylko dla „ludu“, lecz z biegiem czasu w nim osiadające; powieści, dziś „ludowemi“ zwane, bo je już tylko lud czyta i opowiada, chociaż je pierwotnie warstwy oświecone przyjmowały. Powtarza się więc i tutaj zjawisko dobrze skąd inąd znane: co niegdyś rycerstwu, a głównie księżom i żakom służyło, opada z podnoszeniem się kultury na samo dno; facecye i zagadki, np., któremi się delectował oświecony szlachcic siedemnastego wieku, powtarza dziś tylko lud lub dziatwa.

„Powieści ludowe“ w tem ściślejszem znaczeniu są najrozmaitszej treści, powagi i pochodzenia. Jedne sięgają zamierzchłych początków ludzkości, drugie złożyły się ostatecznie w r. 1400 czy 1483; jedne z Indyi wyszły, drugie we Francyi wyrosły; jedne skupiają się około bohatera, rzeczywistego i wymyślnego, towarzysząc mu od kolebki do grobu; inne wtłoczone w jakąś ramkę sztuczną lub chodzą całkiem luźnie; jedne fantastyczne, drugie śmieszne; jedne przedrzeź-

niające świat i jego mądrość i ład, drugie moralizują na temat prawd odwiecznych. Cechą ich wspólną jest zawsze to, że autor ich nigdy nieznanymi: wyszły one rzeczywiście z łona ludu, a pierwszy autor nadawał im tylko formę literacką, redagował je niby, jak tak zwany „Homer“ Iliadę lub Odysseję, a „Ezop“ bajki zwierzęce; puszczone w obieg zdobywały potem świat cały.

Zwrócić uwagę na zapomniane, zaniedbane powieści ludowe, istniejące dziś tylko między ludem, w postaci nieraz bardzo zeszpeconej lub urywkowej, jest celem naszego szkicu. Nie należy bowiem zapominać, że z tych wzgardzonych powiastek urósł nasz romans dzisiejszy, że powiastki te olbrzymią rolę odegrały, zapładniając fantazyę malarzy i autorów, że siła ich żywotna niewyczerpana, że przetrwały one i przetrwają niejedno dzieło klasyczne; że naśladować ich, a cóż dopiero zastąpić, i najlepszy artysta nie zdoła; że obca im tendencya, pouczanie, czy satyra, w którą indywidualnie tworzący artystyzm niechybnie je upstrzy. Jeżeli cenimy i zbieramy np. zbroje rycerskie, odszukujemy po kościołach stare obrazy, rzeźby lub stalle, zachwycamy się grobowcem dawnym, nie zapominajmyż, że z powieściami ludowymi stawamy na gruncie średniowiecznym, nie poszlakowanym o żadne przeróbki czy fałszerstwa, prawdziwym, oryginalnym. Nie dziw więc, że np. romantycy niemieccy zachwycali się temi powieściami, że je wskrzeszali z zapomnienia zupełnego, a niezasłużonego, w jakim je wiek oświecony pogrążył, że je dramatyzowali (np. Fortunata lub Gryzeldę, taki Tieck i Halm), że je malował Schmid (Meluzynę), lecz na wieki przed nimi czerpali z powieści ludowej Boccaccio, Chancer, Szekspir, wprost czy z jej przeróbek, a po nich i niejednen dzisiejszy nowellista odwieczny temat na nowy ład opowiada i niejedno fait divers dzisiejszego dziennika za prastarą anegdotą ludową reporter powtarza. Rozchodziły się też powieści ludowe po wynałazku druku w niezliczonych wydaniach: takiego Sowizdrzała np. w ciągu lat 25 wydano w Niemczech samych z piętnaście razy (1515—1540), a na każdym jarmarku sprzedawano je setkami. Praw autorskich nikt sobie nie rościł, przedrukowywano baśni najdowolniej, zmieniając z czasem nazwiska, opuszczając zbyt drażliwe szczegóły, skracając nieco, odnawiając zwroty przestarzałe, opuszczając, czego już nie rozumiano, lecz zwykle pozostawiano dawny tekst nietkniętym. Drukarz warszawski, chełmiński, wadowicki powtarza dziś jeszcze tekst, ustalony niegdyś, np. w roku 1628; tak żywotną okazuje siłę ta tradycya. Mimo tej nadzwyczajnej ilości wydań i egzemplarzy wychodzą powieści ludowe nader rychło z obiegu; trzeba je coraz odnawiać; książeczki zawieruszają się ciągle. Nie miały one przecież dostępu do księżnicy pańskiej i klasztornej, lub

rychło go utraciły; kursowały między ludkiem miejskim i wiejskim i ginęły, zatłuszczone i zniszczone do niepoznania w grubych tych rękach. Stąd nadzwyczajna rzadkość wydań np. XVI wieku; u nas przynajmniej wyginęły one do szczętu, tak, że z bogatej ich liczby ledwie kilka egzemplarzyków ocalało, że musimy się ratować coraz późniejszymi, coraz gorszymi, niby to „poprawniejszymi, polerowanniejszymi“ ich wydaniem; że np. jedna z najzasobniejszych w dawne rzeczy polskie bibliotek krajowych ze stu lub kilkudziesięciu dawnych wydań (XVI i XVII-ego wieku). nie posiadała-by ani jednego egzemplarza, gdyby nie kucharz, czy lokaj, który ordynatowi jeden egzemplarz zaofiarował; inne jeszcze większe biblioteki nasze nie posiadają nawet i tego.

Lecz nie rzadkość stanowi ich cenę, polegającą głównie na tem, że przez całe wieki dla warstw najliczniejszych zastępowały wszelką belletrystykę, a raczej wszelki pokarm umysłowy, na co daremnie sarkali autorowie rzeczy poważnych, tj. nabożnych. Jak głęboko wpływ ten sięgał, poncza fakt, że główna osoba romansu francuskiego (Meluzyna), przeszła z powieści do samych wierzeń ludowych, że dziś jeszcze ofiaruje chłopek czeski chleb i sól, stawiając je na oknie lub na kole od płota, dla Meluzyny, wdychającej z wiatrem za dziatkami, aby mu gradem zboża nie stłukła; że ta sama Meluzyna francuska najpowszechniejszej postaci mitologii łżyckiej barw i kształtów użyczyła; że się w herbie Warszawy powtarza, że nawet na Czarnem morzu i na rzekach stepowych rusalka-Meluzyna się uwija, syrena, nietylko kształtem, jak francuska i warszawska, lecz od rusalek ukraińskich i mocy czarownego śpiewu nabywająca. Tu więc nie samo nazwisko tylko—jak w bogumińskiej Mamunie i zabobonach, do dziś u Polaków istniejących, a z Bałkanu przybyłych—do tradycyi się przedostało: co za rozczarowanie dla naszych mitologów!

W dawnych czasach wzmianki o powieściach takich, o ich szerzeniu między piśmiennym i niepiśmiennym ludem, są częste, w literaturze niemieckiej np. i czeskiej. Nie powtarzamy ich tutaj; w polskiej należą wzmianki o Marcholcie, Sowizdrzale, Twardowskim, również do pospolitych; zapiszmyż choć, że wojewoda Niesiołowski, wydając w r. 1745 najlichsze wiersze, upewnia, iż one czytelnikom krotchwili przydadzą „po Magiellonie, Baneluce“; lub ksiądz Kaz. Auspurger, pisząc „Historję o jednastu tysiącach dziewic“ (r. 1674) podkreśla prawdziwość owej historyi, podczas gdy nawet:

Fortunat z Meluzyną, fabuły zmyślone,
Mając dla próżnujących koncepta pieszczone,

u łatwowiernych wiarę wywołują. Albo autor satyry z czasów saskich (Malpa-człowiek) zapewnia, że nie nauczył się miłować z Magiellony, Banaluki, Argenidy i którejkolwiek innej miłosnej książeczki ¹⁾. W walce homerycznej, opisanej w „Organach,” wymienia Węgierski między pociskami, wybranemi z księgarni Jana, „romans miły Fortunata”, Banielukę, Magielonę i nazywa je w przypiskach „romansem nudnym, którego kartki bez ziewania czytać nie można,” „historya pozbawiona sensu, ledwie już podsędków jest zabawą”. Tak się zmieniły gusta i czasy. Nie przeszkadzało to, że dla pewnej publiczności niemal co rok te bajki odbijano, że czytelników nigdy im nie brakło.

Oprócz tego rozpowszechnienia, nie ustającego i po dziś dzień, imponuje nam słusznie sam fakt, że owe wzgardzone książeczki stanowią najznaczniejszy wkład literatury polskiej do ruskiej; delektował się Moskwa przez cały XVII wiek, a nawet i później, temi „fabułami”; przekładano tam z polskiego i przepisywano w zawody „Meluzynę”, „Magielonę”, „Historye rzymskie,” „Poncyana,” „Facecye,” itd., i nawet w bibliotece takiego Golicyna, faworyta Zofii, znajdujemy „Ottona”, a rękopisy ruskie XVII wieku zastępują nam nieraz zniszczone oryginały polskie; tak dla polskiej „Meluzyny”, „Magielony” lub „Historyi rzymskich,” posiadamy najdawniejsze i najlepsze wydania polskie właśnie w owych tłumaczeniach ruskich. Odegrały zatem owe książeczki znamioną rolę w rozwoju kultury, wprowadzając wpływy zachodnie do życia umysłowego ruskiego. Tak więc i wewnętrzna ich wartość i dzieje ich zewnętrzne, i niesłychana ich rzadkość składają się na to, abyśmy zarzucili jednostronne, niesprawiedliwe stanowisko wieku „oświeconego”, który u nas przez usta Śniadeckiego te „duby smalone”, te brednie ciemnego tłumu potępiał.

Szerzyły się powieści te między ludem ustnie i na piśmie; książdz na kazaniu, żak w „rzędzie” (biesiedzie karczemnej), powtarzali, co w skryptach łacińskich z baśni tych wyczytali; drukarz potem, Ungler i Wietor, o przekłady się starał, aby coś „krotofilnego” ludziom mało piśmiennym, szczególnież niewiastom, do rąk podać. Otóż przy-

¹⁾ Satyr pijara Piotrowskiego (z r. 1773), oskarża nowomodnych jurystów, że na całą ich bibliotekę składa się Meluzyna i Sennik, kalendarz z herbarzem.

klady tych dziś wzgardzonych i zapomnianych książeczek, czy powiastek ludowych, wywołały w dziejach piśmiennictwa narodowego całkowity przełom.

W Wiekach Średnich bowiem przekładano z obcych języków niemal dosłownie, nie troszcząc się wiele o sens, i wynik tych tłumaczeń był taki, że oryginalny łaciński czy niemiecki jest dla nas o wiele zrozumialszy, niż owa mniemana polszczyzna; haniebną tę metodę stosowano jeszcze i w początkach szesnastego wieku. W owych książeczkach i powiastkach dopiero wysilił się tłumacz, taki bakalarz Jan z Koszyczek np., na oddanie trafne nie słów, lecz sensu i myśli, i jego tłumaczenie Marchołta jest pierwszym tryumfem jędrnej prozy polskiej i polskiej sztuki tłumaczenia i raz na zawsze między wzorowe przekłady policzonem być musi: jego Marchołt, Poncyan i inne—to świetna proza polska, wyprzedzająca o dziesiątki lat i Orzechowskiego, i Reja. Otóż nowy tytuł powieści ludowej do zasługi i chwały, przynajmniej w literaturze naszej.

Przypominając te książeczki uwadze oświeconego ogółu naszego, żywimy nawet nadzieję, że miłośnicy dawnych rzeczy ojczystych, znawcy i zbieracze, zainteresują się nimi i wydobędą może z ukrycia, z pyłu i pleśni wiekowej, same ich egzemplarze lub choćby wzmianki o nich.

Lecz w jakim porządku mam je łaskawemu czytelnikowi przedstawić? Pewnie nie w alfabetycznym, tem mniej w chronologicznym, który-by rzeczy razem należące rozrywał. Ugrupujmy je wedle treści, a zaczniemy nie od najpoważniejszych mchem wiekowym, formą i rozpowszechnieniem po całym świecie, lecz od tych, które i w pamięci ludowej, i w dawnym piśmiennictwie narodowym, najgłębszą bródę wryły.

Jest para facecyonistów rubasznych, nieprzyzwoitych, szczególnie ten Sowizdrzał, co bierze u nas:

najwyższe miejsce za stołem.

Z wieku mu i z urzędu ten zaszyt należy.

My dziś o „Sowizdrzale“ — prócz nazwy, którą wszyscy rozumiemy — już nie wiele wiemy, chociaż lud sztuczki jego jeszcze sobie powtarza, np. w zbiorze p. Ciszewskiego „Krakowiacy“ (1894 r.), pięć anegdot o nim z jednej wsi (Smardzowice) zapisano.

„Sowizdrzał“ i „Faust“, to jedyne typy niemieckie w belletrystyce ludowej całego świata, coś niby Sanso Pansa i Don Kiszot, Falstaff i Hamlet; lwia część popularności przypadła naturalnie blaznowi. Popularność to bezprzykładna; znamy dziś jeszcze stokilkanaście wydań żartów jego, a ileż-to zaginęło bez śladu — między niemi i sam oryginał, napisany plattem (plattdeutsch), a przetłómaczony na „hochdeutsch“ około r. 1500, przez sławnego Tomasza Murnera, niegdys mistrza krakowskiego, franciszkanina strasburskiego, poe'tę i teologa, który kartami i szachami uczył logiki, praw i metryki, duchowienstwo i Lutra zwalczał, a Wergiliusza tłómaczył. Dopiero od tłómaczenia Murnerowego, wydanego w Strasburgu w r. 1515, powędrował „Sowizdrzał“ po świecie tak, że nazwisko jego typowem dla wszelkiego szalbierstwa się stało; u Francuzów do dziś *espieglerie*, *espieglerie*, z Eulenspiegel powstałe, toż oznacza; u ludu krakowskiego Sowizdrzała „wichrzycielem, awanturnikiem“ tłómaczą.

„Till Eulenspiegel“ — Ludek Sowizdrzał, gdybyśmy całe imię po polsku wyrażali, jedyny bohater w literaturze świata, Niższe Niemce reprezentujący, bo drugi, Onkel Brasig Reutera, do tej miary popularności, poza obrębem Niemiec i klas wykształconych, nigdy nie dorosł. Bohater ten, niby mściciel wszystkich wydziedziczonych i pokrzywdzonych, pospolicie nadrabia psotami i figlami tak nieestetycznymi i sprośnymi, humor jego niemiecki tak ciężki, ironia tak dotkliwa, że słusznie dziwimy się niewybrednemu smakowi Europy zachodniej i środkowej, lubującej się w jego fantazyach i dowcipach. Tylko między Włochami Eulenspiegel się nie przyjął, mieli tam oni swoich: Arletta, Gonellę, Bartolda i nie czuli potrzeby odmiany na gorsze. U nas za to rozgospodarował się Sowizdrzał w najlepsze, lepiej niż w Niemczech samych, chociaż naszemu charakterowi narodowemu wcale nie odpowiada, podczas gdy w Niemczech północnych Eulenspieglów pełno: z okien mieszkania obserwują nieraz ładnego chłopczyka-sierotę; psoty tego malca siedmioletniego całkiem są w stylu Eulenspiegla, więc i opowiadać ich nie można.

Któż to ten Till Eulenspiegel, Dyla Sowizdrzał? czy to osobistość historyczna? Niby tak; posiadamy przecież dotąd nagrobek je-

go „autentyczny“ w Mölln, skoro wszelkie inne miasta zaprotestowały przeciw wątpliwemu zaszczytowi przechowywania zwłok jego—odwrotnie, niż z Homerem, o którego kolebkę siedem miast za lby chodziło. Umarł on r. 1350 i pochowany w mieście Mölln, koło Lubeki, a urodził się (u Sowizdrzała odwracamy daty, chcąc się w jego „tonie“ utrzymać) we wsi Kneitlingen. Knetowicach, w Brunświckiem; bąki zbijał, niby rzemieślnik wędrowny, niby kuglarz, niby blazen, po całych północnych Niemczech, głównie Brunświku, Hannoveru, Lubeki i pobliskich miejscowości się dzierząc; znamy i ojca jego, Klause (tj. Mikołaja), Kulasa, i matkę Hankę, która go niby przeżyła, i ojca chrzestnego, Tyloka Lachowicza. Metryka była—by więc w zupełnym porządku, akt zgonu posiadamy niemal notaryalny, a mimo to, przeciw wszystkim badaczom, nie wierzę ani na chwilę w historyczność osoby i w pewnych tych datach widzę tylko nowe Sowizdrzałstwo.

Historycznem jest nazwisko; były rzeczywiście osoby, noszące je; występuje nawet w aktach radzieckich brunświckich „die Eulenspiegelsche“, uboga wdowa po jakimś tam Eulenspieglu; ale na tem już koniec. Na dowód rzekomej historyczności Eulenspiegla przytaczano nawet jego debiut krakowski u króla Kazimierza — tak plugawy niestety, że go ani w grubej obłonce wystawić nie możemy—bo mniemano, że mowa o Piastowiczu; tymczasem autor widocznie Jagiellończyka miał na myśli i dopuścił się, niejednego zresztą, anachronizmu.

Dowód niehistoryczności, fantastyczności Eulenspiegla widzimy już w tem, że zwala na niego autor pierwotne figle, których on nigdy nie popełniał, bo sposobów na to nie miał, np. jakoby w Bremie kumoszkom, z mlekiem na targ przybyłym, kazał był zlewać mleko do kadzi, potem z zapłatą zwlekał, a niechcącym czekać mleko napowrót odbierać kazał: kumoszki rzuciły się z garnkami do kadzi, garnki potłukły, mleko rozlały, poczuły się strasznie, a Sowizdrzałek, uśmiewszy się do zdechu, szczęśliwie umknął. Otóż wiemy z historyi, kto takiego figla rzeczywiście spletał: możny pan, książę szląski, Bolesław Drugi (Ziębicki-Munsterberski, zmarły r. 1342), we Wrocławiu tę szopkę urządził, on, który szkodę wynagrodzić mógł, dozorców targowych obawiać się nie potrzebował, a figle podobne passyami lubił. I o innych figlach wiemy, że one nie z Sowizdrzałskiej kuźni, np. jeżeli on na ratuszu w oknie kiwa, a posłuszna (wedle poprzedniej umowy) straganiarka wszystkie garnki tłucze—tak to on paniętom swej sztuki czarnoksięskiej dowodzi,—ale gdzież-by stać było owego plugawego chłopiska na potrzebne do tego grosze i na komitwę pańską? I tę sztukę policzył-bym na konto szląskiego Bolesława. Górnicki

1566 opowiada ją o mniemanym uczniu Twardowskiego, wyludzającym grosze od dworzanina w Krakowie na zamku, co króla ubawiło. Inne anegdoty Sowizdrzalskie pochodzą z Włoch, od słynnego Gonelli, blazna książąt z Esty i Ferary, w wieku piętnastym, który i naszego Stańczyka w dowcipy zaopatrywał, bo że najwięcej na świecie lekarzy, tego Gonella, nie Stańczyk, pierwszy dowiódł¹⁾. Obok Gonelli zaopatrywali „Sowizdrzała“ w figle: poeta francuski Villon i facecyonista, Bebel, „Książd Amis“ i „Książd z Kalenbergu“ (od którego nazwa „Kalamburu“ się rozeszła), dobrze znane typy jowialnych księży średniowiecznych. Nie wątpimy więc, że krążyły po Niemczech północnych w wieku XIV i XV różne anegdoty rzemieślnicze, chłopskie, panięce, księże, własne i obce; że przypadkowo, czy dowolnie, skupiano je około imienia Eulenspiegla, komicznego samo przez się, że do typowego odtąd imienia dorobiono później metrykę, stworzono osobistość, że należy ona do tej galeryi historycznej, w której Homer i Ezop, Ilja z Muromca i Don Kiszot, Falstaff i Zagłoba się mieszczą; najlepiej przypomina on nam dawniejszego poetę-satyryka, Goliaska, istniejącego również tylko w literaturze.

Jakiegoż rodzaju są figle Sowizdrzałowe? Jest ich dziewięćdziesiąt kilka w wydaniach najdawniejszych, a nieco więcej w wydaniach erfurekich (od r. 1532), z których i polskie tłómaczono. Główną ich treścią—gra słów, kalambur, umyślne czepianie się wyrazów, nie sensu. Eulenspiegel je w gospodzie u pierwszego, najdroższego stołu za 24 fenigi i upomina się po obiedzie o tę płacę, na którą przecież rzetelnie zarobił, jedząc za trzech; uszył wilka, gdyż mu tak kuśmierz dla krótkości powiedział, zamiast wilczury; piecze sowy i koczkodany, jak go rozgniewany mistrz-piekarz ofuknął; rzuca Chmiela (psa) do kadzi, gdy mu w browarze chmiel warzyć nakazano;

¹⁾ W rękopisie wrocławskim z połowy XV wieku z kazaniem naszego Pawła Zatoreczyka wpisała ręką społeczna na karcie tytułowej cztery figle Gonelli, odmienne po części od tych, które na początku XVI Rainaldo z Mantuy przytoczył—najlepszy dowód, jak rychło facecye te po świecie się szerzyły. Górnicki „Gunelle“ znał dobrze i figiel jego o mniemanym głuchym kazał p. Giżykiemu z Kasztelanem krakowskim, Szydłowieckim, powtórzyć; wmówił Giżyki w Kasztelana, że ma żonę głuszkę, a żonę o głuchocie Kasztelana przestrzegł; gdy się oboje zesзли, jedno drugie przekrzykiwało ku nadzwyczajnej uciezce niewybrednego towarzystwa. Pendant do dowcipu Gonelli (jakich ludzi najwięcej—jakich najmniej) wziął Stańczyk z facecyj Bebla: najmniej księży, gdyż jednemu muszą kilka beneficjów dawać; szlachty, bo wszystko do niej się pcha; żydów, bo i chrześciance lichwią.

przrzuca przez całą noc rękawy do sukni, ale choć trzy świece przytem spalił, rękawy do sukni nie przyległy; gdy mu polewkę czembądź okraścić kazano, on tranu użył; wziął parę butów lub pieczeń, gdy mu je (dla kupna) stręczono; sprzedał konia, który bardzo wiele je i przez drzewa nie sady, lecz zapóźno spostrzegł się kupiec, że koń kąsał ludzi i przez mosty nie przechodził itd. Albo płaci brzękiem za węc, ale ten wykręt od starożytności się powtarza; gdy umierającego matka prosi, by jej co słodkiego powiedział, „miód“ wymówił (u nas każą coś „okrągło“ powiedzieć — „pierścień“), a gdy go pyta, gdzie go boli, między łóżkiem a ścianą, odpowiada; połowę ceny zostaje na zawsze winnym, gdyż tak się z kupcem umówił itd. Gdy w ulu nocował a złodzieje ul unieśli, czubił on z ula za włosy to jednego, to drugiego, aż się złodzieje okropnie pobili, ul porzuciwszy — ale i ten niewinny motyw odwieczny: mężny krawiec, co to siedm (much) od jednego razu zabija, w podobny sposób olbrzymów pokonał. Znane są życzenia jego: nie życzył on sobie nigdy pokarmu zdrowego (z apteki), mocnego trunku (wody, obracającej i koła młyńskie), wielkiego szczęścia (że dachówka nie zleciała nań i nie zabiła go). Prawdy, które wypowiada, nauki, które daje, rozumieją się same przez się, jak owe, które zebrany zewsząd krawcom dawał, lub wyszydząją łatwowiernych, gdy na przykład z wieży, jak ksiądz z Kalenbergu, latać się podejmował, albo gdy chłopa dla zabobonu za spotkaniem zająca i wilka ukarał, konia wilkowi - szczęściu na pastwę zostawiając. Że chłopce sprzedającej kury odbiera i w zastaw zapłaty jej własnego kapłona jej oddaje; że chłopa o sukno oszukał, wmawiając weń, że ono sine, nie zielone (inni ciele, za psa je udając, od chłopa wyłudzi), należy do rzadszych u niego figłów; zwykle bowiem mści się u niego chłop nad zdzierstwem mieszczan, karczmarzy i rzemieślników, albo kuglarz wędrowny za hańbę cechu swojego filistrom miejskim odplaca. Parodjuje on nieraz i słowa pisma świętego; szydzi z wiary w relikwie, z niemoralności, nieuctwa i chciwości księży (nie każąc jednemu głęboko do garnka z miedziakami sięgać, gdzie on całkiem czego innego nakładł); wydrwiwa się od szubienicy miejskiej, od nielaski książęcej: jak Gonella, zakupiwszy taczkę ziemi, rozgościł się na niej, jako na swojej własnej, gdy mu książę swego kraju zabronił, albo między własnymi czterema kołami (nogami końskimi) bezpieczny osiada. Naznaczony on jest zresztą od samego dzieciństwa: w jeden dzień trzy razy go chrzczono (w kościele, w rowie, gdzie z nim podpila kumoszka wpadła, w kotle, gdzie go potem z błota umywano); kilkuletni już płatał figle, lecz ojca o niewinności swej przekonał, jadąc z nim wierzchem i, to tak, to owak z ludzi szydząc; po śmierci ojca rozwydrzył się zupełnie na utrapienie biednej matki, któ-

raż sztukami złodziejskimi nie długo żywił, poczem na węder się puścił i świat wydrwiwał i wyzyskiwał; jeszcze na łożu śmiertelnem figle płatał, obdzielając w testamencie skarbami swemi, zawartemi w skrzyni, przyjaciół, radę miejską i plebana w Mölln, — lecz w skrzyni okazały się potem tylko kamienie, i spadkobiercy posądzali się nawzajem o złupienie jej. Pochowano go nawet nie po ludzku, gdyż trumna zsunęła się i stanęła sztorcem, i tak ją zostawiono. Zawsze i wszędzie okpiwał on ludzi, raz tylko stara gburka grubo go zwiódła — a więc i Sowizdrzał nie był nieomylnym.

Charakteryzując po krótku Sowizdrzała, przemilczeliśmy najlichniesze figle jego, o których w przyzwoitem towarzystwie ani sposób napomykać; chociaż i Gonellę we Włoszech, a Piotra Smolika u nas o jeden i drugi podobny „kawalek“ pomawiają, razi rubaszny błazen niemiecki powtarzanemi aż do obrzydzenia waryacyami na ten sam temat, i prześmiardł nim żywcem. Jeżeli te plugastwa uprzętniemy, musimy Sowizdrzałowi przyznać sporą dawkę dowcipu i ironii. Nie widać jej już w naszych tekstach, gdyż to dowcip najpospolitszy, słowny, ginący więc przy przesadzaniu z języka jednego na drugi, ulatniający się już doszczętnie przy przejściu tekstu dolno - niemieckiego w górną niemieczynę, cóż dopiero przy tłumaczeniu jej na polskie. Psa „Chmiela“, zamiast chmiel warzyć, toć nie dowcip, to siłnie się gwałtowne na figiel wstrętny, lecz w oryginale dolno-niemieckim jedno i to samo słowo chmiel i kurtę oznaczało. Również nie imponuje nam już i taki dowcip: Sowizdrzał poleca się dla swej prawdopodobności karczmarce; ona mu to bardzo chwali, lecz oburza się, gdy jej zaraz przymówił, że zyzem patrzy, choć to prawdą było, poczem jej Sowizdrzał figiel z praniem futer płata. Otóż my nie widzimy tu żadnego związku, a związek był w oryginale: Sowizdrzał bowiem pierze babom futra t. z., rznie im prawdę, jak właśnie dowiódł; baba zaś tę lokucję pojęła dosłownie i znosi mu futra do prania; w to mu graj, teraz już psotę wyrzodzi niechybnie. Jeśli pan Sowizdrzałowi radził, by do konopi żołądek wypróżniał, a ten to i do musztardy zrobił, to nie u nas dowcip zrozumieją, ale w stronach, gdzie nazwy konopi i musztardy równie brzmiały; bywał Sowizdrzał więc lepszy, niż jego reputacya dzisiejsza.

Powtarzamy przysłowie: głupich nie sieją, sami się rodzą — ależ to Sowizdrzał w mieście nad Wezerą na rynku kamyczki rozsiewał; pytają go kupcy, co robi; sieję błaznów; nie trzeba, dosyć ich i tak, siej dobrych; a nie, ci by na tej ziemi wcale nie wzeszli, — odciał się im Sowizdrzał, za co go z miasta wyświecono. Śmiejemy się z krawców, że wiatrem podszyeci; lecz to Sowizdrzał figiel urządził, że niby wiatr krawców z altany zwiął, którą on tajnie podpiłował. Przedysputowa-

nie mistrzów w Pradze, podobne do opowiadania o opacie i pastuszku; uczenie osielka czytania z psalterza w innem mieście uniwersyteckiem, Erfurcie; debiut paryski wreszcie wprowadza Sowizdrzała w koła uczone; naiwna przebiegłość jego zwycięża. Raz, udając medyka, oszukał ku ucieście całego dworu lekarza zarozumiałego: waryacye na ten temat kursowały u nas jeszcze w wieku XVII, i opowiadano je na przykład o Słowikowskim, błaznie Stanisława Lubomirskiego. Inne, arcynieestetyczne, powtarzamy do dzisiejszego dnia, lecz opowiadający nie wymieniają już nigdy nazwiska autora właściwego; trzy z nich umieścili „Facecye polskie“, zbiór anegdot, bardzo w XVII wieku popłacający ¹⁾, lecz również zataili autorstwo Sowizdrzała, oddając jemu, strojącemu się nieraz w cudze piórka, wet za wet.

Tyle o Sowizdrzale niemieckim, gburowatym i złośliwym psotniku, a raczej szkodniku, natrząsającym się bezkarnie i nielitościwie z nieopatrnych; (ich wina przecież, czemuż nie otwierali oczu i uszu, jak to charakterystyczne dla typu choćby John Bullów i Yankesów) — prześladowającym zarazem wszelki fałsz, przesąd, niesprawiedliwość, gdzie się z nimi spotyka. Przechodzimy do Sowizdrzała polskiego, który u nas, na słowiańskiej, zupełnie nie odpowiedniej ziemi, liczniejszego doczekał się potomstwa, niż na ojczystej glebie.

Przyswoili go sobie Polacy bardzo wczesnie, rychlej, niż Czesi, Duńczycy i inni; tylko tłómaczenie flamandzkie (i francuskie przekłady z flamandzkiego) wyprzedziły polskie. Ale gdy Czesi, lub Fran-

¹⁾ P. Estreicher w Bibliografii wymienia jako pierwsze ich wydanie z roku 1650, lecz biblioteka berlińska posiada egzemplarze z roku 1624, na tytule jako poprawne, a więc drugie, oznaczone; autorstwo Paprockiego domniema nieчем się uzasadnić nie da; anegdoty ułożono wedle treści w sześć działów. Każdej anegdocie dodano morał w dwóch wierszykach. Zbiór ten, prócz licznych wydań polskich, dostał się do literatury ruskiej i rozszedł się w licznych odpisach, „powieści śmiechotworny“ itd. Korzystali z niego chętnie dawni poeci, Wacław Potocki i inni, nie wymieniając źródła; pierwszą facecye, udramatyzował Baryka, (Z chłopca król, w roku 1637), a za naszych dni Hauptmann (Schluck und Jau).

cuzi zachowali niemieckie nazwisko, Enszpigiel, Ulespiegle, tłomacz polski wyłożył je bardzo trafnie: Sowizdrzał (jak Nasięzdrzał), t. z. patrzący jak sowa. Z wydań polskich XVI wieku nie zachowało się żadne; znamy je tylko z inwentarzy księgarskich (z roku 1548 i z innych lat), i posiadamy egzemplarze dopiero z końca XVII i z XVIII wieku, dalej nowsze wydania, albo przeróbki ludowe, wrocławskie, warszawskie, chełmińskie i t. d. Wydania polskie, szczególnie później, opuszczają drażliwsze anegdoty, tak, że ze sta spada ich liczba niemal do połowy, polonizują nazwiska, mówią o panu Molińskim (Mölln), wstawiają Gniezno, Poznań, Brody i t. d., zamiast miast niemieckich; zresztą nie odstepują wiele od oryginału. Fantazji Maciejowskiego o związku Sowizdrzala z Twardowskim i słowiańskim jego pochodzeniu nie uwzględniamy, pomijamy i całą bibliografię, wymienianie i porównywanie wydań i t. p.

Co nas głównie zajęło, to nasza bogata i ciekawa literatura „sowizdrzalska“ XVII wieku; cały szereg najpopłatniejszych dziełek ówczesnych wyszedł pod patronatem sowizdrzalskim, a dziełka te zasługują na osobliwszą uwagę, gdyż reprezentują najlepiej żywi o l m i e s z c z a ń s k i w dawnej literaturze.

Dawna literatura nasza wydaje się niemal wyłącznie ziemiańska, szlachecka; nawet mieszczenie, jak Szymonowic, podszycują się pod ów ton dominujący; tylko u Zimorowicza, a jeszcze więcej u Klonowicza występuje żywioł miejski w całej pełni, w tematach, jakie obierają, i w pojęciach ich, i w języku nawet. Lecz ta wyłączość szlachecka tylko pozorna; było bowiem tak silnie rozbudzone życie umysłowe dawnej Polski, że i mieszczaństwo ogarniało, i jak dawna literatura polska, bynajmniej jednemu tylko wyznaniu nie oddana, obok katolików i dyssydentami się cieszyła, tak samo i obok stanu szlacheckiego miejski w niej głos zabierał. O tym żywym udziale mieszczaństwa milczą jednak szablonowe dzieje literatury; dla tego musimy ciekawą a ważną kwestyę poruszyć, chociaż od tematu powieści ludowej znacznie się oddalimy.

Przyzwyczajaliśmy się wyczytywać w dawnej literaturze naszej tylko to, co szlachcie i kościółowi treść życia wypełniało, co im czy dolegało i szkodziło, czy skarbów i wpływów przysparzało: obóz i trybunał, sejm i dwór, trybularz i cela, życia wiejskiego zabawy i troski odbijają się w tysiącznych waryacjach na kartach tej literatury; za to u Reja, czy u Kochanowskiego na przykład, o mieszczańach zupełnie głucho; jedyny Marcin Bielski, wytrwale a naprózno szlachtę do osiadania po miastach animujący, o trybie miejskim, w cechu i na targu, pisywał. W istocie zaś mieszczenie ci, wyzbywszy się dawno cech obcych, zassymilowani zupełnie, żyli życiem narodowym, odczuwali

wszelkie jego fazy wielkości, czy upadku, brali udział w życiu umysłowem, podziwiali i naśladowali Reya, choć „lutra“, jak Kochanowskiego, a prócz tego mieli na pieczy swe własne zajęcia, cele, ideały. Nie z literatury szlacheckiej dowiemy się też, jak się żyło w warsztacie, kramie i cechu, jak się biedowało na kantoryi i bakalarstwie, jak służby po panach odprawiano — tem wyrazistsze świadectwa tego wszystkiego pozostawiła literatura mieszczańska, opiekująca się i chłópkami, opiewająca na rozmaite łady wielkie dolegliwości i coraz mniejsze uciechy i dostatki obu stanów w licznych broszurach, pomijanych z pogardą przez naszych literatów i bibliografów, a stokroć ciekawszych i ważniejszych, niż wszystko to, co oni skrzętnie zapisują, ogłaszają i wydają.

Żalom tym i skargom, fraszkom i żartom brak nieraz zupełnie artystycznej oglady, głębszej myśli, większej różnaitości; jak ubogiemi, monotonnemi bywają np. ich tony erotyczne, nie wynoszące się nad oklepiane komunały — lecz brak finezyi i artyzmu nagradza rodzimosc tych słów, obrazów i myśli. Autorowie mieszczańscy zagranicy nie znają, Włochów nie naśladowują, łacina nie wiele usta pomazali, reminiscencyi klasycznych nie cenią, ani nie wyszukują; obcy im Petrarka i Tasso, Ariost i Marino, Ronsard i Bartas; zato nuta ich rodzima, jędrna, staropolska; humor dosadny, ale własny; forma niewyszukana, ale swojska; podziwiają oni (i okradają) Kochanowskiego, ale stokroć im bliższy Rey, chociaż sami nigdy-by się do „lutra“ nie przyznali; nie obce im żywioły ludowe, chociaż nie opuszczają stanowiska „Jyka“, drwiącego z opilego „gbura“, z jego tańców i spiewów, nie wnikaącego głębiej w stosunki realne, tem mniej w duszę chłopa. Są oni wszyscy dobrzy katolicy, o lutrach tylko z przekąsem wspominają, czasy „za heretyków“ należą u nich już do dawnej przeszłości; co gorsza, pogodzili się oni zupełnie z odepchnięciem stanu swego od życia i wpływu politycznego, nie aspirują do żadnej roli wyższej, nikną w szarym tłumie, sarkają na przewagę żydów i obcych, na nadużycia szlacheckie, zagrażające ich dobrobytowi, na przywary chłopskie, na ogólną opieszalosc i niedbałosc. Za to obchodzą się bez panegiryzmu i „makaronizmów“; złota staropolszczyzna przelewa się i mieni w ich niekunsztownych zwrotach; nie boją się oni przesady, parodyi, nawet rzeczy świętych nie uszanują, rubaszni, wszystko po imieniu nazywają i gorszą tem ucho cenzorów duchownych. Wawrzynów nie zbierają żadnych, niezmani nikomu z imienia i czasu; Januarius Sowizdralius, Jan z Kijan, Jan z Wychyłówki, Jan Oleski, Dzwonowski — toć niby autorowie, a czas oznaczony np. tak:

Tego roku kobyły piechotą chodziły.
 Niewiasty cknęły bez jajec, że się nie zrodziły,
 Ziemia się na ten czas trzęsła całe dwie niedzieli,
 Kiedy ją chłop wziął (wioził?) na takach, toście niewiedzieli.

albo tak:

Spisany roku niedawno przeszłego
 Dnia pierwszej niedzieli niektórego miesiąca jasnomokrego.

A miejsce druku: w Oleśnicy na pacanowskiej ulicy itp. Nikomu, albo raczej wszystkim przypisują swe karty, żartując z obowiązkowych (wówczas) dedykacyi:

żebym ja miał chodzić od pana do pana,
 Wychodził-bym nogi po same kolana...
 Przyjmijcie od Sowizdrzała, najmilsze sowy,

zwracając się do „kwiczelnika (czytelnika) paskudnika“ i t. d.

Okradają się też nawzajem niemilosiernie: wiersze z kiermaszu na Zawisłu (O pijanych ludziach) powtarza dosłownie nowy Sowizdrzał; wiersze o skąpym panu i Dedykację Operis powtarza Sejm Oleśnicki z Sowizdrzałów, jakby autor był ten sam. Korzystają z nich bez ceremonii i szlacheccy pisarze; *Silvae rerum* przejęły np. z fra szek Sowizdrzałowych „Przeżegnanie stołu“ i „Dziękowanie po obiedzie“ (parodye pacierzowe: miła święta Helźbieto z miłą świętą Anną, Przeżegnaj nam kiszki pospołu z brytwanną... Któryś raczył nakarmić, czyńmyż jeno dzięki, że kto oka nie wyklól i nie urznął ręki itd.), albo „Choroby włoskie“. I Kochowski, i Potocki czerpali nieraz z tej literatury, chociaż się przed nikim z tej kradzieży literackiej nie spowiadali. Wszystkie te świstki ulotne koniecznie przedrukować należy: są one nieskończenie ciekawsze i ważniejsze, niż to, czem nasi wydawcy „Bibliotek staropolskich“ i „Materyałów“ z cierpliwości i pobłażliwości naszej się natrzęsają.

Z czasem jednak zaczyna wysychać nieprzebrane to źródło humoru staropolskiego, obrazków realistycznych, rysów obyczajowych. W drugiej połowie XVII-ego wieku i za czasów saskich gdy Polska moralnie i materyalnie z każdym rokiem ubożała, gdy mieszczaństwo ginęło bez ratunku, a chłop w najcięższej niewoli usychał, z bogatej kapeli literatury dawnej wynosili się jeden muzyk po drugim; uchodzą najpierw Aryanie i Kalwini, przycichają instrumenta miejskie, głuszą wszystko puzony panegiryczne i piszczałki ascetyczne. Jeszcze za Wazów było jednak inaczej.

Nie myślimy tu wytaczać całej sprawy miejskiej w dawnej literaturze; ograniczymy się do tego, co się około Sowizdrzała skupiło. O popularności jego świadczy już sam epigraf, powtarzany po wszystkich wydaniach: Sowizdrzał stary, Zejdzie się w dary; nazwiskiem „Januarius Sowizdralius“ podpisują najrozmaitsze dziełka satyryczne i śmieszne, np. Peregrinację Maćkową z Chodawki Kurpetowego syna (dodana do Peregrinacji Dziadowskiej z r. 1612); podpisał I. Swizralus „własnonożnie“; jest to bajka śmieszna w narzeczu ludowem o wędrówce Maćkowej i dziwach, jakie po drodze widywał. Sowizdrzał podpisał i Sejm Piekielny, albo jak go Naruszewicz w satyrze o chudym literacie mylnie nazywa, Szatański, tyle razy w XVII-ym i XVIII wieku przedrukowywany, gdzie to Lucyfer słucha sprawozdania swych wysłańców: Baliała, Latawca, Didka i innych; każdy z sukcesów swoich słusznie się chelpi i wysławia szeroko sieci i zasadzki, w które mu ludzie wpadają. Lecz gdy tu tylko firma „sowizdrzałska“ wystawiona, inne dzieła rywalizują wręcz ze starym Sowizdrzałem. Był on rubasznym i sprośnym, ale nie zawierał nic niemoralnego, nie gorszył, jak to wyraźnie dodawane do niego wiersze polskie poświadczają; nowe za to Sowizdrzały dostawały się za wszeźteczeństwo natychmiast na indeksy ksiąg zakazanych, np. na indeks biskupa Szydłowskiego z r. 1617; odbierano je księgarzom i palono. Mimo to przechowała np. Biblioteka Kórnicka pojedyncze ich egzemplarze i nadzwyczajnej uprzejmości dyrektora p. Celichowskiego zawdzięczam, że o rzadkościach tych sprawę zdać mogę.

Są to mianowicie „Fraszki Sowizrzała Nowego“ — „Jan z Kijan Fraszkę te wszystkim ofiaruje, Kto chce mieć, niech drukarza za pracą daruje, Kiedy Druku nie było, pewnieś się udyszał, Anizeliś książkę ku swojej potrzebie spisał“, w Krakowie r. p. 1614, kart szesnaście; „Fraszki Nowe Sowizrzałowe“ z innym bardzo dwuznacznym a raczej nie dwuznacznym wierszem tytułowym w Krakowie r. p. 1615, kart 28 (powtarzają, w innym porządku, poprzednie wydanie i dodają nowe rzeczy); wreszcie „Nowy Sowizrzal Abo raczej Nowy-zrzal, Nie patrzę ja jako sowy“ (bez miejsca i roku, lecz wniesiony

na Indeks 1617). kart 20. Wszystkie trzy broszury wyszły z pod jednego pióra, zdawało-by mi się, Kaspra Twardowskiego, autora bardzo dobrych wierszy pobożnych i okolicznościowych, gdyby on w przedmowie do dziełka p. t. „Łódź młodzi z nawalności do brzegu płynąca“ (Kraków 1618 r.), autorstwu temu nie przeczył. Wyznaje on tam, że niema spełna roku, „jakom trochy dowcipu na rytmy drugich gorszące rozpuścił“ i nie dosyć, że je czytano pisane, chciał je podać do druku (por. pozycyę Indexu ksiąg zakazanych z r. 1617 Fraszkolos, bądź pisany, bądź drukowany), ale dowiedział się o tem biskup (Szyszkowski), instygujący właśnie na książki niemoralne, i temu przeszkodził. Chciał Twardowski mimo to dekret wikarego biskupiego obejść, gdy nagle zapadł w ciężką chorobę i skruszony powziął zamiar pobożnemi rytмами okupić, co światowemi zgrzeszył:

Żywot swawolny w łodzi pobntwiałej...

Dzisiaj uwodzę od matni przekletej,

Pod maszt zbawienny

(Zbawiciela) i t. d. Tak powstała owa Łódź r. 1618 i rozpoczęła szereg wcale udatnych wierszy, górujących i treścią, i formą, nad współczesnemi piśmiłkami ascetycznemi (Pochodnia miłości bożej z pięcią strzał ognistych 1628 r.; Bicz boży albo krwawe lzy utrapionej matki ojczyzny polskiej po zmarłych synach swoich; Pruszc r. 1649, je nieco przerobił i nowo wydał; Kolęda, Nowe lato, Szczodry dzień albo piosneczki Emmanuelowe r. 1619, lepsze niż podobne wiersze Miaskowskiego, przypominają Lubomirskiego pieszczone wiersze pobożne; Bylica świętojańska itd.),

O tym Kasprze Twardowskim, który z wielkopolskim epikiem, Samuelem Twardowskim, tylko nazwisko przypadkiem dzieli, twierdzi Księga Chamów k. 406: „Twardowski nazwał się Kasper z Sambora, miejski syn, krawiec ociec jego był; ten syn służył J. Baranowskiemu w Rusi u Brzeżan, potym Ks. Zaslawskiemu a. 1630, zaś potym u Dominika Ks. 1631. Wiersze pisuje ex tempore“ (informacye te „od p. Milakowskiego studenta“). Jeżeliż nie K. Twardowski sam autorem tych fraszek, to podobną szkołę życiową przeszedł ich autor właściwy i dla tego nie zawahaliśmy się przytoczyć tych szczegółów.

Ale mniejsza o autora (wyrazy niektóre, powtarzające się u K. Twardowskiego i w tych Fraszkach osobliwsze, naprowadziły na tę

myśl) — rozpatrzmyż treść samą. Odmienna ona od Sowizdrzalskiej, bo zmieniły się czasy; w wierszu „Na starego Sowizrzała“ powiedziano też słusznie:

Nie umiałbyś teraz nie, stary ancykryście...
 Mógłbyś wonceas być nad mię trochę foremniejszy...
 Ale tu u nas w Polsce niegodzien być strawy,
 To nawiętsze misterstwo, iżeś był plugawy...
 Już teraz są daleko przedniejsi błaznowie...
 Żeby się miał przed panem błazen upługawić,
 Wziął-by kijem, nie wiem by mógł za tydzień ozyć.
 I między rzemieślniki teraz trudno błaźnić,
 Wnet za włosy wycudzą, szkoda ich i draźnić.
 Żartować przy biesiedzie, to tylko nie wadzi,
 I to potrzeba patrzeć, jeśli temu radzi.

Minęły więc czasy średniowiecznej prostoty i rubaszości niesłychanej, gdzie same żarty de naturalibus poplacały, lecz i teraz wybredność jeszcze nie wielka. I tak wypełniają rubrykę medycyny sowizdrzalskiej przepisy „pewne i doświadczone“, których dla ich nieprzyzwoitości przytaczać nie można, chyba ów środek na „tęsknięcie“, (melancholię): z pacyentem przejdź się na pole, kędy szubienica:

Powiedz mu: będziesz widział godzinę swej śmierci,
 Mów mu: aleś nie umarł w onczas, kiedy marło,
 Aleś i nie utonął, choćże były wody...
 Uwiążże go, a prędko, niech go kurez nie lamie...
 Wierz mi, że mu nie będzie serce więcej drżało...

Inny przepis przytaczamy, ponieważ przywłaszczył go sobie Imć. p. St. Wronowski roku 1638 i za to „medykiem Babińskim“ został:

Gdy cię febra nagaba, wleżże w piec w kożuchu,
 Użrzesz, żeć lepiej będzie, niż w złotym lańcuchu;

A jeśliże gorączka, wleźże w wodę z głową,
A mnie dziękuj za radę dwoistą i zdrową.

Dobry wiersz pod tytułem: Którym członkom które zna-
mię panuje:

W oczy prawda każdego nie pomalu kole,
W piersiach gryzą domowe ustawiczne mole itd.
Ktoby ustawnie robił, ręce bardzo bolą,
Przeto drudzy karty grać, pić a pisać wolą...
Żywotowi zaś bardzo młode piwo szkodzi itd.

Naszydziwszy się dowoli z lekarzy, z ich praktyk (np. radą, iżę-
byś z rana nigdy po wietrze nie chodził, spadłbyś na łeb, jak djabeł
itd.) i sobkowstwa, z adwokatów (prokuratorów), docina kalendarzom
i ich łgarstwom w Ostromendryi (tj. astronomii) Sowizrzalskiej, opi-
suje „sferę sowizrzalską“ — ale nie niebieską, z planetami, tylko
kobietą, której rozumem ogarnąć nie można — wcale dowcipnie. Zna-
komite są dalej tłumaczenia Sowizdrzalskie sławnych dwuwierszy
Katonowych, od których naukę łaciny rozpoczynano przez tyle wie-
ków, np. moral o skromnym darze ubogiego przyjaciela, który z wdzię-
cznością przyjmąc należy, tak Sowizdrzał wyłożył:

Jeślić kto da wiereimakiem,
Nie swarz się z nim, nieborakiem;
Przyjmi, choć cię boli szyja,
Bo nie miał dłuższego kija.

Średniowiecznego Katona tłumaczy się naturalnie średnio-
wiecznym wierszem, ósmiozłogowym. Albo ów moral, aby do rady,
nie będąc wezwany, nie przystępować:

Nie kwap się na szubienicę nigdy swą osobą;
Czekaj ażę kto drugi razem pójdzie z tobą.

Inne morały, niestety, nie przyzwoite; ujdzie jeszcze ten:

Nie daj sobie łajać zenie,
Chceszli mieć duszne zbawienie,

o którym się staremu Rzymianinowi również nie śniło.

Przechodzimy od jednej parody do drugiej, tym razem warsztatu dotyczącej: wystawiano tam dla chłopców nauki na tablicy, które malarz Śmiadecki pięknym wierszem był ułożył¹⁾; Sowizdrzałskie Nauki Potrzebne Do Rzemiosła brzmią jednak inaczej:

Leż aże do południa, ani się daj budzić;
Wstawszy nie umywaj się, ani też czesz głowy,
A buty niechaj będą upatrzone błotem,
Powiedz panu, że się to samo wytrze potem;
Gdy pan żupan położy, ty w kieszeni macaj.

¹⁾ Przedrukowano je niedawno z unikat w „Wiśle“ w XI tomie; nasze są miejscami wyraźną parodią poważnych i pięknych słów Śmiadeckiego, chociaż zaczynają nie od Kochanowskiego, lecz wprost:

Ktoby się chciał na świecie rzemiosłem zabawić,
Masz to sobie w warsztacie z tablicą postawić,
Nauki sowizdrzałskie, jak się masz sprawować id.

Nawiasem nadmieniamy, że malarz krakowski i brat cechowy, Franc Śmiadecki, również za wyborny typ literatury mieszczańskiej uchodzić może. Pozostawił on między innymi parafrazę poetycką księgi Eklezjastes p. t. Vanitas vanita um, napisaną w dobitnym, prostym języku, w duchu mieszczańskim, kładącym szczególnie nacisk na trzeźwość, ostatni ratunek upadającego mieszczaństwa, przestrzegając, aby nie pić więcej wina dziennie, niż pół kwarty!! Malarza ujawniają bogate ilustracje (sceny ze Starego Testamentu) i pyszno obramowania kart. Jego nauki warsztatowe mają tytuł: „Sługa abo uczeń co powinien panu swemu w rzemiośle“.

Pamiętaj zawsze zełgać, gdy cię poszłą kędy,
Panu dla uczciwości ukradnij co wszędy,
Dzieci pańskich podrażnij, a z panią się poswarz

itd.; tegoż samego rodzaju jest List Wolny Od Rzemiosła:

Przyszedł do mnie jako lotr w żupanie podartym,
Ojea nie miał jako żyw...
Kędy służył, kijem mu dawano za myto;
Jego matkę trzy razy u pręgierza bito.
Wychowanie takie miał, jako się urodził,
Wszystko w browarze legał, abo dziady wodził...
Obludny, chytry, głupi, zgniły, leniwy,
Złość każdemu wyrządzić, zdrajca niecnotliwy itd.

Dostaje się i poszczególnym rzemiosłom, zwłaszcza szewcom
np. „Psalm Szewcom ku czci, ku chwale, bo łgarze“:

Panie Boże wiecznej chwały!
Potłumże ten lud zuchwały.
A nabarziej te to szewce,
Bo żaden dobry być niechee itd.

Oni bowiem:

Egarstwa się dwa roki uczą, a rzemiosła trzeci,
Więc jako ojciec łgarzem, tak i jego dzieci.

Już w przysłowiach Rysińskiego (1618) czytamy: między rze-
mieśnikami najwięksi łgarze szewcy, a jeszcze „malo co robią, usta-
wicznie piją“; dalej przygania młynarzom, najgorszym złodziejom:

Młynarze, ei nigdy o chleb nikogo nie proszą;
Nie mówię ja, żeby kraśli: do domu im noszą.

Nie szczędzi innych, bo „siła w rzemiośle machlerzów:“ już tu przebija wyraźnie cała miszerya późniejsza rzemiosł u nas.

Od cechu przenosimy się naturalnym trybem do miasta samego i jego porządków. Autor nasz, Podgórzanin, zna na wylot owe dziś tak nędzne miejsciny, od Krosna, Jasła i Bieczu, aż po Krakowiec i Przemyśl, ale zna je jeszcze kwitnącemi i bogatemi, nie może dosyć wysławić organów krosieńskich, słynnych na całą Małą Polskę, handlu winami węgierskiemi itd., chociaż i tu nieraz zażartuje, np. o zegarze bobowskim powie nam:

W Bobowej, w Ciężkowicach, są takie zegary...
Więc raz bije pięćdziesiąt, drugi raz dwie kopie...
Południe wtenczas, kiedy bydło z pola ryczy;

Albo o „smatruzie“ przemyskim, który sobie przekupki wymurować dały, żeby mieć pokój przed ciźbą na dole, i rzeczywiście miały pokój, gdyż nikt do nich na górę nie przychodził kupować; ani kropienie wodą, ani palenie ziół nie pomogło, musiały więc znowu zejść na dół, bo nie „będzie Przemyśl Krakowem“. Bardzo pocieszne są żarty z Krakowca, który chyba ten jedyny raz w ciągu istnienia swego sylwetki literackiej się doczekał. z jego mieszkańców dwoistej wiary (łacińskiej i greckiej) i z jego małżeństw mieszanych:

Ojciec każe do cerkwi, matka nie da chodzić,
To dzisiaj mama święci; a nanusiek pości...
Bakalarzów do roku o dwie kopie mają,
Dziś da dziecię do szkoły, jutro do Rusina,
Kwartalu nie zapłacić, już to nie nowina...

Zeszliśmy teraz do bakalarzy: i tego chleba nasz autor czy autorowie próbowali i na wszelkie łady niedolę stanu swego wystawiają: piszą Respons na Synod Klechów podgórskich (broszurę niedawno

przedtem wydaną) i pytają, co na tem bakalarze zyskali, chyba jak na Rokoszu, tylko kije; wyliczają „Delicje Szkolne“:]

Piec stłuczony, drzwi spadły, podrapane blony,
Z ścian lepienie upadło, zimno z każdej strony...
Przywilej z pajęczyny w każdym kącie wisi...
Wyspać się zawsze wolno, byś chciał do nieszporu.

Inne wolności: mieszkania wolne, nie płacą też czynszu, ani poboru, za to wikt nasz:

Ktoś z korzeniem, a oni korzenie jadają.

Jeśli cierpisz na brak apetytu, zamiast do doktora, pójdź do Kantora, a jadaj co i on:

Wierz mi, że cię do misy wprzód nikt nie ugoni.

Trapią ich żony, bo ogólna reguła: złe żony mają:

Żacy a organistowie, balwierze, malarze...
Co dyabeł przez płot przrzuci, to się im dostanie.

Lecz mimo tej nędzy, humoru nie tracą, świat im nie zagrodzony, odejdą i szkoły i żony:

Gdy kalamarz u pasa, a za czapką igła,
A parteski (nóty) w tłómoczku, tylko jego bydła!
Chustek para, kolnierzyk, drugi koło szyje,
Choć ma drugi koszulę, tedy ją przepije.

Nie radzę ich drażnić, bo psotę wyrządzą:

Szukajże go po świecie, a on już w Mazowszu!

W „Psalmie (I) na ogorzeline“ porównywa więc „rybałt“ (zak wędrowny) dolę swoją z dolą z chłopą i natrząsa się mu:

Rybałt przepiórkę obiera, a kaplon mu dowiera,
 W pieniążkach przebiera (!);
 Chłop wiecheć kapusty obiera a pęcak mu dowiera,
 W zgniłych lubaszkach (śliwkach) przebiera;
 Rybałt miód, wino pije, panna mu wieniec wije,
 Jako paniątko żyje;
 Chłop mętą wodę pije, codzień cepami bije,
 Jako świnia w gnoju ryje itd. itd.

Żarty na ten temat niewyczerpane; co za powaga żaka, gdy „prawo zagnoją“ (zagają), a on pióro trzyma itd.

Deską ratunku bywa dla wygłodniałego żaka służba pańska, ale służba służbie nierówna. W obszernym wierszu: „Nie fraszka to“, opisany jest dwór i tryb życia zanego jakiegoś pana koronnego, słynnego z wzorowego porządku ¹⁾; lecz gdzieindziej bywa inaczej, sypią

¹⁾ Przytaczamy kilka wierszy na dowód, co pod wzorowym dworem i panem rozumiano: pozew nie powstał nigdy w domu jego, rzemieślnika i „służącego“ każdego zapłacił („co się rzadko przytrafia, i to nie wiem kiedy“!), poddanego nie trapił, dzieci wychował w karności; codzień po modlitwie idzie każdy do naznaczonej roboty:

Jedni gmachy chędożą, izby kropią wzorem,
 Drudzy się uwijają z miotłami przed dworem,
 Trzeci księgi, zygarki ustawia na stole,
 Czwarti szaty przesusza, by nie żarły mole,
 i t d.

Wychwała dalej ogrody, w których i ziola zamorskie, a w każdym „wirydarzu“ altany;

Stoły mają kamienne w sobie te pokoje,
 Włoskim strojem robione, a na cztery strony

się skargi na pochlebników, odtrącających zasłużonych, na panów skąpych i wszystko zagarniających:

Kiedy pan skąpy, kordyaczny, hardy, a ma cbleb twardy,
Barwa kirowa, piwnica na kołku: biada pacholku!

Wiersze te dostały się niebawem do przysłów Rysińskiego. Pyta stroskany Sowizdrzał: gdzie też owi panowie dobrzy się podzieli, którymi Polska słynęła—sać jeszcze, ale że ich nie znać między złymi; a jacy panowie, taka czeladź:

Który pan portki lata, a suknie nienje,
Na tym każdy pacholek mało wysługuje;

a mimo to gospodarstwo nie spore, wszystko idzie wprawdzie z rejestru, nawet gomółki serwateczane weń wpisują, sama pani „masło łyżkami sprzedaje, garnuszkim maślankę“; już wszystko zabrali bogacze. oni ścieżki poorali, skotniki wygony... Kiz wam dyabeł: odjęliście chleb ubogim, sami go nie macie! U takich panów nie dziw, że w końcu słuzałemu wypadnie zaśpiewać „Dumę Sowizdrzałską“:

Powiedz, wdzięczna kobzo moja,
Umieli co duma twoja,
Co może być szpetniejszego
Nad Kozaka odartego...

(Okien mając szesnaście) pokój rozwiedziony,
Na wszystkich okienkach herby malowane...

jest i altana (dwór z salą) wśród wody, pomalowane zewsząd, po groblach rzędem sadzone tatarskie ziola i t. d.; niektórzy ganią te jego utraty. Ale takich panów (każde kłamstwo i despekt Boży gniewał go) już w Polsce niewiele.

Więc kijem chleb po wsi piecze (zebrze);

Gdzie może, tam co wywlecze i t. d.

Jednako nas nędza gryzie,

Tak w Podgórzu, jak na Nizie!

Oto wiązanka szczegółów o pojedynczych stanach; do wszystkich ogółem zwraca się „Kolęda Sowizrzalska“, rozdając, co w niebie zarwał: klucze dał mi „pięty Świotr“, bo mu ciężko wstawać każdemu otwierać — te dostają księża; pacierze dostał „od starej Piotrowej macierze“ (znana w podaniu ludowym osobistość) dla zakonników i t. d.

Wiersze te, bogate w rysy obyczajowe, przeplata szereg fraszek, anegdot, dowcipów, kłamstw, nieraz bardzo prostackich, nieraz wcale udatnych. Chłopi dają okazyę do żartów, na przykład przy spowiedzi, gdy po wielu pytaniach ksiądz chłopca ofuknie: cóż pleciesz? — Koszałki, opałki, kobiałki — odpowiada naiwnie chłopiec; ksiądz odepchnie go znowu: a długoż tego będzie? — Będzie rok i dwie lecie, kiedy się mocno uplecie i t. d. Dowcipów słownych, kalamburów najwięcej, na przykład: „idąc z Żarnowca ku Krakowu, widziałem kopy żyta na polu przed Wielkanocą“ (nazwa wsi pod Krakowem); na wezwanie, by na konfederatów co „składał“ (składacz — poeta w dawnej Polsce), odcina się Sowizdrzał: dosyć się na nich chłopci składali i t. d. Albo na kazaniu przedstawia ksiądz, że na próżno się tak usilnie staramy, gdyż ptaszkiwie niebiescy nie sieją, ni orzą, a przecież się za pomocą Bożą dobrze mają, — na co chłop: dyabła tam-by się dobrze mieli, gdyby nie nasze brogi, które nam oskubują.

Osobną rubrykę stanowią „myśliwstwa Sowizrzalowe“. Co nam w zesłem (XVIII) stuleciu pan baron Münchhausen — z czarnej linii swego domu — nałgał, za co w Babinie szlachta stara tytuły lowczych i sokolniczych pobierała, opowiada nam starszy od nich wszystkich łyk miejski, o niedźwiedziu, jak dyszel, miodem pomazany, weń wbił; o wieprzu, co klami w łopacie mu uwiązł; o liszkach, które w gromnicę wodą polewał, a one przymarzały, on brzytwką im ciała przerywał i nagle na nie krzyknął, tak, że nagie ze skórki wyskakiwały i t. d. Inna zwierzyna jeszcze osobliwsza: sarna, którą u chłopca na gnoju obszedł, ciągle szczekała; sobol strasznie go podrapał i „miau

śpiewał“; nabral też niemały cebrzyk „kuropatw“ na kępie w wodzie, były zielone, a pierze jak na ogórku miały (żaby) i t. d.; gdy mnie panowie konfederaci pytali, coby czynić, aby ryby (których im moc nawieziono) nie posnęły, — trzeba im powiadać co śmiesznego, a tak, nie tylko usnąć, ale i drzemać nie będą; co robić, żeby ryby błotem nie śmierdziały, — powtarza figiel, jako stary Sowizdrzał u kuśmierzka smród smrodem wypychał.

Częste są i parodye, nawet rzeczy świętych, na przykład modlitwy przed i po jedzeniu, które wyżej wspomnieliśmy, psalmów, wierszy poważnych, dum i t. p. „Psalm od morowego powietrza“ — zwykły erotyk, „Drugi psalm od nagłej śmierci“, poświęcony kostyrom:

Strózu nad kuflem, być go nie ulano...
 Obrońco mądrych żółednego tuza,
 Ty smutne serca rzodkwią, śledziem cieszysz,
 Gorzałką leczysz.
 i t. d.

„Psalm na dychawicę“, „na gorączkę“, znowu erotyki; — cóż dziwnego, że ksiądz biskup takie książki tępił? Między fraszkami też wytknięto, co w człowieku „nieforemnie sprawiono“, na przykład: „dwie oczy przed sobą — a pilniej-by jedno za sobą mieć, żeby człowiek obaczył, kto go ma z tyłu puknąć“, lub „to mięso, co na lydce, lepiej-by je mieć na gołeni, nie tak-by się człowiek w goleń bardzo uraził“ i t. d. Mniej dowcipne są wiersze pod tytułem: „Różność nacyi z ich własnościami“, ale ciekawe, jako pierwsze tego rodzaju w Polsce (pomijając charakterystyki u Reja), potem naśladowane i tłómaczone przez najlepsze „ingenia“, na przykład przez Sam. Przypkowskiego i innych. Tu podany wizerunek Turka, Węgrzyna (bije na jego inowierstwo: wiara nowa, chłop stary, dyabłu wdzięczne ofiary), Włocha, Niemca (Niemiec pyszny i hardy... rad widzi krwawe boje... wszak pola nie dostoi, bo się Polaka boi — reminiscencye z pod Bieczyny), Hiszpana, Anglika, Araba, Polaka (W Polaku męstwo, siła, by tylko trzeźwość była... są i insze przywary, niezgoda koło wiary!) i t. d. Następuje inwektywa na „Lutra“ (przerwana uwagą: wróć się ja do swego rymu sowizrzańskiego), Rusina (kradną bez opowiedzi, bo od ruszania nazwani nie darmo), Żyda (skargi na ich rozmnażanie się, hardość, przewodzenie nad nami: już na mycie, na mo-

ście, by najuczciwsze goście, to żydzięta szarpają, już ich pełne ulice i w rynku kamienice i t. d. Wszystko zawdzięczają pieniądzom: by Chrystus zstąpił znowu z nieba, nie trzeba-by Judasza, był-by wnet u Annasza i t. d.). W osobnym wierszu mowa o Czechach, ale zbyt niepoehlebna: jeżeli już na początku XV wieku w Pradze mawiano, co Niemiec, to heretyk, a co Czech, to złodziej z natury, znajdujemy tu nową wersję: upiwszy się, ukraść, niechaj znają Czecha!

Inne wiersze poruszają temata ogólne: o kobietach, trafnie a ironicznie, iście po sowizdrzalsku; o miłości, z bardzo drastycznymi pomysłami; o pokorze panieńskiej — ona przed ślubem płacze, niebożatko, ale ty po ślubie popłaczesz: dałem od ślubu dwa grosza—darowałbym, gdyby ją kto kupił; kto to wymyślił, nie mógł większej wynaleźć pokuty i t. d. Jeszcze lepsze wiersze o walce z trzema głównymi nieprzyjaciółmi naszymi: światem, dyablem i ciałem, ale nie dziw, że za tę walkę wiersze na indeks poszły, gdyż radzą one podleżeć, gdzie nie przeskoczysz: świata jeden nie zwojuje, z dyablem zła sprawa, bo ci figla wnet splata sam, albo przez innego, tylko na ciało (nb. białe) ostro szturmuj! Dalej przedstawiona przyjaźń, stała, póki pożyczasz; nierówny dział na świecie — co za sztuka mądrość Salomonowa przy jego dostatkach i t. d., i t. d.

Pomijamy zwierzenia autobiograficzne, przeznaczone dla zwodzenia, lub zabawienia czytelnika, boć zapewnienie autora, „że ja już stary bazarz, muszę iść pod kościół z pacierzami, że mnie Sowizrzalstwo od suchych dni minęło“, nie należy brać dosłownie; ciekawa jego karyera: „obiecadło“ tak mu się w znaki dało, że je brzydko wspomnieć, ale gramatyka dopiero zrobiła z niego męczennika; uciekwszy od niej, przyjął służbę, lecz jeśli przy szkole dyabeł, a tam tyle troje; więc wałęsał się po świecie, aż został u królewskiego dworu podczaszym:

Kazano mi nalewać krowom we złów wody.

Tom się i sam napijał, zawsze były gody

i t. d.

Dobry też wiersz o jego rajskim mieszkaniu pod Bieszczadem, przypominający Inwentarz Podgórskich Majętności W. Potockiego; wylicza on na przykład swoje bogactwa:

Wódki mam rozmaite, które z lasa cieką,

Ziół dosyć w aptece i grzecznych kamieni,

choćbyś chciał i Paryż rozwalić i t. d. Albo jego przygoda z drukarzami krakowskimi, którzy właśnie Nowego Sowizdrzała drukowali i autora z uciechy tak uraczyli, że on aż „urtami płacił“ (rebekował), lub z Sowizdrzałem samym, który „składaczowi“ frasobliwemu każe pod ławę frasunek skomponować.

Kończymy dwoma znamiennymi wierszami: „Żalсна pamiętka sławnej pamięci P. Jana Zamoyskiego, za którego Polska potężnie trwała, jak za najtęższym murem“ (Mocno trwały filarze... bogdajbyś był nie schodził z tego świata. . teraz nas mało nie kto chce, jak chce, ponieważ) i „Janowi Kochanowskiemu na jego kompozycyę“ — wiersz ten przytaczamy w całości:

Najsławniejszy poeto między poetami!
 Ty nigdy nie umierasz, zawżdy jesteś z nami,
 Bo zawsze poglądując na twój wiersz wspaniały,
 Musimy się dziwować, że był rozum cały.
 By nas kilka tysięcy stanęło z wierszami,
 Żaden taki nie będzie, musim przyznać sami.
 Choć jeszcze drudzy kradną, ziarno z twej spiżarni
 Przywłaszczając za swoje, a to czynią marnie,
 Bo też ciężko drugiemu łamać sobie głowy,
 Woli wiersz choć kradziony, by jedno gotowy.
 Biedneż nasze żebracze płaszczyki łatane,
 Że się w cudzym szczytynie, za swoje wydane.
 Przetoć też naszej prace marnie używają,
 Przeczytawszy potem w piec albo wystrzelają.
 A Kochanowski przeciw, jako pan na stole:
 Czasem dwa kroć oprawny, co pojadyły mole.

Ten hołd mieszczański, złożony pocięto-szlacheicowi, acz nie wybredny w zwrotach,—prócz owego bardzo szczęśliwego przymiotnika, wspaniały — taką dysze szczerością, że Żale Nagrobne Klonowicza z całą rozwlekłością i mitologią ustąpić mu muszą.

Na tych dwu wierszach, hołdach staropolskim cnotom i zasługom, kończymy streszczenie polskich Sowizdrzałów, chociaż—nadużywszy cierpliwości czytelnika—rzeczy samej nie wyczerpaliśmy, pomija-

liśmy wszystko śmieszne, a nieprzyzwoite. Sowizdrzał polski, jak widzieliśmy, nie zdradzał protoplasty, mniej rubaszny, nie mniej dowcipny, a wcale nie złośliwy psotnik, przetaił się na świecie, nabrał ogłady literackiej, a chociaż sfery pierwotnej całkiem nie rzucił, potrafi nas nietylko rozśmieszyć i zabawić, prawdę żartobliwie powiedzieć, ale i wzruszyć; gbur niemiecki wyszlachetniał na polskim gruncie.

Ciekawy szczegół, że w ogólnym zalewie literatury ruskiej przez „powieści“ ludowe polskie w XVII wieku Sowizdrzała brak kompletny: miałżeż-by to być przypadek tylko? Czy nie raczej brak zajęcia, przy braku życia cechowego, miejskiego, w dawnej Rusi?

Gdy tak w Polsce Sowizdrzał, roślina niemiecka, znakomicie się przyjęła i nowe nawet odrośle puściła, szczep romańskiego Marchołta, sędziwszy wiekiem, poważniejszy przytoczeniem, tajemniczy swem pochodzeniem, w Polsce oddawna już usechł zupełnie — sama nazwa już obcą nam się stała. Niegdyś było inaczej — pierwszy druk polski, pierwsze tłumaczenie wzorowe polskie, to właśnie Marchołt, i pełno o nim wzmianek, alluzji w dawnej literaturze; lecz od drugiej połowy XVII wieku zaczyna o nim być głucho — na Ruś on również wcale nie przeszedł, jak i towarzysz jego.

Marchołt i Sowizdrzał, to średniowieczne dublety starogreckiego Ezopa, równie rubaszni błaznowie, a zarazem przedstawiciele rozumu chłopskiego, prawdy życiowej, odartej z frazesu i patosu; u Sowizdrzała, którego i marchołtowemi conceptami obdzielano, przeważa błazeństwo, u Marchołta obserwacya gminna, ale trafna, i Marchołt zresztą wojuje kalamburem, czepia się umyślnie słów nie sensu, i zwodzi kompletnie Salomona.

Bakalarz Jan z Koszyczek wytłumaczył z łaciny na polskie „śmiesznego a krotofilnego Marchołta gadanie z Salomonem“. Dla pani (kasztelanowej) wojnickiej i sług jej na żądanie „impresora“ wiedeńskiego, a dziś-by się może i chłopek prosty na taką księżczynę zachnął, i nikt-by jej sobie poświęcać nie dozwolił. Lecz cóż to za Marchołt, o którym Stary Testament nic nie wie?

Jeszcze świetniejszą rolę, niż w księgach królewskich, odgrywał Salomon w tradycyi wschodniej. Czepiała się ta tradycya głównie duchów, nad którymi Salomon, mocą cudownego pierścienia, panował i wyprawiała dziwy o przejściach Salomona z duchami, czy duchem. Skoro ustalil się raz ten kontrast Salomona i ducha (nieczystego), nawiązywały się do niego nowe motywa: Salomon pouczał, spierał się, zwyciężał ducha - poganina, Saturna, czy jak go tam zwano; jeszcze później, gdy odezwała się żyłka parodyi, długo tajona, mógł w kontr szumnej i wyniosłej mądrości przeciwnik parodiyować wyrocznie i objawienia królewskie; nadto lubiały średnie wieki walki na słowa i argumenta, aby nie pochwyć i nie rozsunąć motywu tego. „Rozmowy“ Salomona z Saturnem, czy Merkurem (bo Markolf, Marcholt z nazwiska bożka wyszedł), niegdyś poważne, religijne, przedzierzgnęły się w końcu w parodyę, znaną już w wieku XII, powstałą na Zachodzie chyba, gdyż wschodnia tradycya nie o niej nie wie. Do rozmów, w których „gruby a sprośny, a wszakoż bardzo wymowny“ Marcholt mądrość Salomonową parodiuje, doczepiono wcześniej opowiadania, anegdoty, żarty, zaczerpnięte z najrozmaitszych źródeł, nastrojone na ten sam ton, i tak urosła walka na słowa w całkowitą historyę, którą po krótkce opowiemy, tem bardziej, iż z polskich Marcholtów tylko strzępy pozostały z dawnych wydań.

Przed Salomonem zjawia się najszpetniejsze chłopisko, znane królowi z chytryści; wyzywa go więc król na szermierkę słowną. Salomon, utrzymany w tonie biblijnym; w usta jego włożono przypowieści z ksiąg zakonnych; Marcholt zaś każdej przeciwstawia jakąś maksymę chłopską. Odwiedza potem zwyciężony Salomon Marcholta, i na pytania, co robi ojciec i t. d., odbiera odpowiedzi, któremi i Sowizdrzała obdarzają; rozkazuje wreszcie Marcholtowi, aby matka jego posłała z nim garniec mleka od najlepszej krowy, z przykryciem również od niej; matka upiekła też placek z mleka na to przykrycie, lecz głodny Marcholt zjadł placek, a garniec przykrył krowincem. Teraz wzywa go Salomon do wspólnego czuwania przez noc, grożąc śmiercią, jeśli zaśnie. Marcholt zawsze zasypia, lecz pytany od Salomona, czy śpi, wymawia się stale głęboką zadumą nad byle jaką maksymą, na przykład, że więcej waży przyrodzenie, nad wychowanie; kobiecie tajemnicy żadnej zwierzać nie należy; że sroka tyle ma pierza białego, ile czarnego i t. p.; na drugi dzień musi on tego wszystkiego pod karą śmierci dowieść (motyw ten powtarza się nieraz). Dowodzi on też tego ze szkodą, albo wstydem Salomona: kot, przyuczony trzymać świecę, rzuca ją dla myszki, którą Marcholt przyniósł; siostra, spotwarzona przez niego, oskarża go o (udany) zamiar zabicia

króla, z którym się przed nią zdradził i t. d. Od sądu biblijnego nad niewiastami i dzieckiem biorą obaj asumpt, Salomon do wychwalania kobiety, Marcholt do jej ponizania, i obowiązuje się jeszcze tego dnia na Salomonie wymusić zeznanie, że niema gorszego stworzenia nad kobietę; udaje mu się to znakomicie, gdy podbechtal niewiasty jerozolimskie na króla, mającego niby wielożeństwo zaprowadzić powszechnie. Oburzone tem kumoszki narobiły takiego halasu, że obmierzył Salomonowi odrazu rodzaj niewieści. Dowiedziawszy się, kto mu figla spletał, zabronił Marcholtowi spojrzeć mu kiedykolwiek w oczy; więc gdzieindziej dał mu Marcholt zaglądać. Za to każe go król wieszać, lecz uprosił Marcholt łaskę, by sam drzewo, godne ku temu, obrał, i w całym kraju, na Libanie i Antylibanie napróżno go szukał, poczem mu król bez kary odejść pozwolił.

Kontrast między uroczystym tonem biblijnym i powagą Salomonową, a sowizdrzalstwem Marcholtowem, przeprowadzony znakomicie, i wydaje się nam, że „Marcholt“, to najdawniejszy protest myśli świeckiej przeciw ugniatającemu ją ascetyzmowi; że krewnych „Marcholta“ nie w podaniach wschodnich, lecz w satyrach XI i XII wieku (przeciw Rzymowi) szukać należy, na przykład w owej ewangelii nie Marka świętego, lecz marki (srebrnej); albo w parodyach, jak w ewangelii o Nemo (Nikt) i t. p. Znajdziemy bowiem w Marcholtcie ustępy, które wręcz blasfemią trąca, na przykład Salomonowi, obiecującemu skarby i znaczenie, odpowiada Marcholt: Obiecuje zdrowie lekarz, Gdyż nie (ma) mocy, a w tem jest łgarz (ale w oryginale nie o lekarzu, tylko o księdzu mowa), albo gdy Salomon wzywa: polepszymy się z tego, cośmy niewiadomie zgrzeszyli, — odcina mu Marcholt: kiedy ty nosa ucierasz, co innego wtenczas działasz? (tak po łacinie bakalarz rzecz poprawił na grubszy żart) i in.

Taki-to Marcholt cieszył się nadzwyczajnem powodzeniem i w oryginale łacińsko - francuskim, i w licznych tłómaczeniach; polskie do dawniejszych i najlepszych należy. Nie rozumiał wprawdzie bakalarz krakowski wszystkich terminów i zwrotów trudnej łaciny marcholtowej, opuszczał jedno, przekręcał drugie, ale w całości wywiązał się ze zlecenia znakomicie. Pyszna jest genealogia Marcholta i jego żony, Powaliszki, odmienna naturalnie zupełnie od łacińskiej. Jak Salomon Dawida, Izajasza i t. d. wylicza, sławi się i Marcholt „z dwunaście rodzajów chłopskich: Chloptas porodził Gruczola, Gruczol Rudka, Rudek Rzygulca, Rzygulec Kudmieja, Kudmiej Mózgowca, Mózgowiec Łypia, Łyp Potyrałę, Potyrała Kuchtę, Kuchta Trzęsiogona, Trzęsiogon Opiolkę, Opiolka Warchoła, a War-

choł Marcholta“; rodowodu Powaliszki przytaczać nie możemy, gdyż nadto pornografią trąci.

Oryginał łaciński w sentencyach obu „rozmówców“ rymowaną prozą nie gardził (ulubiona to sztuczka XI i XII wieku; nasz „Gall“ całemi partyjami tak pisany); pan bakałarz w przekładzie krótkimi i długimi wierszami chętnie się posługuje, chociaż dawne druki tego nie uwzględniają, na przykład powiada Salomon: w duszę złą nie wnie-dzie duch mądrości, a Marcholt na to:

Kiedy ty klin bijesz w drewno,
Zawsze się strzeż tego pewno, -
Być nie wypadł z drzewa tego,
A nie wybił oka twego;

albo prawi Salomon: cudna rzecz jest biały czepiec na głowie niewieściej: Marcholt zaś: pisano jest:

Nie są takie rękawy, jako kozuch cały,
Często pod białym czepcem bywa mól niemały;

albo Salomon: z człowiekiem zwadliwym nigdy nie miej towarzys-twa; a Marcholt:

Sprawnie tego jedzą świnię,
Kto się między otręby wwinie,
i t. d.

Wielu sentencyi nie można dla ich rubasznosci przytaczać, oryginal pozostaje nieco w tyle za tłumaczeniem, przeznaczonem i poświęconem dostojnej pani! Rym zmusza bakałarza i do niepotrzebnych dodatków, omawiań i t. p., na przykład w sentencyi o osle.

Oryginał bawił parodyą rzeczy poważnych i wyprowadzaniem w pole najmędrszego z ludzi, ale czerpano z niego i inne rzeczy, na

przykład najdawniejszy wiersz polski, treści świeckiej, Złoty, pochwałę kobiet poparł argumentami, zapożyczonemi od naszego Salomona. Wzmianki i alluzye do „Marchołta“, drzewa marchołtowego, są częste, ale z figurą samą spotkałem się tylko raz w kreacyi literackiej.

Wyszło mianowicie w roku 1606 pisemko satyryczne, na ton Juwenala nastrojone, pod tytułem: Poselstwo z Dzikich Pól od Sowizrzała do małowrotnliwej drużyny, kart 8¹⁾. Autor niewymieniony; przemowę „do zabicie niecnotliwego pokolenia małodobrych“ kosturów, i małowrotnnych heretyków, i niewrotnnych Żydów, i przeklętych zdracurów“, podpisał „życzliwy wyższego podniesienia“ (to jest na szubienicę) Prawdzic Niedrwił, nazwisko więc, jak Jan Oleski, Dzwonowski i t. p., zmyślone. Mojem zdaniem, autorem jest Jan Jurkowski, bakałarż krakowski, z Pilzna rodem, który przed dwoma laty wydał był (w roku 1604) „Tragedyę o polskim Scylurusie i trzech synach koronnych polskich“ i t. d.: dowód, ze stylu i treści, dał-by się z łatwością przeprowadzić. Jurkowski posiadał rzeczywisty talent satyryczny, większy, niż na przykład u Klonowicza, lubował się w grze słów, w dosadnych nowotworach i jeszcze dosadniejszych wyliczaniach, miał dobre pomysły własne, a życie otaczające tak dokładnie obserwował, że zwrócił nawet uwagę na język złodziejski („Ktosiów“), i uraczył nas przeróbką jego literacką, jedną z najwcześniejszych w całej Europie. W tragedyi owej szkolnej wikłał się jeszcze w mitologii, chociaż i Herkules, i Parys jego trawestacyi są podobni; w Poselstwie porzucił ją — tylko Pluto, Spartanowie i Owidyusz gdzieniegdzie majaczą — i użył natomiast typów odpowiedniejszych, średniowiecznych, Sowizrzała i Marchołta. Fikcyą następującą:

Polacy, po szkodzie mądrzy, za przykładem innych narodów, zabierają się do poprawy statutów, aby i sejmem „pochopniejszym, i ostrszym trybunałem“ karać niecnoty i zbrodnie. Strach padł więc na łotrów wszelkiego autoramentu, tak licznych; przeto wskrzesił Pluto Sowizrzała i Marchołta, aby ich, zaniepokojonych, ciemżonych grożącą „korrektą praw“, wyprowadzić z Polski na Dzikie Pola,

¹⁾ Egzemplarz kórnicki przesłał nam dr Celichowski; inny widzieliśmy w „Bibliotece Akademickiej“ w Petersburgu. Na tytule wyrysowany Marchołt, po bokach czterej jego rotmistrze.

gdzie osobna ojczyzna z największą swobodą ich wabi, aby się zła ojczyzna z dobrą rozstrzygnęła, gdyż dla tych złych karze Bóg dobrych, „dla tych nasza ojczyzna cierpi suchoty i już liszeje u świata z sromoty“. Podjęli się Sowizdrzał i Marchułt chwalebne zadania; spierają się, który z nich będzie dowodził; Marchułt ustępuje, bo przewyższa go Sowizdrzał liczbą rodu i zasługami, i prosi tylko o rady i wskazówki, kogo i jak z Polski wyprowadzić; nie skąpi mu ich Sowizdrzał, i kończy proroczemi wierszami:

Żegnam cię lewą piętą już na dobre Lachy;
 Być zle łotry puścili, rzućcie na nie strachy,
 By im Ktoś nie rzekł: G e t e s t ą d d z i e t e n i e d b a l i ,
 By nie kazał w e n d a l e j z s w e j z i e m i W a n d a l i ;

Wandali i Gete, przodkowie Słowian - Polaków, mieli być nazwani od idete (idźcie) i wen (won) dalej, o czym się Jurkowski z Kroniki J. Bielskiego dowiedział.

W utworze Jurkowskiego typy Marchułta i Sowizdrzała bardzo uogólnione, cechy indywidualne niemal tracą, stali się wyznacznikami wszelkiego łotrostwa, szczególnie Sowizdrzał; Marchułt pierwotnej swej roli został wierniejszym nieco, bo w Polsce tego cudu dokazał, że mądrość w błazeństwo przewierzgniono, a błaznów mądrymi udają,

Więc zaś owej z nauką mądrej szlachcie w radzie,
 Gdy rząd składowy chce podać, każą siedzieć w zadzie,
 Wnet mu: wara ty duda, mauczysz po szkolsku,
 Łacinaś tylko mądry, a błazen po polsku;

polska zaś mądrość:

To mąż, kto się mści, kto pełni, gdy piją,
 Witez (bohater) w d o m u serdeczny już piętnastu zabil...
 Toć mędrszy, co ma więcej pacholków i złota:
 Tak z mej rady wierzgnęła wzgórze piętą cnota.

Nie przesada to wcale, tylko najsmutniejsza prawda: każdy spokojny i sprawiedliwy człowiek wołał wtedy o korektę prawa, by ukrócić swawolę złych, i sejmy o to nagliły, a zostało w końcu przy starym nieporządku. Wiersze Jurkowskiego są formalnie komentarzem do współczesnych broszur prawnych, na przykład Zawięzy z roku 1613 i wielu innych; „wszyscy wołają, że na zuchwalcę poprawy potrzeba... zbolał każdy enotliwy człowiek, patrząc na niekarność okrutników“, — pisze Zawisza, a Sowizdrzał przyznaje o łotrach swoich:

Już mówią sami, że nas wywiesić z połowę
 Trzeba, chce-li mieć Polska całą zewsząd głowę...
 Ciemność jest okrutna w Polsce, tej się dotknąć może,
 Ómią się skarby i mieszk...
 Wszyscy ciemni, choć się krzczą Oświeceni Jaśnie..
 Żab i odmigardzielów pełno i obżerców,
 Zbytlich krtaniów, piękosioów, hardodurnych zdzierców.
 Co Lach, to Pan, Ruś mówi; każdy chce panować,
 Nie masz tego, by w domu nie miał z kim wojować.

Satyryk zwraca się przeciw czworakiej drużynie, czworakiej, bo oddzielił ją „barwą“ (liwreją), od kart i maści wziętą; więc żołędziowata łotrom należy, a pod łotrami rozumie Sowizdrzał gachów, koste-rów, pijaków (wyżmikufle, drożdżale, tych w Polsce na poły; zwać ich już P o ł o k a m i, nie P o l a k a m i ¹⁾ należy), wreszcie błaznów; on ich wprawdzie nie siał nigdzie, sami powschodzili:

Lubomienne potwory, drogokupne dziwy,
 Głuchowie, Migdonowie i zastęp szlacheiwy
 Błaznów zacie bogatych, przemożnych kuglarzów,
 Cześć nieoszacowana ukraśnionych łgarzów,

¹⁾ Nie zła gra słów, p o ł o k, tyle co pijak (łokać, lykać); protestanci szydzili z katolików, że w pierwszy dzień zapust czezą św. Ż a r ł o k a, w drugi dzień św. P o ł o k a, a w trzeci św. S t ę k a w ę.

Karlów trzody przepyszne i drogich psów roje,
 Głaszczouchów radosnych pełniuchne pokoje,
 Krzywonogich pigmeów, długowieżych drabów,
 Śmiechorodnych szalbierzów, piszczków, darmożjadów:
 Cię miejsca osiągnęli mędrzejszych Muz wszędy,
 Roskoszniejsze, skupniejsze, u Gofrojów ¹⁾ błędy.

Zwracamy uwagę na przydługie wyliczania, charakterystyczne dla każdej satyry, szczególnie w stylu „grotesque“, jaką jest satyra Rabelais'go, lub Fischarta; Jurkowski lubuje się w niem, na przykład nieco niżej o tych samych „frantach“ powie znowu:

Oni huczają, szaleją, już jeżdżą na głowie,
 Strojni, zbytńi, dziecieli i swowolniczkowie
 i t. d.

Za chorągiew powiesi się im kufel, karty, podwika.
 Drugi huf, zielony, to Żydzi, niech się wynoszą na Podole,

Tam sędziowie, hultaje, rybaleci i żacy,
 I hajduk kozubales brać od nich zabaczy.

Broni na Tatarów mają podostatkiem, pozastawiała ją przecież
 u nich szlachta, lecz niech nie idą sami, niech zabiorą z sobą:

lichwiarze, szalbierze,
 Oszusty, łapigrosze i kupce falszerze,
 Krzesne dudków b....., cudzoziemskie zbiegi,

¹⁾ G o f r o j nie z Tassa i Oblężonej Jerozolimy bohater, lecz z romansu o Meluzynie, rycerz niepohamowany; M i g d o n, jak Korydon i t. p., imię klasyczne, jako przezwisko użyte.

Wędzikalety, śwędry, źmigrosze, mitręgi
i t. d.

Trzeci huf, czerwony, Lutrowie, „jaratycy“, z chorągwią z owych spodni, o których tyle jest wzmianek po pamfletach ówczesnych; ich zwabimy na Dzikie Pola wolnością „wierzyć by i w rzyć“. Jurkowski był ultrakatolikiem.

Czwarty huf, żółty, z okrasą swą, Judaszem obwieszonym, to zdrajce ojczyzny, przekupnie jej niesyte, którzy swe zjadłszy, przestroiwszy, wodzą w Polskę z Tatary, więc nieprzyjaciele. Stopniując efekt tego pomysłu, naznacza w końcu Jurkowski dowódców głównych i podwładnych od kart (hetmani, tuzy i t. d.), i zaleca rozmaite gry w miłe „karciecia“, Położuchnę, Piekło, Rus, Turm i t. d., jako szkołę taktyki i strategiki, aby ulubione te hufce bez szkody na Podole przeprowadzić; charakter groteskowy tej satyry (u nas tak rzadki nadzwyczaj) widocznieje coraz bardziej; groteskiem trącą i owe próżne starania duchownych, którzy, aby z błaznów było co dobrego,

Ślą je w koszach do młyna dobrzedziejącego,
Tam ich tłuką i w stępie mieląc pod kamieniem,
Pytlują je, sieją je, a przecie z grzebieniem
Błazeńskim zaś wychodzą. Drugim wykurzają
Ze lba mózgi szalone w piecach, sład latają
Muchy, dym, wiatr i fsiu bziu, przecie z prózną pracą
i t. d.

Już z tych drobnych próbek może czytelnik osądzić, czy pochlebne mniemanie nasze o satyrze Jurkowskiego przesadne, — porównyując ze współczesnymi piśmiłkami, dopiero go należy oceniać i żalować musimy, że wybitnego talentu satyrycznego dalej nie kształcił; muza jego nader ruchliwa między rokiem 1604 a 1607, nagle na zawsze umilkła.

Lecz w ubieganiu się za śladami literackiego żywota Sowizdrzałów i Marchołów spuściliśmy zupełnie z oczu powieść ludową, do której wracamy, aby podobnych dywagacyi nadal się surowo wystrzegać.

Na brzeg polski, odległy i ubogi, wyrzuciły fale średniowiecznego życia tych dwóch błaznów niby, niby szalbierzy, i powiodło się im dobrze na tej ziemi, rozgospodarowali się w niej na pięknie. Lecz fale te niosły na sobie nietylko takich rubasznych psotników, na uciemnienie wszelkich filistrów i pedantów — z niemi przybywały i żywiły rycerskie, awanturnicze, fantastyczne — ale o nich pomówimy osobno.

A. BRÜCKNER.

Ire Palomino

M



Krystyna

H dalszą

Krystyna d

Palomino

Na skrawku ziemi.

NOVELLA.

I.

Była chwila takiej ciszy, jakby cała przyroda w nabożnem skupieniu ukorzyła się przed czemś wielkiem i potężnem; tylko nad otwartym grobem tak bywa, gdy pokropioną trumnę spuszcza do dołu, a ludzie padną na kolana z modlitwą o „wieczny odpoczynek“— tylko w kościele podczas Podniesienia tak bywa, gdy kapłan wzniesie Przenajświętszy Sakrament ponad pochyloną głowę przy ołtarzu.

Słońce, jak ogromna, płonąca Hostya, trzymana w niewidzialnych rękach samego Stwórcy, zniżało się powoli, po nad szmaragdową tonią morza, przez które biegła w nieskończoność wyłożona i roziskrzona ścieżka, od żółtych piasków wybrzeża, aż po sam widnokrąg, zatoczony lekkim łukiem na tle nieba.

Morze wydawało się, jak olbrzymia pierś, wzdęta powstrzymanem westchnieniem...

Białe mewy tylko aksamitnem skrzydłem głaskały powietrze i bez szelestu zataczały koła nad wodą, spadając co chwila na fale i podrywając się z nich znowu w górę.

Nawet jedwabny szum fal podczas przyływu wydawał się cichszy i jakby zgłuszony.

Od północy pokruszone wysepki Hallidzkiego Archipelagu błyszczwały w blaskach zachodzącego słońca, a czerwone, ceglane domki w osadach fryzyjskich gorzały, jak rozplonione ogniska, w których migotały złotawe iskierki światła, odbitych w wypukłych szybach okiennych.

Ku południowi baniasta, lekko pomarszczona powierzchnia morza przybierała coraz ciemniejszy ton fioletu, odrzynając się ostro od gładkich błękitów, ani jedną chmurką nie splamionych.

Z okłętym żaglem tu i owdzie rybackie łodzie podpływały leniwo z falą ku brzegom.

W głębi, ku wschodowi, rozciągał się błyszcząca, pogięta linia stały łąd szlezwickiego wybrzeża i złociły się piaski, niezalane dotąd przypliwem; nad kępami szybowały rybitwy i przelatowały płochliwym ruchem stada dzikich kaczek, ciągnących z południa razem ze zbudzoną wiosną, która zapelniała sobą przestwór i zdawała się wolać:

— Halo!.. halo!.. kto mnie kocha — do mnie!..

Pomiędzy postrzępione i wygryzione szmaty ziemi dwóch wyseppek sąsiadujących z sobą, Groede i Apellandu, wczolgiwały się zdyszane fale i zalewały coraz dalej nabrzeżne piaski, poza którymi, jak kawałki darniny, pływającej po morzu, zieleniły się prawie tuż na jego powierzchni płaty płaskiego lądu, nabrzmiąłego w dwóch miejscach pagórkami, wyniosłemi na kilka łokci ponad poziom.

Na tych nasypach w pewnej odległości od siebie stały dwa tylko domostwa, tworzące całą osadę ostrowu, oblanego ze wszech stron szumiącemi falami, które spienionym językiem oblizwały od wieków ten skrawek ziemi; żarłoczne morze polykało powoli, lecz nieustannie, ląd.

Niekiedy, jakby znudzone tą powolnością, wskakiwało na brzegi i kłuło żądłami dwie opuszczone, samotne sadyby ludzkie, próbując je podziurawić, oplwać, obryzgać mułem i pianą.

Zdawało się, że je drażnią, niecierpliwą, czasem aż rozwścieczają swoim oporem.

Bywały chwile na wiosnę i na jesieni, kiedy ten olbrzymi, łuskowaty potwór o skórze kameleona, jak potworny polip, chwycił

w ramiona pokruszone przez siebie wysepki Halligów i usiłował je zepchnąć w toń, oderwać od gruntu i zmiażdżyć w swoich objęciach.

Nienawidził ich, od wieków czyhał na ich zgubę i pracował nad ich zaturą, a im silniej mu się opierały, tem gwałtowniej nacierał, jakgdyby go upokarzały własne niepowodzenia w tej ciągłej walce, w której olbrzymia potęga ślepego żywiołu zcierała się z słabą siłą ludzi, przyrosłych sercem i duszą do skrawków swojej ziemi i broniących kolebki tyłu pokoleń.

Twarda, jak granitowe skały, natura Fryzyjczyków opierała się niszczącej potędze morza, wierna odwiecznej dewizie: „Liewer düd as Slaw“ — „Raczej śmierć, niż niewola“.

I było jakieś tragiczne bohaterstwo w tych nieustannych wysiłkach garstki wyspiarzy, skazanych na zagubę, a mimo to spoglądających śmiało, z uporem, z rezygnacją w zielone ślepie potwora, który się czaił, czolgał, ciskał, pienił i okrążał nieustannie ich sadyby, dniem i nocą stojąc im na zdradzie.

Usuwała się im ziemia z pod nóg, co rok ubywało rozgryzanego ładu, co jesień wracało groźne niebezpieczeństwo i ponawiały się szturmory morskich taranów, co wiosna z loskotem i hukiem waliło w nich morze złomami lodowców, zalewało powodzią, topiło im bydło, gruchotało ściany ich domów, — a mimo to, nie ustępowali z miejsca.

— Zginiemy na ostatniej piędzi ziemi — mówili sobie — Bóg z nami!

I z każdą wiosną sypali nowe tamy, na lotnych piaskach zasiewali trawę, sadzili sitowie, dźwigali kamienie na bulwary, zalepiali szczyrby w murach i naprawiali kruche mosty, wiszące na palach między jedną wysepką a drugą, gdy je morze obaliło i przecięło komunikację.

Na Groede i Appellandzie ślady tego niszczycielstwa były najwidoczniejsze z całego Archipelagu; leżały na samym prądzie, który toczył rozpuźdzone bałwany ku stałemu łądowi i rozbijał je o stojącą na drodze zaporę.

Spienione fale biegly, jak kule po kregielni, i natrafiwszy na brzeg, podskakiwały w górę, rozpryskując się w powietrzu.

Taam Jessen i Jap Frerks, którzy zamieszkiwali wyszarpaną wysepkę w jedynych dwóch domostwach na Groedzie, powiadali o sobie z dumą, że stoją na czatach Appellandu, zasłoniętego kawałkiem ich ziemi, jak szańcem, od morskich szturmów.

— Stracona placówka! — przymawiali im sąsiedzi z drugiego brzegu—dyabeł wie, po co na niej siedzicie! przenieślibyście się lepiej do nas; w kupie było-by jakoś raźniej i bezpieczniej.

Ale Taam Jessen nabierał wtedy cery raka morskiego w ukropie, ostatniemi zębami rozgryzał przeżuwaną prymkę, spluwał śliną, czarną jak smoła, i mruzczał:

— Niedoczekanie wasze!.. tej hańby nie dożyjecie!

Jap Frerks, który nigdy, nawet za młodu, nie należał do wymownych, a w passyi zaciął się i jąkał, mrugając szybko powiekami, wydymał tylko usta, brodę wysuwał naprzód i jakby zębami słowa siekł, mówił:

— A... a... a... aha!.. a... a... a... a jakże!..

Obaj szwagrowie, starzy żeglarze, którzy trzy razy świat opłynęli dokoła, jak para wilków morskich szczyrzyli kły do morza i stali u wyłomu z dumą bohaterów, nie chcąc za żadne skarby świata opuścić „straconej placówki“.

Samo przypuszczenie, że mogli-by to kiedyś uczynić, wprawiało ich we wściekłość—sama myśl o tem wydawała się im hańbą.

To przywiązanie do wspólnego skrawka ziemi i ambicya strażników pokruszonej ojcowizny, były jedynem uczuciem, które ich jeszcze łączyło; poza tem żyli od lat dwudziestu w rozterce.

Nie rozmawiali nawet z sobą, nie patrzyli nawet w swoją stronę; jeden drugiego omijał przy spotkaniu, a wieczorami, gdy swoim zwyczajem siadywali w pobliżu domów—Jap na starej łodzi odwróconej dnem do góry, Taam na kłodzie strzaskanego masztu, którą morze na brzeg wypłuło, odwracali się do siebie plecami i bokiem spoglądali na zachodzące słońce.

Od lat dwudziestu mieli do siebie urazę, która ich poróżniła na całą resztę życia.

Jap nazwał Taama „szczurem“, za to, że z płonącej „Hamonii“ wskoczył z trzema towarzyszami do ratunkowej łodzi na pełnem morzu i opuścił swego kapitana, Hansa O’Byrna, który nie chciał się w tak groźnej chwili ruszyć z pokładu i razem ze swoim statkiem pognął się w toni.

Pisały o tem wszystkie dzienniki i Jap Frerks chował do dzisiejszego dnia numer hamburskiej gazety, w której stało wydrukowane czarne na białem, jako sternik Taam Jessen, palacz Knut Driesen i dwóch majtków z „Hamonii“ z niesłychanym wysiłkiem wydostali się z płonącego okrętu, pozostawivszy na nim bohaterskiego kapitana, stojącego przy maszcie wśród płomieni.

Widziano go, jak zdjąwszy czapkę, przeżegnał się jeszcze, zanim kłęby dymu zasłoniły go zupełnie, a kocioł ze straszliwym hu-

kiem wyleciał w powietrze i przechylona na bok Hamonia drgnęła, niby wieloryb zraniony harpunem, położyła się na fale i zatoneła.

Ten „szczur“ ugryzł w samo serce ambitnego Taama Jessena.

Zapomniał, że rodzona siostra Japa była jego żoną, z którą najszczęśliwszych lat kilkanaście przeżył w małżeństwie, że z całej rodziny Frerksów pozostał tylko ten jeden jego szwagier i jedyny sąsiad na skrawku ziemi, z którym go losy doli i niedoli połączyły; zapomniał o latach młodości, gdy obaj na jednym pokładzie puszczaali się w pierwszą podróż morską i razem znosili tyle trudów, razem byli w tylu niebezpieczeństwach, razem świat opływali dokola—wszystko zapomniał, gdy znienawdził potwarcę, który ośmielił się nazwać go „szczurem“ i tak boleśnie zranił jego honor marynarza.

Jedynemu synowi pod groźbą przekleństwa przykazał nie znać wuja, nie zbliżać się do niego, nie przemówić doń ani słowa, nie wyciągnąć ręki ku niemu, choćby się w prochu u nóg jego tarzał, chyba... chyba gdyby „morze się wściekło“.

Wobec wspólnego wroga, zacięty Taam Jessen zezwalał na ustępstwo.

Gdy przychodziły jesienne burze lub wiosenne powodzie i wysępka drżała w poświstach wichru i pod razami bałwanów, gdy trzeba było spychać lodowe kry, ślizgające się u wybrzeży, wynosić dobytek na poddasza, wyprowadzać bydło zagrożone topielą, podpierać trzeszczące ściany domostwa i ratować się wzajem przed nawałą „roz-wścieczonego morza“, Fred Jessen, jedyny syn Taama, a siostrzeniec Japa, miał możliwość zbliżania się do wuja i oddawania mu przysług w najgroźniejszych chwilach niebezpieczeństwa.

Ale potem, gdy niebo się rozpogodziło, morze zklęśło, kry spłynęły i burze przeleciały, wracały znowu normalne stosunki pomiędzy trójką zwaśnionych mieszkańców na Groede.

Wracała dawna niechęć i stara uraza kiska dalej w sercach dwóch szwagrów.

Nawet wiosna nie rozchmurzała im czoła, gdy przypadkowo musieli spojrzeć w swoją stronę i gdy oto, jak teraz, w cudowny, cichy wieczór siedzieli plecami odwróceny do siebie, jeden na swojej łodzi, drugi na strzaskanym maszcie.

Ciemne ich sylwety rysowały się się ostremi konturami na wybrzeżnym piasku; obaj podobni byli do siebie—równego wzrostu, jednakowo przygarbieni, jednakowo ogorzali, z twarzami pomarszczonymi, jak pieczone renety, z podbródkami zarosłymi klęczastym siwym włosiem, z oczyma koloru przywiedłych bławatów pod gru-

ba, zwiechrzoną brwią, jeszcze nie zupełnie zbielałą szronem starości.

Dochodzili do siedemdziesiątki.

Jap był młodszy od szwagra o lat parę, ale posępny, zgryźliwy wyraz twarzy czynił go z pozoru bardziej zmiętym i zużyтым.

Samotność i trawiona jakaś gorycz rozwinęły w nim skłonność do mizantropii; nazywano go „puszczykiem z Groede“, jak Taama „szczurem“.

Życie spędzał w bezzennym stanie i zawziął się na kobiety, odkąd go zdradziła pierwsza i jedyna narzeczona, wyszedłszy za męża przed jego powrotem z długiej podróży naokoło świata.

Sprzyszyło jej się czekać; była ładna, młoda i zalotna.

Taamowi lepiej się poszczęściło; nieboszczka Frika była stalszą i wierniejszą, pięć lat czekała na swojego Jessena, zanim przebełtał wszystkie morza i wrócił nareszcie do swoich, aby wypocząć przez jedną zimę na Groede i wziąć sobie własną kobietę do domu.

Potem znów z wiosną wyciągnęło go morze i niosło na garbach swoich przez osiem miesięcy, aż odniosło kiedyś niespodzianie, w chwili, gdy mu się właśnie urodził chłopak, duży, jak młoda foka, wesoły jak rekin, a żarłoczny jak stary wieloryb.

Było to akuratnie przed laty trzydziestu.

Z krzykliwego dzieciaka wyrósł chłop na schwał, barczysty, tęgi, smukły jak masztowa sosna, że o głowę przerastał wszystkich „hulaków“ z Appellandu, a mało kto dorównywał mu we wzroście i sile na całym Archipelagu Hallidzkim.

W nawigacyjnej szkole na Sylcie celował pomiędzy uczniami.

— Ho, Jessen!—mówili o nim sami koledzy jakimś takim tonem, jakby im zaraz na myśl przychodził Kolumb, Coock, Nelson, Tethof.

— O, Jessen!.. ba, ba!—mówili z poważną miną nauczyciele, pomiędzy którymi było kilku towarzyszy młodości jego ojca, co z nim jeszcze na wieloryby polowali;— ten zakasuje kiedyś starego Taama.

Fred Jessen uchodził nietylko za śmiałego żeglarza, obznajmionego z morzem, jak z miską, w której się codziennie umywał, ale i za bardzo zdolnego matematyka, w którym się zamilowanie Fryzyjczyków do tej umiejętności łączyło z prawdziwym talentem.

Był na drodze do kariery, lecz się jej wyrzec musiał przez miłość synowską: zamiast opływać dalekie lądy i na jakiejś dużej fregacie pruć morskie bałwany, osiadł na małym ostrowie Hallidzkim przy

swoim starym, który coraz bardziej z latami się pochyłał, niedołężniał i potrzebował pomocy, wyreki, nawet opieki nad sobą.

Starość nie radość.

Jakże go miał jedyny syn opuścić w takim stanie?.. zostawić samego na skrawku ziemi i oddać w opiekę losom, burzom morskim i falom zdradliwym?.. dobra opieka!

Żeby to jeszcze na Appellandzie, na Hooge, na Langenessie, gdziekolwiek indziej, kędy i ziemia gęściej zaludniona, i osad więcej, i nie taka pustka, jak na Groedel!.. ale tu, gdzie jak w polapce wśród morza dwóch starców tylko dożywało resztki dni swoich!..

Szczur z Puszczykiem—dobre towarzystwo.

Jakżeż ich można było zostawić tak samowtór, wbrew sercu. rozumowi, wbrew czwartemu przykazaniu?..

Zaprzął się tedy na trzeciego do nich młody Fred Jessen nie tylko przez miłość synowską, ale i przez przywiązanie do tego nędznego kawałka lądu, którego trzeba było bronić od zagłady i czuć nad nim, jako ostatniemu ze strażników na „starej placówce.“

Tradycya rodowa, przykład ojca i wuja, wrodzone uczucie Fryzyczyka, zapalały go do spełnienia obowiązku, który ich, jak kotwica, przytrzymał na tym szmacie ojcowizny.

— Tu ci zginąć, a nie ruszyć się!—powtarzał mu w duszy jakiś głos tajemniczy, a tak potężny, że przez największe wichry, przez łaskoty fal, przez zgrzyty lodowców przedzierał się niezagłuszony.

Nawet go kochające serce przytłumić nie zdołało...

A serce to, jak kompas, wskazywało mu ciągle, nieustannie—hen, na południu, skalistą wyspę, wydzwigniętą z morza i jakby zawieszoną w powietrzu, a na tej wyspie biały domek, niby jaskółcze gniazdo przylepione do ściany nad urwiskiem, a w tym domku jasnowłosa Bienę Dulcken, hożą, wdzięczną, powabną jak Loreley, córkę zamożnego rybaka, który na połowie homarów i ostryg, na handlu muszlami, na foczych skórach i odnajmowaniu przyjeźdnym gościom schludnych pokoików w letnim sezonie, uzbierał sporo grosza na wiano dla swej jedynaczki.

Na Helgolandzie mieszkała syrena, która zabrała serce Fredowi.

Od trzech lat kochał Bienę Dulcken i co rok oświadczał się o nią—daremnie.

— Fred—mówiła mu pusta dziewczyna z oczyma jaskółki—Fred, ty wiesz, com ci powiedziała za pierwszym razem; będę twoją, czemu nie?.. ale tu, nie na Groedel!.. Tam psy morskie zdychają z nudów, a ty chcesz żonę utrzymać młodą? Przenieś się tu, to pogadamy!

- Nie mogę.
- Nigdy?..
- Nigdy, dopóki ojciec żyje.
- A potem?..

Fredowi twarz chmurą zaszła, oczy spuścił i westchnął.

— Potem, chyba morze połknie Groedę, i Appelland i wszystkie Halligil..

Biena wruszyła okrągłemi ramionami z początku ze zdziwieniem, potem z szyderyczym uśmiechem, a w końcu z grymasem niechęci i zniecierpliwienia.

— No, to weź sobie fokę za żonę, kiedy tak!—powiedziała mu raz szorstko i opryskliwie.

Miała już dosyć tego uporu.

Nie rozumiała miłości, która nie umie się zdobyć na ofiarę tak małą, jak porzucenie kawałka ziemi, na której zaledwie owce miały trochę zielska do skubania, ale do poju musiały dwa razy dziennie pędzić po drewnianym moście na sąsiedni brzeg, bo inaczej popadały-by z pragnienia.

Mogłaż uwierzyć, aby ją kochał człowiek, który prznosił nad nią jakieś tam nędzne pustkowie, niby to dla idei, który był bardziej przywiązany do swoich piasków, do swego domu, co rok podmywane-go przez fale, z popękanemi ścianami, jak zdrutowany, stary garnek; który z posłuszeństwem dzieciucha ulegał fantazjom zdziwaczałego ojca i zobowiązywał się paść na straconej placówce, a nie ustąpić, dopóki żyw będzie?..

Czyż to się tak kocha młodą, ładną, posażną dziewczynę, za którą-by każdy Helgolandczyk dał nura, choćby na samo dno morza?

Nie, Fred Jessen nie umiał nawet kochać takiej Bieni, jak na to zasługiwała.

Szczególny też miał sposób wyrażania swojej miłości, kiedy ni stąd ni z owąd, niespodzianie zjawiał się jakby z pod ziemi, czasem co tydzień, a czasem znów zaledwie raz na parę miesięcy, aby zapytać ją zawsze o jedno i to samo:

— Cóż, Biena?.. namyśliłaś się?

Odpowiadała:

— A jakże!.. jak rak świśnie.

Jemu wtedy przygasały oczy, twarz się mieniła, usta zacinały i milkły, jakby zaniemówił.

Często bez pożegnania niknął tak samo z Helgolandu niespodzianie, jak się zjawiał, popsawszy jej tylko humor na cały dzień swoją wizytą.

— A niech tam!—mówiła sobie, bo niby wszystko jedno jej było, czy się zrazi i wyrzeknie teraz wszelkiej nadziei, ale w duszy, w jakimś najgłębszym kąciku odzywał się jednak ukryty wyrzut, który jej cichutko dogadywał i dogryzał:

— Źle robisz!.. wiesz przecie, że cię kocha. Nie udawaj, żeś nie widziała, jakimi oczyma patrzył na ciebie. Morze ma tylko takie oczy głębokie i on!.. Nie śpiewał ci to na zrękowinach u Christiansenów, dwa lata temu—pamiętasz?—wtedy, gdyście wyszli po tańcu odetchnąć na przystani:

Księżyc się utopił w morzu,
Bo był zakochany,
Słona woda żre mu oczy,
Twarz mu bielą piany!
Rak go szczypie w blade lica,
Polip w szyję łechce,
Chyba skoczę do księżycy,
Bo mnie Biena nie chce!..

Wiedziała przecież, że dla Fryzyczyka, co się daremno dziewczynie zalecał, to hańba dostać odkosza, że go swoją trzykrotną odmową naraziła na wstyd i upokorzenie.

Takiego u Fryzów biorą na ostry język i podrywają, dokuczają mu docinkami, kolą dowcipem, ośmieszają, mówią o nim, że „sinia-ka“ dostał.

Fredowi tego w oczy nikt nie odważył się powiedzieć, komu tylko kości były mile, ale mimo to wsadzano mu drzazgę za skórę, gdy się udało.

Znalazł się taki zuch, który, przyjętym [zwyczajem na wyspie, przypiął latkę odpalonemu konkurentowi—ot, tak sobie dla żartu, ale nie mniej drasnął go boleśnie.

Pewnego ranka na żaglowym maszcie swojej łodzi Fred Jes-sen znalazł przyklepioną kartkę, a na niej grubym kwaczem wypisany wierszyk:

Kiedy tak,
Leż-że w sak,

Jak głupi rak!
 Żonę mieć chciałeś,
 Kosza dostałeś,
 Więc jak wymokły śledź
 Ze wstydu teraz w koszu siedz!

Nie było wielkiego sensu w tych wierszach, ale było szyderstwo, które przylgnęło do duszy Freda, jak ta kartka przyklejona do masztu; kartkę nożem zeszkobał, ale nie tak rychło zdjął szyderstwo.

Nie pokazał się potem przez dobry kwartał na Helgolandzie; w końcu jednak pociągnęło go znowu.

Czarne oczy Bieny miały lepkie spojrzenie, ni to smoła.

Stary Dulcken go lubił i witał chętnie w swoim domu, bo lubił także grosze, a Jessenów uważał za zamożnych ludzi, choć siedzieli na takiej psiej łasze; byłby mu oddał córkę, czemu nie!.. wiedział, że stary Taam ma baryłkę samych srebrnych talarów, ukrytą gdzieś pod strychem, aby jej woda podczas powodzi nie splawiła.

Dla niego Fred Jessen był dobrą partyją; niechby sobie wziął Bienę nie tylko na Groede, ale nawet na Norderoog, gdzie od wieków żywa dusza już nie mieszkała, tylko foki, jak tłuste kluchy, wylegiwały się na piasku i wygrzewały.

Przymawiał córce, że się mizdrzy do innych, a Fredowi krzywi głowę—fladra!

— Takiemu to okna nie uchylisz!—zawołał—takiego to na zaloty nie wpuścisz!.. poczekaj, przepędzę ja ci twoich galanów!.. niechno mi tylko który w nocy do ciebie wlezie, już ja mu dam! Wiosłem lby porozbijam, poczekaj!..

Odgrażał się tylko, ale nie wykonywał groźby i za ścianą udawał, że śpi, gdy posłyszał szepty i śmieszki w alkierzu córki po nocach, kiedy zwyczajem fryzyskim wkradali się do niej przez okno zalotnicy „na baraszkowanie“, na rozmówki i figle; wiedział, że nie było w tem zgorzenia, bo tak chciał zwyczaj od wieków, aby młodzi w cztery oczy się wpierw poznali ze sobą, porozumieli, umówili, zanim do formalnych oświadczeń przyjdzie.

U nich takie zaloty „okienkowaniem“ zwano, a pomimo złych pozorów ujmy żadnej dziewczynie to nie przynosiło, że nocne wizyty kawalerów przyjmuje.

Toż za ścianą spali rodzice i słyszeli każde niemal słowo, każde niemal emoknięcie, które już oznajmiało, że się młodzi mają ku sobie

i że dziś czy jutro, obudzi ich gwar, hałas i pukanie we drzwi od ulicy, z wołaniem:

— Hej!.. Hans Mathisen, albo Knut Ranzen, albo jak tam!.. wyjdź no do nas!.. u kogoś to po nocy braciszku?.. powiedz no, co tam robisz!..

A wtedy powinien taki gość w oknie stanąć i z alkierza dziewczuchy huknąć do swoich przyjaciół i do jej krewniaków, co go umyślnie w tej poławce osaczyli:

— A tom u swojej narzeczonej!.. nie wolno mi, czy co?.. wam co do tego?..

Na co oni:

— U narzeczonej?.. zobaczmy!.. zbudźcie-no starych, grzmijcie na vivat!

I dopiero po nocy huknęły-by strzały z pistoletów i krucic, żeby się aż dom zatrzęsł, — dopieroż-by było łomotanie o drzwi, okna i ściany, dopieroż zapalanie smolnych pochodni, póki by starzy nie wyszli i nie stwierdzili, jako ten smyk Mathisen, czy Ranzen, czy jak mu tam, rzeczywiście ma ich zięciem zostać.

Niech-by się tylko to nie okazało i nocny gaszek się zaczął albo uciekł, przetrzęśli-by cały dom, dopadli choćby w mysiej dziurze, związali, natłukli, wsadzili w taczki od gnoju, albo w starą łódkę i przez ulicę z hańbą wlekli tak przy świetle łuczywa na jaki śmietnik, lub w bajurę, a nawet do morza i chlust!.. wysypaliby chłopa, jak worek mierzwy.

Z cnotą dziewcząt i z honorem uczciwych ludzi niema żartów na fryzyjskich wyspach.

Więc stary Dulcken o dobrą sławę i zacność dziewczyną swojej Bieny nie miał obawy, tem bardziej, że dziewczyna przebierała i nie lada komu uchylała okna w alkierzu— a czyniła to raczej dla psoty, dla rozrywki, przez próżność, aby inne nie myślały, że się tylko o nie jedne chłopaki starają.

Naśmiała się, naszczebiotała, nasprzeciwiała i wypraszała po kilku wizytach swego gościa za okno, gdy miała dość zabawy i jego towarzystwa.

Pies-by tam z nią do ładn trafił!..

Pomiatała chłopcami, jak skorupami z rozłupanej ostrygi. Albo jej to niewola była wychodzić za mąż, za pierwszego lepszego, kiedy wzgardziła takim Fredem, co mógł być królem marynarzy nie tylko na Halligach, ale na wszystkich fryzyjskich wyspach razem?..

Wiedziała, że kiwnie palcem, a zlecą się, jak komary; nawet Fred Jessen puści się wplaw przez morze, gdy go przywoła.

Ale nie chciała, bo jej swoboda miłsza była.

Fred tymczasem sumował i tęsknił, rozgryzał i przeżuwał swą gorycz, jak stary Taam swoją prymkę, tylko że Taam czarną, piekącą ślinę spławał, a syn jego połykał jad wzgardzonej miłości i truł się nim potajemnie.

Ojciec z pod oka spoglądał na niego i mruczał, jak oto teraz, gdy pod wieczór byli sam-na-sam na wybrzeżu i milczeli, słowa nie przemówiwszy do siebie.

Taam niby w morze patrzył, Fred w przeciwną stronę ku Appellandowi—obrócony plecami do słońca, z rękoma w kieszeniach, z nogami rozstawionymi w wilgotnym piasku, z głową naprzód trochę pochyloną, z oczyma zmrużonemi, jakby upatrywał kogoś daleko i stał na czatach.

Wzrok miał utkwiony w jeden punkt; nieporuszony stał i zdawał się kogoś wyczekiwać...

Słońce wpadło w morską toń, niebo zrzędło, blaski zachodu stawały się bledsze, fale coraz głośniej zaczynały prychać i parskać na piasku, przyływ chlupotał tuż pod nogami starców, siedzących na dwóch cyplach wyspy, a Fred Jessen jeszcze się nie poruszał z miejsca, z którego dobrze mu było patrzeć ku mostowi na palach rozpiętemu, jak drabina między dwoma sąsiadującemi lądami.

Nagle zdało mu się, że w przejrzystym powietrzu zgęstniała jakaś plamka, lecz daleko jeszcze, tam, gdzie przez wrzosowiska na wydmach po drugiej stronie wiła się ścieżka ku mostowi; ruchomy ciemny punkt rósł i zdążał ku brzegowi.

Bystre oko żeglarza nie omyliło się; ścieżką szedł człowiek, miarowym, ale spiesznyim krokiem, jakby mu pilno było.

Fred otworzył zacięte usta i odetchnął głęboko, jak ktoś, który chce powiedzieć:

— Nareszcie!..

I instynktownie poruszył się z miejsca, kierując kroki w tę samą stronę, z której szedł przybysz z Appellandu; okrążył domostwo, minął murowane obejście i wzdłuż obory, która przytykała bokiem do domu o szczytowym dachu, wydostał się na płaską, rdzawego koloru oazę wśród piaczków, na których pasło się jeszcze stadko owiec o uszach cechowanych trójkątnem wycięciem.

Zdążał w stronę mostu; widocznie pilno mu było prędzej spotkać się z posłańcem, który w skórzanej torbie, zawieszonej na ramieniu, niósł pocztę wieczorną i listy.

Pomimo znacznej odległości poznał go po chodzie i machaniu rękoma; tak, niewątpliwie, to mógł być tylko rudy They Toode, niemo-wa, któremu z łaski powierzano trzy razy w tygodniu roznoszenie gazet i korespondencji w odleglejsze osady na Appellandzie i Groede,

aby sobie zarobił na chleb i garnuszek serwatki, albo herbaty, bez której żaden Halidżanin żyć nie może.

Fredowi wydało się, że posłaniec go dostrzegł, i że mu znaki daje ręką; przyspieszył kroku i myślał:

— Gdyby nie miał listu, nie pędził-by tak z samemi gazetami; obiecałem mu dwadzieścia fenigów, jeśli będzie list z Helgolandu. Trzeci tydzień czekam napróżno!..

Odetchnął głębiej i przystanął; serce mu biło silnie, piersi wzbierały, jak to morze, które ze wszech stron szumiało wieczornym przypływem.

— Choć na co czekam?—myślał dalej—zawsze na jedno i to samo. Podły jestem, że się jeszcze ludzę!.. wstyd, hańba!

Nacisnął czapkę głębiej na oczy i szedł znowu, aż stanął u mostu nad morskim brodem, który już fale załazy z obu stron, pluskając o zieloną pleśnią pokryte pale od spodu.

Zdaleka dochodził rozradowany śmiech i nieprzyjemny bełkot niemowy, który potrząsał listem w powietrzu, jakby przypominając dwadzieścia fenigów obiecanej nagrody.

Spotkali się wreszcie w połowie mostu; rudy pocztarek z obrośniętą jak małpa twarzą, chychotał i żółte zęby odsłaniał, niby kundel, co się łąsi, wydając jakieś niewyraźne, zdyszane głoski.

— A fuh... fuh... go... gu... ama... ama!..—powtarzał, podając list Fredowi i grzebiąc szybkim, nerwowym ruchem w torbie z gazetami; śmiał się przytem jakimś dzikim, zwierzęcym rechotem i co chwila wystawiał dłoń, aż w nią wpadły dwa nikłowe pieniądze.

Wtedy dopiero uspokoił się, skinął głową na podziękowanie, odszedł parę kroków i zdjawszy podarty, ceratowy kapelusz, rękawem ocierał spotniałe czoło; potem usiadł na moście, nogi zwiesił nad wodą i dla wytchnienia po długim marszu, zapalił krótką fajeczkę z bukspanu.

A Fred tymczasem rozerwał kopertę, oparł się łokciami o poręcz i chciwie zaczął przebiegać wzrokiem grube, niekształtne pismo z takim zajęciem, jakby w tej chwili o całym świecie zapomniał.

„Fred Jessen, drogi przyjacielu!—stało w liście—pozdrawiam Cię naprzód po starej przyjaźni i przepraszam, że tak długo dałem Ci czekać na odpowiedź, ale dziesięć dni miałem do czynienia w dokach i siedziałam w Hamburgu, a potem zaskaliłem sobie palce i teraz jeszcze pióra dobrze utrzymać nie mogę.

„Ale już piszę, jak widzisz, bo nie chcę dłużej Twej cierpliwości wystawiać na próbę.

„U Dulckenów, jako wiesz, bywam po kilka razy dziennie i baczne oko daje na wszystko, co mi z sąsiedztwa łatwo przychodzi;

u nich po dawnemu, nic się nie zmieniło przez tę zimę, tylko stary chorował, podobno ze zmartwienia, że mu przypadło 300 marek u Christiansenów, którzy zrobili plajtę. Biena, jak mi się widzi, wyładniała jeszcze, bo przytyła i przybielała na stałym lądzie, całe dwa miesiące prawie spędziwszy u ciotki w Bremie. Wróciła dopiero 12 t. m. Ale to ci powiedziec muszę, że znać na niej teraz wielkie miasto; sztafiruje się, jak jaka kupcowa, fatalaszki rozmaite nakłada na siebie i w niedzielę nawet rękawiczki nosi. Pod parasolką teraz chodzi do kościoła; jak Ci się to podoba?

„Rozmawiałem z nią o Tobie, i z Twego polecenia zapytywałem, czy się nie zdecyduje wyjść za Ciebie ostatecznie z tym warunkiem, aby co rok u ojca mogła przebywać kilka tygodni na Helgolandzie, jeżeli jej się na Groede pobyt uprzykrzy.

„Drogi przyjacielu, Fredzie Jessen, mojem zdaniem, nie Ci innego nie pozostaje zrobić, jak dziurę w sercu wybić, kolkiem zatkać i smołą zalać na wieki wieków. Z Bieny już żona nie dla Ciebie, to Ci otwarcie po starej przyjaźni powiedziec muszę; zdaje mi się, że ona teraz wyżej patrzy, a na Tobie się nigdy już nie pozna. Kazała Ci donieść, że jest zdrowa i niczego nie potrzebuje. tylko żebyś jej dał raz pokój ze swoją miłością, a na Helgoland żebyś dopiero przyjechał, jak morze połknie Groede i rozwali wasze dwie nędzne chałupy; wcześniej nie masz po co się spieszyć. Powtarzam Tobie jej słowa choć nieprzyjemne, abys wiedział, czego się trzymać i głowy sobie na darmo nie zawracał, bo mi Cię żal mój drogi, Fredzie Jessen.

„Pluń raz na to wszystko i obejrzyj się gdzieindziej za żoną, jeśli bez kobiety wytrzymać nie możesz. Ja na Twojem miejscu na złość ożeniłbym się z inną, miałbym już pół tuzina albo i tuzin dzieci i gwizdał na Helgoland.

„To prawda, że drugiej takiej, jak ta Dulcken, nie łatwo znaleźć, ale przecież i na Appellandzie są dziewczęta młode i zdrowe. Moja rada, nie przebieraj, bo jak się najładniejsza zestarzeje, to i tak rob się podobna do foki, więc Ci to wszystko jedno, kto Twoją welnę prząść będzie, albo oonbras uwarzy.

„Nie, już ja sam teraz widzę, że Bieny mieć nie będziesz, bo za ładna na to, aby zwietrzała na Groede, a jej się chce błyszczeć, imponować, udawać panią. Takie żony nie dla nas“...

Fred oczy zmrużył i powieki zacisnął, jakby mu słona woda w białka bryznęła.

Przez chwilę przestał czytać; wiedział już najważniejsze, że trzeba rozstać się z wszelką nadzieją raz na zawsze, i że miłość jego odtrącono ostatecznie, bez wzajemności, nawet bez współczucia.

Wstyd mu było przed samym sobą tej słabości serca, które nie dawało się zrazić ani chłodem, ani szyderstwem, ani upokorzeniem, tylko kochało, tęskniło i rwało się ciągle ku tej jednej, „co nigdy jego nie miała być.“

Pochylił głowę i trzymając list, patrzył w falującą wodę a dolna warga drżała mu zlekka, podczas gdy górna kurczyła się i zwięzała co chwila.

Rzucił machinalnie oczyma na pismo i czytał dalej:

„Tego roku spodziewamy się mieć dużo ludzi na Helgolandzie; mówią, że przyjedzie cesarz. U Dulckenów restaurują połowę domu i przystawiają jeszcze dwie izby. Podobno ta francuska malpa, ten gazeciarz z Paryża, co u nich stał zeszłego lata, chce wynająć na lipiec i sierpień znowu mieszkanie i ma przywieźć z sobą swego kompana, który maluje morskie widoki; chwaliła mi się Biena, że będą mieli gości, co złotem płacą. Już ich tam stary Dulcken dobrze obluska, to pewna.

„A teraz drogi przyjacielu, Fredzie Jessen, nie mam Ci nic więcej do doniesienia, więc Cię pozdrawiam z dobrego serca i życzę, abyś lekko przyjął tę wiadomość o Bienie i nie wiele sobie robił z rekuzy, bo mężczyzna, jak Ty, powinien mieć zawsze rozum i ambicję — rozumiesz?

„Twój szczerzy przyjaciel i były kolega.

Simon Bohn z Helgolandu.“

They Toode pykając opodal swoją fajeczką, zaczął się już niecierpliwić, że tak długo Fred Jessen nie zwraca na niego żadnej uwagi.

Widział to kto, aby jeden mały list czytać dobre pół godziny i studyować go, jak Biblię!..

Przecież chyba na pamięć się nie uczy tego pisania?..

Rudemu niemowie wydało się to naprzód śmiesznem, potem dziwnem, w końcu podejrzanem; z głupkowatym uśmiechem spoglądał przed siebie i rozmyślał:

— Hm!.. zaczytał się, jak pan pastor w niedzielę. Ani się odwrócił!.. muszą tam być bardzo ważne nowiny w tym liście, ale jeżeli takie ważne, to sprawiedliwie powiedziawszy, dwadzieścia fenigów trochę za mało. Mógłby dać więcej za fatygę!.. Żeby dodał jeszcze choć dziesięć, to miałbym dzisiejszego zarobku całą markę bez pięciu. Nie, mógłby dać całe piętnaście za taki długi list, na który czekał trzy tygodnie. Już ja mu powiem, byle tylko raz skończył; poczekam jeszcze, niech tam!..

Zdjął podarte chodaki i wytrząsał z nich piasek na wodę; potem zaczął je wzuwać znowu i pogwizdywał przytem przez zęby, zerkając w stronę Freda.

— Nie rusza się!.. zasnął stojący, czy co?..

Poczekał jeszcze chwilę i zabrał się do otrzepywania skórzanej torby, czyniąc umyślnie jak najwięcej hałasu, aby obudzić zaczytane-go, ale i to nie pomogło wcale, bo Fred zdawał się nie słyszeć, zatopiony w rozmyślaniu, więc Toode zdecydował się wstać i podejść bliżej.

Zaglądnął mu w twarz, pochyliwszy się przez poręcz i usta otworzył z przerażenia; przestraszył się wyrazu tej twarzy i oczu świecących białkami z pod przymkniętej powieki.

Fred stał z głową przechyloną, opartą na rękę, z jakimś bolesnym grymasem na ustach i oddychał, jak człowiek śmiertelnie rani-ony, wydając cichy, żalony jęk, który mieszał się z szumem fal wśród wieczornej ciszy.

Zdawał się być zdrętwiały i nieprzytomny.

W zaciśniętych palcach trzymał list, szeleszczący lekko w drżącej ręce.

Toode dotknął jego ramienia i nieśmiało, pytającym tonem, bełkotal:

— Gu... da... wawa?.. waa?..

Brzmiało coś, jakby współczucie i przerażenie w jego głosie.

Fredowi nagle zadrzały powieki, pierś podskoczyła szybkim oddechem, zachwiał się, jak lunatyk i uchwycił poręczy, aby nie upaść.

Nieprzytomnym wzrokiem powiódł dokoła i ze zdziwieniem spoj-rzał na niemowę; potem dłonią przetarł sobie czoło i siłą woli sku-piwszy zmysły, otrząsnął się z tej chwilowej niemocy, która go opadła, jak zmora.

Pomiędzy lawicami piasku od strony Appellandu wschodził księ-zyc, duży, okrągły, świecący żółto, jak mosiężna tarcza i zdawał się ostrożnie wysuwać z piaszczystej wyrwy na brzegu, jak gdyby miał ochotę w morze chlusnąć. Zmierzch zapadał, granatową krepą przysła-niając fale, z poza których na widnokręgu wydobywały się jeszcze świetlejsze odbłaski zachodu, niby luna, bijąca z podwodnych pałaców koralowych, w których syreny i najady zbierały się na nocną hu-lankę...

— Toode ty jeszcze tu? — wyszeptał Jessen, wróciwszy zupełnie do zmysłów; — czego chcesz?.. czemu nie wracasz?..

Niemowa się zawahał; znać po nim było, że ma ochotę wyciągnąć dłoń i upomnieć się o dodatek, ale jakby szlachetniejszy instynkt wziął z nim górę, cofnął rękę onieśmielony i pomyślał:

— Nie, ten list nie był wart i dwudziestu fenigów!..

Poprawił na sobie torbę, kapelusz nacisnął na uszy i, podając Fredowi dłoń do uścisku, jak równy równemu, zabelkotał na pożegnanie:

— Wawa!.. amy-amy!—i puścił się z powrotem do Appellandu.

Fred Jessen patrzył za nim czas jakiś i widział, jak się obzierał w drodze, powiewając kilkakrotnie kapeluszem, a wśród pustki porbrzeżnej głos jego, jakiś zmieniony i żaloszny, powracał niby z pozdrowieniem i współczuciem:

— Wawa!.. wawa!..

Bóg jeden wiedział, co to miało znaczyć w języku niemowy.

Późnym wieczorem dopiero stary Taam doczekał się powrotu syna; siedział sam jeden przy otwartem oknie w paradnej izbie przy stole, na którym się paliła naftowa lampa pod szklanym kloszem i rzucała stłumiony blask na ściany, wyłożone kafłami, na stare meble dębowe o rzeźbionych poręczach, na poźółkle landszafty i zegar z porcelanową tarczą o złożonych syrenach z wdzięcznie podwiniętymi ogonami, na wypchane mewy, cyranki, kurki wodne i muszle dziwacznej kształtu, ustawione na szafach i półkach, na pułap belkowany, u którego zamiast świecznika zwieszał się miniaturowy trójżagłowiec, a po bokach jakieś potworne ryby kolczaste, misternie nawlekane koszyki z koralami i bursztynów, klepsydry i skamieniałości rozmaite.

U jednej ściany stał piec, pokryty cały tafelkami z fajansu, na których niebieską farbą malowane widać było okręty, łodzie, pejzaże morskie, a w pośrodku Chrystusa na krzyżu w cierniowej koronie, z gładko ogoloną brodą, bez wszelkiego zarostu, z typową twarzą fryzyskiego rybaka.

Naprzeciw przez uchylone drzwi drewniane, zajmujące szerokość całej ściany, widać było alkowę, zastawioną wysoko wysłanem łożem, do którego trzeba się było wspinać przez ławę, jak po wysokim stopniu.

Na drzwiach rzeźbionych czerniły się ryte napisy, wyjątki z Pisma św. i moralne sentencje.

Izba była niska, zaledwie na wysokość rosłego mężczyzny, zapechana sprzętami, ale ciepła w zimie, a przewiewna w lecie, gdy przez szerokie okna, oszklone wypukłymi szybami, aby ich łatwo wiatr nie wytłaczał, wpływał orzeźwiający powiew od morza.

Między oknami stał ciężki, dębowy stół, a po jego krańcach dwa fotele wysłane skórą; z prawej strony siadywał ojciec, z lewej matka z welnianą pończochą na drutach.

Od lat szesnastu lewy fotel stał pusty, odkąd Jessenową w trumnie na okrętowych linach, uczepionych u wysokich żerdzi, jak w kołebce, na Appellandzki cmentarz wynieśli.

Taam pozostał wdowcem; jedynym towarzyszem był mu syn w długim, wązkim, burzami poszczerbionym domu, na którego szczytowej ścianie w czerwonych ceglach tkwiły zewnątrz żelazne cyfry 1730 i litery B. J., na znak, iż w tym roku Boy Jessen własnymi rękoma stawiał ten budynek, w którym rodziły się i umierały całe pokolenia jego pra-pra-wnuków.

W ścianach tego domu, jak w tylu innych fryzyjskich sadybach, drzemały odwieczne maszty, belki i deski, szczątki pogruchootanych okrętów, które morze wyrzucało na ląd; znosiło im budulec w darowiznie.

A stary Jessen, patrząc na wystające u pułapu drewna, cechowane datą wyłowu, marzył o morskich wyprawach, o burzach i bitwach dawnych czasów, a serce marynarza w nim rosło; przenosił się myślą w odległe, minione wieki i siedział nieraz całemi godzinami w takich snach na jawie, dopóki się nie zdrzemnął i nie usnął zupełnie.

Odkąd mu nogi zaczęły nie statkować a gościec dokuczać, prowadził po większej części żywot siedzący; w welnianej kamizeli, w grubych spodniach, tranem przesiąknięch, w butach z wołkokowemi cholewami, w czapie ze skóry psa morskiego, siadywał na wybrzeżu lub w poręczowym krześle pod oknem, mrużył oczy, żuł prymkę i trawił długie godziny na dumaniu.

Czasem rozkładał starą Biblię i odczytywał najmilej ustępy o Potopie; Korab Noego na górze Araratu zajmował jego wyobraźnię na równi z płonącą „Hamonią“, która najczęściej w snach mu się przypominała.

Wtedy jęczał, krzyczał, rzucał się przez sen i zrywał z pościeli, jak obłąkany.

Z synem rozmawiał mało, ale lubił go mieć ciągle na oczach i patrzeć na niego z pod schmurzonych brwi badawczym wzrokiem, jakby próbował przenikać jego myśli i uczucia.

Spędzali tak w milczeniu nieraz dnie całe i tygodnie, zwłaszcza czasu jesieni i zimy, siedząc z sobą we dwóch w zamkniętej izbie, w której słyhać było tylko tykotanie zegaru, trzask łuczywa na kominie w przyległej kuchni, świdrowanie świerszczyka albo wycie wiatru i łomotanie fal od morza.

U Japa Frerksa gorzej jeszcze bywało w taką porę.

Samotny puszczyk nie miał nawet do kogo słowa przemówić; wieczorami na szybach rysował się tylko jego cień nieporuszony, jak przykuty do miejsca.

Widać go było siedzącego naprzeciw okna i wpatzonego w ciemną noc, niby strażnika na czatach.

Słuchał rozpacznej pieśni wichrów morskich i wyczekiwał burzy...

Od czasu do czasu rzucał okiem na przeciwległą stronę wyspy, kędy się czernił dom szwagra, a dostrzegłszy w oknach jego światło, mruzczał:

— Szczur jeszcze nie śpi!..

Siadał napowrót przy piecu i czekał, aż światło zagaśnie, dopiero wtedy gramolił się na samotne, wysokie łoże w ściennej futrynie za frankami i zasypiał.

Tak płynęły dni, miesiące i lata na Groede—przeciekalo życie kropkami, niby woda z rozeschłej beczki.

A Fred Jessen chciał młodą żonę zamknąć w tej pustelni!..

II.

Na Helgolandzie tego lata było ludno i wesoło.

Towarzystwo zebrało się liczne, zmieszane z przeróżnych narodowości, wśród których przeważali Niemcy; nie brakło i nieodzownych Anglików, był nawet jeden Hiszpan i dwie Amerykanki, posażne panny, odbywające podróż w towarzystwie okropnie chudej ciotki i okropnie czarnego murzyna, służącego.

Gwiazdą sezonu, *the stare* kąpielowych gości, była wszelako Polka, żona jakiegoś przemysłowca z Warszawy, którą sobie pokazywano, jako osobliwość, ale której nazwiska nie umiano wymówić bez zwichnięcia języka.

Kobiety przezywały ją „Grzechotnikiem“ dla szeleszczących sukni i dzwoniących wisiorków, porte-bonheur'ów i souvenir'ów—mężczyźni „Gwiazdą polarną“ w przypuszczeniu zapewne, że Warszawa leży blisko bieguna północnego.

Championami sezonu byli zaś dwaj cudzoziemcy, pp. Jerzy Keergard, Duńczyk, młody pejzażysta z niepospolitym talentem i Ju-

liusz Devineux, Francuz, literat, Paryżanin z krwi i kości, korespondent kilku dzienników, podróżujący po Europie, dla zbierania materiału i wrażeń.

Przyczepiła się do nich w samych początkach nazwa „Dwóch Ajaksów“ dla tego, że się nosili jednakowo i chodzili nierozdzielnie ze sobą.

Ubrani w białe, flanelowe garnitury marynarkowe, w niebieskie koszule, bez kamizelek, które zastępowały im szerokie pasy z *moire antique*, w miękkich filcowych kapeluszach à la Rinaldo, albo pikowych czapeczkach białego koloru, w białych bucikach, z białym fułarem, związanym w gruby węzeł pod szyją, wyróżniali się w tłumie, rojącym się na pobrzeżu u przystani, na plaży kąpielowej, na przechadzkach po spiętrzonych uliczkach osady wyspiarskiej i skalistym płaskowzgórzu, które stanowiło niby pokład na tym uwięzionym wśród morza statku, wykutym z czerwonego piaskowca, a noszącym nazwę Helgolandu.

Obaj młodzi panowie zwracali ogólną uwagę na siebie zachowaniem się swobodnem, oryginalnem, lekceważącym na pozór wszelki konwenans, jak gdyby byli właścicielami całej wyspy i przez grzeczność tylko pozwalali innym korzystać z jej gościnności.

Mieli swój sposób nawoływania się szczególnem gwizdnięciem, które niespodzianie przewiercało uszy opasłym rentierom hamburskim i berlińskim, używającym, dla odmiany świeżego powietrza, ostryg i reńskiego wina na Helgolandzie.

Takie specyały lepiej im smakowały na wyspach, niż na stałym lądzie.

— Georges!

— Jules!

Imiona te słyhać były często wolane podniesionym głosem od stołu do stołu, z brzegu do łodzi, na której Francuz wiosłował, podczas gdy Duńczyk szkicował na skałach swoje malarskie studia, na plaży kąpielowej, gdzie przed południem zbierało się liczne gromado kobiet, mężczyzn i dzieci, pluskających się w morskich balwanach.

Dwóch Ajaksów wszędzie było pełno, wszędzie można ich było spotkać, gdzie tylko gromadziło się rozbawione towarzystwo.

Asystowali mężatkom, szukającym rozrywki na malowniczej, ale nudnej przy dłuższym pobycie wysepce, pannom, które na pamiątkę dopraszały się szkiców i wierszyków do albumu, cywilnym i wojskowym, którzy lubili słyhać dowcipnych anegdotek Paryżanina i przeglądać najnowsze karykatury duńskiego malarza, kreślone na zawołanie od ręki przy nadarzonej sposobności.

Strzelały przy tem najczęściej szampańskie korki, lał się Koniak, Oporto, Whisky i Johannisberger, śmiano się do rozpuku, bawiono się wesoło i roznoszono po wyspie sławę humoru, fantazyi i pomysłowości obu młodzieńców, którzy ożywiali sezon.

Pan radca handlowy Trincke, z Frankfurtu, wyraził się kiedyś publicznie przy toaście na cześć dwóch Ajaksów:

— Na honor, moi panowie, bez was to morze było-by tylko ohydłą bajurą, nad którą można-by usnąć z nudów!.. Takie jest moje przekonanie, a kto je podziela, niech wzniesie kielich za zdrowie naszych najmilszych, genialnych, nieocenionych towarzyszy. Hoch!..

I ani się zachłysłął, wychyliwszy duszkiem do ostatniej kropelki toast na cześć Francuza i Duńczyka, co mu nawet za zlewzieli inni jego rodacy, utrzymując, iż przebrał miarę, i że się w swojej urzędowej godności, jako radca i prawowity Niemiec, niepotrzebnie naraża.

— *Das war ein wenig zu stark, Herr Commerzienrath!.. das muss ich schon sagen*,—powiedział mu na drugi dzień z wielce poważną miną dyrektor jednego z wydziałów administracyjnych w ministerjum finansów, Ekscellencya v. Oberwitz, z samego Berlina, który bawił na Helgolandzie z żoną i córką, sztywną jak tyczka od chmielu.

Keergard wyrysował kiedyś jej karykaturę zapalką zwęgloną na obrusie w „Conversationshauzie“ i zrobił tem sensacyę przy stole.

Missis Plunc chciała ten obrus kupić i tak, jak był, poplamiony sosami i winem czerwonym, zawieźć do Ameryki.

— *Ou, it is very ingenious!.. it is charming!*—powtarzała z zachwytem, przypatrując się przez lornetkę rysunkowi, nie wiedząc, że jej karykatura w towarzystwie murzyna krążyła także oddawna już pomiędzy przyjaciółmi artysty.

Wrażliwszy i łatwiej zapalny Devineux codziennie nadskakiwał jakiejś innej syrenie ze stałego ładu, kręcąc się jednak najczęściej około najpowabniejszej ze wszystkich „Gwiazdy polarnej“, która warszawskim „szykiem“ silila się dorównać prawdziwym Paryżankom i przekonać *charmeura* z nad Sekwany, że należy do narodu, noszącego nie darmo nazwę „Francuzów północy“.

Pozwoliła mu się nawet, niby to przypadkiem, zdjąć aparatem migawkowym w kostiumie kąpielowym, gdy wchodziła do swojej kabiny.

Keergard wyrobił sobie opinię stateczniejszego, zachowywał urok artysty, który ma oryginalne gusta, był mniej rozrzuconym, bardziej zajmującym dla kobiet przez jakiś dualizm swego usposobienia; miewał chwile, w których go opadała melancholia, spleen, mizantropo-

pie, unikał towarzystwa, najmował łódź i bujał się całymi godzinami na falach morskich, albo ukrywał gdzieś bez śladu w rozpadlinach i pieczarach skalistych, u podnóża wyspy, w miejscach najmniej dostępnych.

Oprócz przyjaciela Devineux, nikomu długi czas na myśl nie wpadło, że w tych tajemniczych wycieczkach melancholika bierze udział ktoś drugi, który mu urozmaica chwile samotności.

Nie przypuszczano nawet, aby te znikania pod pozorem spleenu były tylko sprytnym wybiegiem wydobycia się na swobodę i zgubienia z oczu ludzkich.

Na małej wyspie zacieśnionej i ograniczonej ze wszech stron skalistemi wałami, które się spadziście, prostopadłe niemal piętrzyły nad powierzchnią morza, było się nieustannie na widoku, pod kontrolą publiczną.

Jedynym punktem zbornym, najruchliwszym przez cały dzień, w którym tętniło zogniskowane życie wyspiarzy, była wązka przystań na spodniej krawędzi Helgolandu, ku której zapływały statki i łódzie, wyrzucając na ląd podróżnych, przyjezdnych gości, rybaków wracających z połowu, marynarzy pragnących stopą dotknąć ziemi.

W tak zwanej „Alei plotek“, która od pomostu na przystani wiodła do wnętrza osady, rojno było i gwaro, od świtu do nocy; tędy przepływała jedyna arterya ruchu, tu jak w rozgrzebanem mrowisku snuły się zawsze gromadki ludzi, napełniając hałasem, szumem, krzykiem i gwarem zmieszanych głosów powietrze.

Stąd dopiero wspinano się to ludzkie mrowie po kamiennych schodach, albo dawało się wciągać żelazną windą na drugą kondygnację, wzniesioną o kilkadziesiąt metrów w górze, gdzie, jak na świętym kopcu, gnieździła się nieliczna osada wyspiarska.

Wszędzie jednak leżało wszystko, jak na półmisku; nigdzie nie było miejsca na dyskretnie sam na sam. Podsłuchywano, podglądano się wzajem, jeśli nie z ciekawości, to z nudów, a potem plotkowano zawzięcie, także z nudów, jeśli nie z przyzwyczajenia.

Kto chciał użyć samotności, musiał — jak Jerzy Keergard — wsiadać na łódkę i uciekać na pełne morze, albo po nabrzeżnych piaskach krawędzią wyspy przedostawać się między połupane skały, fantastycznie pokruszone i sterczące, niby w Dantejskiem piekle, nad samym morzem.

Devineux z caporał'em w ustach stawał nieraz przy łóżku przyjaciela, gdy się już do snu zabierali, i mówił:

— Wiesz ty Georges, ja ciebie dobrze nie pojmuję; ja po prostu zrozumieć tego nie mogę, żeby człowiek wytworny, jak ty, wstawał od stołu, na którym ma zastawione trufle, pasztety, ananasy, pikantny Rocquefort... za ostry dla ciebie?.. no, to Brie albo Camembert, pickle i pomadki do wyboru, jednym słowem wszelkie przysmaki rozmaitych krajów, najgustowniejsze kaski, do których aż ślinka leci, i chyłkiem wykradał się na jakieś tam wertepy, aby ukradkiem jeść surowego śledzia i popijać go wodą morską!.. W tem jest coś chorobliwego, to po prostu wydaje mi się zboczeniem!

Keergard zakładał ręce pod głowę, przymykał oczy, uśmiechał się z rozmarzeniem i pogwizdywał cicho, nie odpowiadając ani słowa.

— Te twoje znikania coraz częstsze — ciągnął dalej Francuz — stają się podejrzane; ludzie zwracają na nie uwagę, zaczynają się domyślać. Jeszcze cię kto kiedy podglądnie w twojej zaczarowanej grocie i przydybie na czułem tête-à-tête, a wtedy będzie skandal, zobaczysz! Mnie to przecież wszystko jedno; ty wiesz, że ja na punkcie moralności, zwłaszcza sezonowej, jestem bardzo wyrozumiałym, ale kobiety!.. ale opinia kąpielowa Helgolandu zatrzęsie się i zakrzutusi z oburzenia i gotowa cię strącić ze skały w głębokości morza, a twoja rybaczka będzie potem musiała wylawiać cię, jak łososia. Wiesz, kobiety bywają zwykle bardziej zgorznione tem, że się przy nich bałamuci inne, niż że się je same bałamucilo. To jest polityka konkurencyi i pretensya o stracone korzyści. Parole!.. ty wierz nam Paryżanom, bo my studujemy kobiety od powicia do pierwszego strzyknięcia w nogach, nawet i dłużej. Georges, nie zasypiaj proszę cię, kiedy mówię kazanie!.. ja mu daję moralne nauki, a on zaczyna chrapać, jak najedzony warchlak. Georges, słyszysz?..

Ale Georges udawał, że zasypia z nudów i na znak lekceważenia wysuwał z kącika ust kawałek języka, z szyderczym wyrazem twarzy.

— Skończyłeś już? — pytał, ziewając.

— Nie jeszcze.

— No to dobranoc, resztę mi powiesz jutro przy śniadaniu.

Nazajutrz nieraz Devineux próbował wznawiać przerwana rozmowę i w rzadkich chwilach powagi przekonywał przyjaciela, że głupstwo robi.

— Na honor, seryo ci mówię, że to nie ma sensu!.. porzucać przy stojne, szykowne kobietki, które lecą same na ciebie, jak muchy na szarlotkę, i zdradzać je z jakąś tam prostą dziewczyną, która mogła-by każdej z nich buciki ściągać przed kąpielą... Bo ty je zdradzasz, Georges!.. zdradzasz, daję ci słowo!

Keergard uśmiechał się jednakowo, lekceważąco i wzruszał ramionami:

— Dajże pokój!.. żeby one wiedziały, jak mnie nudzą tym swoim flirtem, kokieterią, banalnością, perfumowaną sztucznie zapachami od Violetta lub Atkinsona!.. Natury, natury mi trzeba, bo się duszę i dławię!

— I dla tego uciekasz do swojej śledziarki? — przerywał Devineux — wieszczę!

Duńczyk głowę zwieszał, przez chwilę pykał ustami i odpowiadał powoli:

— Jules!.. bywasz czasami głupi i niesmaczny; głupim wolno ci być, bo to zabawne, ale niesmacznym nie, bo to mi obrzydzenie sprawia.

Rozchodził się wtedy bez pożegnania z przyjacielem i zniknął na kilka godzin, aby sobie... humor poprawiać.

A Devineux zapalał świeżego caporal'a i myślał:

— Ma foi!.. zwarzował. Co on w niej upatrył takiego szczególnego?.. W zeszłym roku, kiedy mi przynosiła herbatę rano, uszczyptałem ją parę razy w policzek, ale i tego za dużo było z mojej strony. De gustibus non est disputandum. W tych Skandynawach musi być coś z wieloryba — mają apetyt do śledzi.

Jerzy Keergard innego był jednak zdania; w córce swojego gospodarza dopatrywał się okiem artysty pewnych właściwości, które, dla niego przynajmniej, miały swój estetyczny powab.

Paryżanina razila jej smągła cera, opalona na wietrze i słońcu, przy której bujne, krunąbne, rozwiane jej włosy złotawego koloru wydawały mu się jeszcze jaśniejsze; — jemu się to właśnie podobało. Devineux uważał, że gruba, szeroka, ciemna brew nadaje kobiecej twarzy wyraz pochmurny, nieprzyjemny, srogi; jemu przeciwnie ta brew nad czarnymi oczyma, osadzonemi głęboko, wydawała się czarującą, pełną charakteru.

— Walkiury musiały mieć taką! — mawiał z zapalem.

Podobały mu się jej zdrowe, silne, jędrne kształty, które Francuz uważał za zbyt grube i za pospolite, pozbawione smukłości i wdzięku; przyzwyczajony do buduarowych, cieplarnianych roślin, wypieszczonych, wydelikacowanych, wytwornych i wiotkich, sprężystych, jak liany, Paryżanin nie umiał odczuwać naturalnego powabu w takiej Bienie Dulcken, wybudowanej na morskich skałach, przypominającej podaniowe nixy i najady z germańskich baśni.

Keergardowi ta jakaś prymitywność świeżej, dziewiczej natury w hożej wyspiarce wydawała się godną podziwu i pociągała go więcej

od wiotkości i elastycznych linii łądowych syren, którym hysterya wyzierała z oczu.

Kiedy patrzył na nią, opartą plecami o jeden ze skalnych filarów, dzwigających olbrzymie złomy kamieni w jaskiniach u podnóża wyspy, dostępnych tylko na łodzi od południowej i zachodniej strony, wydawało mu się, że wypłynęła do niego wprost z tego morza, które u stóp ich pluskało falami, co lasiły się do niej, jak trytony, próbujące na brzeg wyskoczyć i rozbijające sobie piersi na ostrych krawędziach kamieni.

Do złudzenia tego dopomagała woda, zabarwiona czerwono przy samym brzegu ceglany mulem i piaskiem, który się od skalistych ścian odkruszał i sprawiał wrażenie, jakby cała wyspa posoką opływała dokoła.

Zdawało się, że morze krwawi...

W jednej z takich ukrytych grot, wyżartych bałwanami, Keergard i Biena spotykali się na tajemniczych schadzkach, zapływali tu łodzią, każde z osobna, o rozmaitych porach dnia, często wieczorem, niekiedy w noc księżycowe, jeśli się dziewczynie udawało wymknąć niepozornie przez okno alkierza i przed Argusowem okiem sąsiada, Szymona Bolna, o którym wiedziała, że ją szpieguje z przyjaźni dla Freda.

W grocie było pusto, samotnie, słońce tylko zniżające się ku zachodowi buchało jarzącym blaskiem na wilgotne, czerwone ściany i zapalało je szkarłatem; z zewnątrz dochodził szum morza, czasami wiatr, jak olbrzymi nietoperz w pogoni wpadał ze świstem i sykiem i wciskał się gdzieś w szczeliny popękanych skal, ale najczęściej bywało zacisznie i dziwnie tajemniczo, jak w jakim uroczysku albo zakłętej jaskini wrózek.

Niegdyś w tej grocie na początku stulecia miewali schronienie swoje przemytnicy, gdy Helgoland był ogniskiem kontrabandy a dziadek Bieny jednym z hersztów najśmielszej partyi, przekradającej z za morza towary na stronę niemiecką; opowiadała o tem Biena Keergardowi i to nawet dało powód do ich pierwszej wycieczki łodzią. Ofiarowała się zawieźć go tutaj i wtedy wiosłowała sama, pozostawiwszy mu sterowanie.

Wówczas miał sposobność pierwszy raz podziwiać jej siłę, sprawność i obeznanie się z morzem; nie darmo była córą i wnuczką kilku pokoleń rybaków i żeglarzy, władała wiosłem tak lekko, jak on pędzłem.

Potem niejednokrotnie wozila go w tę stronę, opowiadała mu z naiwną wiarą i przekonaniem o podaniach i legendach przyrosłych do skał Helgolandu; pokazywała mu miejsca, gdzie św. Urszula z 11,000 panien, schroniwszy się przed prześladowaniem pogan na tę wyspę, tańczyła na falach morskich, a fale utrzymywały tańczące dziewice na powierzchni.

Że zaś wyspiarze wtedy byli jeszcze bardzo nieokrzesani i na pół dzicy, więc nie umieli się z pannami obchodzić i za karę zapadli się z ziemią swoją w morze, a na miejscu żywego lądu wyrosła ogromna skała, na której wszystko, wszyściutko skamieniało. Ludzie pamiętają jeszcze, że na wyspie znaleziono złotą, woskową świecę z owych czasów, zupełnie w kamień zamienioną. Niedowiarki powiadali, że to nie była świeca, tylko kamień piorunowy, ale to nieprawda, to było całkiem inaczej.

Innym razem pokazywała mu studnię, w której król Ratbod miał być ochrzczony przez św. Wolframa i już jedną nogą stał w wodzie, gdy mu przyszło na myśl zapytać, gdzie też znajdują się na drugim świecie jego pogańscy przodkowie, a gdy mu powiedziano, że w piekle, wtedy wyskoczył szybko z wody i zawołał:

— To i ja chcę tam do nich pójść; wołę być ze swoimi razem w piekle, niżeli bez nich w niebie!..

Zaprowadziła go także do miejsca, gdzie przed wiekami stał zamek tego króla na szczycie skały, i gdzie była cysterna zawalona ogromnym blokiem granitu.

— Widzisz pan—mówiła z uśmiechem—stąd się biorą dzieci u nas na wyspie; każda matka, która tylko chce mieć dziecko, przychodzi tutaj w nocy, odchyła kamień i ze studni może sobie zabrać synka albo córeczkę, tylko potem choruje z podźwignienia i musi jakiś czas w łóżku leżeć. Mnie także stąd zabrano!—dodała, śmiejąc się filuternie—tak, tak!

Keergard słuchał tego i dziwił się tej prostocie, która miała dużo uroku i pewnej poezji w sobie.

Zaproponował Bienie, że ją wymaluje, jako jedną z towarzyszek św. Urszuli, tańczącą na morskich falach, jeśli mu tylko pozować zechce.

Zarumieniła się z radości i rzekła:

— Czemu nie?!.. a potem pan mi daruje ten obrazek, dobrze?

— Potem pošlę go najpierw na wystawę—odpowiedział.

— Na wystawę?.. do Hamburga?.. może nawet do Berlina?..

— Nie, naprzód do Paryża!

— Aż do Paryża?!.. i tam będą mi się ludzie przyglądali?.. za pieniądze?..

Plasnęła w ręce i zaczęła się śmiać z zadowoleniem.

Ogromnie jej się to podobało; przystała z ochotą i odtąd Jerzy zabierał z sobą zawsze szkatulkę z farbami, pędzle, paletę i swoją tekę do szkicowania, gdy się wykradał do tajemniczej groty, która mu służyła za pracownię.

Obraz wprawdzie nie bardzo postępował, ale stosunek z modelką w tak romantycznych warunkach robił nadspodziewanie szybkie postępy.

Uroczę sam na sam powtarzały się od połowy sezonu coraz częściej; czarne oczy Bieny zapalały się coraz gorętszym, fosforycznym blaskiem, gdy spoglądały na młodego artystę, biegly za nim niespokojnie, gdy z domu wychodził, śledziły go w tłumie na przechadzkach, w kąpieli, w towarzystwie strojnych dam, którym asystował.

Niekiedy gęste brwi Walkiury ściągaly się gniewnie, gdy zobaczyła—niby przypadkiem znalazłszy się na przystani lub pod Kurhauzem—że z większem zajęciem rozmawia z pięknymi paniami i prawi im coś bardzo zabawnego, albo słuchoa zanadto uważnie ich szczebiotania po angielsku i po francusku.

Z rękoma wspartemi na wydatnych kłębach przechodziła wtedy tak blisko obok, że się niemal o niego ocierała i z jakąś zadąsaną miłą przypatrywała się prawie impertynencko całemu towarzystwu, wydymając pogardliwie dolną wargę, jakby miała na ustach słowa:

— Jest się komu zalecać!.. kwacze to, jak dzika kaczka. Boże zmiłuj się!.. ni pierza, ni mięsa! Myślą, że mu się podobają takie zmo-kle kury!..

Gdy się potem spotkali w swoim ustroniu, zarzucała mu ręce na szyję, przytulała swą rozpaloną twarz do jego twarzy i dygocząc, jak w febrze, szeptała przez zaciśnięte zęby:

— Ja nie chcę... ja tego nie chcę!.. ja nie mogę się na to patrzeć... słyszysz?.. ty mnie nie dręcz, skoro wiesz, żem zazdrośna o ciebie. Ja im przecież nie mogę oczu wydrapać i zabronić, aby się do ciebie tak nie mizdryły, boś ty mój, słyszysz?.. moj!.. mój!.. No, powiedz, żeś mój!.. zaraz mi to powiedz!

Nachylał się nad nią i swoje świeże, gorące, jak z Antinousa wykrojone usta, przyciskał w namiętnych pocałunkach do jej obnażonej

szy, nad którą wily się kędziory jasnych, rozwianych włosów, do policzków płonących rumieńcem, do czoła, oczu załzawionych, a w końcu do ust spragnionych pieśczoły.

— Dziecko jesteś! — szeptał jej przytem — wstydź się Biena. Przecież ty wiesz, że wolę ciebie, niż tamte wszystkie razem. Z tamtych sobie tylko żartuję; nie znasz się na żartach?.. co?.. to żarty. Biena, żarty!.. One się porozjeżdżają w swoje strony, a ty zostaniesz.

Dziewczyna przytulała się do niego, przyciskała do jego piersi ze drzeniem i cichym, żalonym głosem pytała:

— A ty?.. ty także pojedziesz; ty przecież także nie zostaniesz?.. prawda?.. co?

Nie dawał jej odpowiedzi od razu, ale po namyśle, jakby dla uspokojenia mówił:

— Nie wiem... może zostanę. W każdym razie wyjadę stąd ostatni. Kto tam może wiedzieć, co jeszcze będzie!.. mamy przecież dużo czasu...

To jej nie pocieszało; nie wystarczała jej ta nadzieja.

— Czas szybko płynie — mówiła z westchnieniem — tydzień, dwa, trzy... miesiąc, a potem?.. et!

Otrząsała się i wyrywała z jego ramion z twarzą schmurzoną, jakby gniewna na samą siebie; szła na samą krawędź groty, zarzucała sobie chustkę fularową na głowę i końce jej przytrzymując zębami, patrzyła z jakąś surową zadumą w bryzgające fale.

Raz mu powiedziała z nagłą stanowczością:

— Jedź!.. ale ja wiem, co zrobię.

— Cóż takiego?..

— No, zobaczysz!.. pojedę za tobą, wiesz?.. pojedę w świat, gdzie zechcesz, gdzie oczy poniosą, tak!.. niech tam będzie, co ma być.

Ta zapowiedź zmieszała go trochę.

— I nie będzie ci żal ojca?.. Helgolandu?.. twojego morza?..

Popatrzyła na niego jakby zdziwiona i podrzuciła ramionami.

— Także!..

Wspomnienie o ojcu podnurtowało jednak jej myśli; chwiała się, jakby lódź na głębinie.

Przez dwa dni potem nie chciała się z nim spotykać w grocie, lecz ją przyciągnęła w końcu pokusa i urok tych samotnych schadzek;

przyplęnęła znowu któregoś południa, ale smutna, zamysłona, bez zwykłego humoru i uśmiechów na zagryzanych ustach.

Dzień był szary i wietrzny; zdawało się, że we wnętrzu wyspy, w skalistych jej czeluściach wyją jakieś potępieńcze głosy.

Grota zasuta była posępnym mrokiem.

Siedzieli oboje na dużym głazie, który leżał, jak szczątek zburzonego ołtarza z czasów, gdy na wyspie panował jeszcze pogański kult Herty; trzymali się za ręce i milczeli.

Rozmowa się urywała, nawet jego pocałunki wydawały się dziś chłodniejsze... Morze szumiało i wiatr daleko gdzieś gwizdał, oblatując wyspę, jakgdyby tropił, węszył i szukał czegoś w skalistych rozpadlinach.

— Tu dzisiaj nie do wytrzymania! — odezwał się Keergard — wracajmy, Biena!.. morze jakieś burzliwsze, niż zwykle. Zobaczymy się jutro lub pojutrze.

Spojrzała mu w oczy, bo głos jego wydał jej się dziwnym; jakimś znudzeniem czy zniechęceniem brzmiały jego słowa.

Nie odrzekła nic, tylko wstała i powolnym krokiem poszła ku sklepienemu otworowi groty, poza którym między skałami ocierały się o siebie burtami dwie uczezione łodzie.

Nagle podniosła głowę i niespokojnym błyskiem oka rzuciła na niego; strwożona, zdziwiona otworzyła usta, schwyciła go nerwowo za ramię i szepnęła jeden tylko wyraz:

— Wiosła?..

Nie zrozumiał w pierwszej chwili tego zapytania.

— Wiosel niema! — zawołała niemal rozpaczliwie — co się stało z wiosłami?..

— A prawda!.. co się stało z wiosłami?.. przecież były w łodzi!..

— Jesteś tego pewny?..

— Najpewniejszy!.. złożyłem je sam w mojej łódce, a ty?..

— Także.

— Gdzież się podziały?..

Nie mogła głosu wydobyć z zaciśniętej krtami, nogi jej zdrewniały, wszystka krew zbiegła do serca.

Keergard rzucił się na poszukiwania, przeglądając obie łodzie, obejrzał je dokoła i z załamaniem rękoma stanął niezaradny, poznawszy dopiero teraz groźbę sytuacji.

— A to miła historia! — wybuchnął — niema nigdzie!.. co się z nimi stać mogło?

Dziewczyna z oczyma wlepionemi w przestrzeń, zdawała się rozmyślać nad czemś niespokojnie!

— Chyba kto zabrał:—odezwała się po chwili.

— Zabrał?!..

Skinęła głową na potwierdzenie.

— Któż mógł zabrać?!.. przecie tu nikogo nie było!.. nie słyszeliśmy, żeby kto podpływał do grotty. Kogóż-by się takie psie figle trzymały?

Przez chwilę przyszedł mu na myśl Devineux, ale to przypuszczenie było nieprawdopodobnem.

Nie mógł zrozumieć, jakim sposobem zginęły wiosła z obu łodzi, komu-by przyszedł taki szalony pomysł przecięcia im odwrotu i zaskoczenia ich tego rodzaju niespodzianką.

Znajdowali się oboje, jak w pułapce, oblani morzem dokoła, po drugiej stronie wyspy, bez ratunku, skazani na przymusowy pobyt w zapadłej, ustronnej jaskini, o której mało kto wiedział, oprócz najstarszych wyspiarzy.

Nie było możliwości wydostać się stąd przy nadludzkiej nawet wysiłkach.

Położenie stało się fatalnem, bez wyjścia.

Keergardowi serce waliło, jak młotem; w pierwszej chwili nie mógł oswoić się z sytuacją, która wydawała mu się tragiczną i śmieszoną zarazem.

Przypomniały mu się przepowiednie i ostrzeżenia przyjaciela Devineux, które zbywał zawsze lekceważeniem, a które się tak nagle spełniły — naraził się na skandal, na obmowy, plotki, ośmieszenie.

Jutro, może pojutrze dopiero, po długich poszukiwaniach znajdą go tutaj sam na sam z Bieną Dulcken i wykryją ich schadzki, ich morską romantyczną idyllę, którą mu się udawało zachowywać dotąd w tajemnicy.

Czuł głuchą wściekłość ze wstydem, upokorzeniem i przeświadczeniem o swej bezsilności wobec fatalnego wypadku, na który naraził—siebie i ją, stojącą w osłupieniu, nieprzytomną nawet z trwogi i bezradności.

Instynktownie podszedł do niej, ujął ją za ręce i wstrząsając niemi, spytał nerwowym, drżącym głosem:

— Cóż teraz będzie?..

Ona zaś, jakby ocknęła się ze snu, drgnęła całym ciałem, osunęła się na ziemię i zakrywszy twarz rękoma, jęknęła z płaczem:

— Czy ja wiem!..

MARYAN GAWALEWICZ.

(Dokończenie nastąpi).

Z dziedziny życia rolniczego we Francyi.

Z powodu wystawy, Francya nie pod jednym względem zasłużyła na baczność uwagi cudzoziemca. Dla naszych rolników, nie wystawione plody, oraz narzędzia, w swoim rodzaju zresztą doskonale, mogą budzić bliższe zainteresowanie. Stosunków z Francją na tle życia ekonomiczno-rolnego nie mamy żadnych, i nie zanosi się na zmianę w tym względzie. Poza tem jednak jest wiele objawów w życiu rolniczym francuskim, które niepośledni interes, oczywiście, akademicki, i dla nas przedstawiają.

I.

Na pierwszym planie postawić należy francuskie syndykaty rolne. Rolnicy, ekonomiści, socyologowie i prawodawcy wszystkich krajów od lat paru bardzo pilną zwrócili na nie uwagę, jako na objaw,

ogólne, społeczno-światowe mający znaczenie. I u nas, od czasu, jak o własnych zaczęto myśleć syndykatach, zapoznawano się z francuskimi. Jest ich obecnie do 2,500, z ogólnej liczby 500,000 (cyfry co miesiąc idą w górę). Wielka mapa ścienna Francyi na wystawie wskazuje, że niema departementu, gdzieby się parę syndykatów nie znajdowało, a w niektórych departamentach jest ich z górą po osiemdziesiąt. Już to jedno zestawienie liczb, niewątpliwie imponujących, wykazuje nam, że syndykat rolny francuski, to organizacya całkiem różna od tego, co wyobrażamy sobie, mając na myśli nasze towarzystwa handlowo-rolnicze gubernialne. W jednym departamencie, a zatem na obszarze połowy naszej gubernii, może być osiemdziesiąt syndykatów! I nic dziwnego; nie przeszkadzają one sobie bynajmniej, bo przeważna ich część taki przedstawia stosunek, że każdy syndykat obejmuje zaledwie jedną gminę francuską, to jest obszar jednego naszego większego folwarku z dołączeniem paru mniejszych wsi okolicznych. Oczywiście, prawie wszyscy członkowie syndykatu są to zwyczajni chłopci. Każdy więc zgodzi się zapewne, że syndykaty francuskie to coś zupełnie osobliwego. Dla zrozumienia tej osobliwości trzeba zobaczyć, skąd się one wzięły i jak się rozwinęły.

W roku 1791 wydane zostało we Francyi prawo, zabraniające wszelkich zmów i związków osób jednego zawodu w interesach zawodowych. Prawo to wymierzone było przeciw cechom. Rolnictwo francuskie zaczęło uczuwać ciężar tego prawa dopiero w drugiej połowie bieżącego stulecia, gdy w Niemczech i Włoszech powstawał cały szereg kas i banków rolnych ludowych, a we Francyi wszelka działalność w tym względzie była prawem zabroniona. Wykonawcy władzy na prowincyi, panowie prefekcji, bardzo bacznie nawet śledzili, by czasem który z posiadaczy zamków, ogniska antyrepublikańskiego, nie myślał zwolywać okolicznych chłopów i swego wpływu, groźnego dla państwa, nie starał się pod jakimbądź pozorem wywierać. Pomimo jednak względów polityki państwowej, które obecnej polityce francuskiej nakazywały trzymanie świata rolniczego w zupełnem odosobnieniu od życia społecznego, w roku 1884 wyszło prawo, zezwalające na zakładanie wszelkich towarzystw i związków po wsiach na gruncie interesów zawodowych, z nadaniem praw cywilnych i zupełnej swobody organizacyi. Motywy tego prawa brzmią w instrukcyi ministra do prefektów: „Niektóre narody, gorzej od natury niż Francya uposażone, a z którymi konkurować musimy, zdołały dojść do wysokiego stopnia dobrobytu i rozwoju w dziedzinie handlu, przemysłu i rolnictwa, dzięki właśnie różnym instytucyom, opartym na wolnem stowarzyszaniu się, jako to: kasy wzajemnej pomocy, wza-

jemnego kredytu, stowarzyszenia spożywcze, biura informacyjne i t. d. Francya musi się śpieszyć na tej drodze pod groźbą upadku“.

Następnie minister tłumaczy prefektowi delikatnie, że nie należy już więcej z niedowierzaniem patrzeć na rolników, usiłujących grupować się koło spraw zawodowych, nie trzeba robić im żadnych utrudnień, przeciwnie, trzeba im dać do zrozumienia, że teraz to wszystko ma się dziać w widokach rządowych.

Skwapliwie skorzystali rolnicy francuscy ze swobody stowarzyszenia się, jaka im nadaną została.

W ciągu lat niespełna dziesięciu, około 1890 roku, już cała Francya pokryła się syndykatami, które stały się zupełnie nowym a potężnym czynnikiem życia ekonomicznego i społecznego. Nawet sięgnęły one wkrótce w dziedzinę polityki, bo oto gabinet Méline'a, niedawno rządzący we Francyi, był tryumfem politycznym syndykatów, i przeprowadził parę praw, uzupełniających szeroki a swobodny zakres ich działania.

Jak sobie tak szybki rozwój syndykatów wytłumaczyć? Wnet po wydaniu prawa z 1884 roku rozpierzchli się po całej Francyi agitatorzy, działając wspólnie, i świadomi swoich celów, odrazu rozniecili ruch ożywiony po wszystkich zakątkach kraju. Byli to członkowie Towarzystwa Rolniczego, oddawna istniejącego we Francyi. W niemto zjednoczyli się w liczbie paru tysięcy wszyscy światlejsi rolnicy francuscy. Prawodawstwo zamykało ich działalność w sferze rozpraw akademickich, ale świadomość potrzeb rolnictwa francuskiego tem silniej się rozbudzała, że zaradzić im nie było wolno. Ludzie ci rozumieli, że postęp oparty być musi na wzajemnej, swobodnej pomocy w sferze interesów materyalnych i społecznych, wiedzieli, co się dzieje za granicą, i gorąco pragnęli, by toż samo, by więcej nawet dokonać było można we Francyi. Bodziec w agitacji syndykalnej był czysto ideowy i postępowy. Pionierzy syndykatów znaleźli wnet niespodziewanych, lecz bardzo naturalnych, sprzymierzeńców w szlachcie francuskiej. Zdawało się, że szlachta ta powoli wygaśnie w powodzi wzbogaconego mieszczaństwa, stanie się niezdolną do czynów, do działania społecznego przez zamykanie się w obrębie czysto towarzyskiego życia. Już w pewnej stronie Francyi, na pytanie, zadane człowiekowi prostemu: „co to są arystokraci?“, slyszeć się dała odpowiedź: „są to ludzie, co mieszkają w zamkach i hodują psy“.

Tymczasem apatya społeczna, zamknięcie w sferze jałowej, gdyż wyłącznie towarzyskiej, nie było snąć oznaką zaniku sił duchowych, lecz jedynie wynikiem nieprzyjaznego kierunku życia społeczno-politycznego Francyi, gdyż naraz, po roku 1884, szlachta gromadnie rwie się do pracy na niwie rozwoju syndykatów, na niwie bardzo przecież

skromnej, gdzie nie ambicya jedynie, lecz prawdziwa chęć oddania usług publicznych popchnąć ich musiała. Oczywiście, nie idzie im, gdy się podejmują prowadzenia ksiąg syndykatów i załatwiania ich interesów, o to tylko, by garstka sąsiednich chłopów o parę groszy taniej kupiła trochę towarów, lecz o to, by przez cały szereg drobnych usług, oddawanych bliżnim sąsiadom, zaznaczyć swą solidarność ze społeczeństwem, w którym żyją, by przez te usługi zarazem swoje otoczenie wznieść do wyższego poziomu, a samym stać się wśród tego wzniesionego poziomu szczytem, nie jak dawniej, wyodrębnionym głazem. A chłopci? Tu niespodziewany również widzimy wynik utajonej ewolucyi duchowej, jaka się wciąż odbywa w łonie jednostek i grup społecznych. Ta właśnie ewolucya duchowa, często na przekór życiu materyalnemu się rozwijająca, staje się gruntem, na którym zupełnie nowe w życiu społecznym powstają objawy, jakby zwrotnice w rozwoju społecznym, które i z prostoliniowej, często do przepaści, bo do krańcowości prowadzącej drogi, kierują bieg życia ludzkiego na tory stopniowego udoskonalenia.

Zdawało się tedy, że w ciągu bieżącego stulecia chłop francuski coraz silniej w swoim indywidualizmie postępował. Indywidualizm ten, zgodny z panującym kapitalizmem, rozwijany i utrwalany był systematycznie przez rząd, który w nim upatrywał podwalinę panowania Paryża nad Francją, prefektów i merów nad gminami, szynkarzy zaś, swoich agentów, nad wyborcami. Tymczasem system ten udawał się dopóty, dopóki po wsiach francuskich trwały uprzedzenia polityczne, zabytki dawnych antagonizmów. Lecz, jak wszystko, co nie odpowiada prawdzie, uprzedzenia zniknąć musiały. Chłop francuski zrozumiał, że dla niego rzeczą jest obojętną, kogo szynkarz na deputowanego przeforsuje, że mer i prefekt, ciągle przedstawiający potrzeby bronienia rzeczypospolitej od wewnętrznych wrogów, w gruncie rzeczy o swoje jedynie stanowisko się troszczą. Natomiast o ich własnych potrzebach niema komu pamiętać. Chcieli-by jakoś spróbować bądź nawozów sztucznych, bądź narzędzia ulepszonego, czy jakiego sposobu poprawy ziem własnych, bo podatki wzrastają, a dochody nie powiększają się ani trochę; ale jak sobie poradzić? Gromadnie wolno tylko głosować na kandydatów do parlamentu. Uciekają też młodzi do miasta, a pozostali nie mogą nie przyznawać im racji. „Wieś potrzebuje poprawy, tej poprawy ani prefekci, ani merowie, ani deputowani nie przeprowadzą”; oto co sobie uświadomił chłop francuski w drugiej połowie naszego wieku. Może-by też sami między sobą radę znaleźli? Mają bogatszych i światlejszych dzierżawców, a zresztą i sąsiedni właściciel „zamku“ ma głowę rozumną i serce uczciwe. Prawda, że na wyborach stronnicy prefekta nazywa-

ją go zdrajcą, ale on przecież nikomu nic złego nie zrobił, więc na to niema co zważać. Na takim tedy uzdrowionym przez czysto naturalny bieg życia społecznego gruncie, agitacja syndykalna przychylnie przez chłopów, i to masowo, przyjętą została.

Rozumiemy teraz, skąd się wziął tak raptownie silny rozwój syndykatów we Francyi; zarazem pojąć będziemy mogli, skąd się bierze tak różnostronna, często głęboko sięgająca ich działalność, i skąd zatem płynie ich ogólna doniosłość.

Działalność syndykatów przedstawia się krótko w następujący sposób: W sferze ekonomiczno-rolniczej syndykaty udostępniły, rzecz można, użycie nawozów sztucznych chłopom, przez ułatwienie ich nabywania, wyrugowały fałszerstwa nawozów i obniżyły ich cenę. Zarówno obniżyły one ceny innych towarów, potrzebniejszych rolnikom, jako to: narzędzi rolniczych, żelaza i t. p. Dalej, nabywając na rachunek ogólny droższe narzędzia, uprzystępniły ich użycie poszczególnym drobnym rolnikom. Niszczenie pospólne chrabąszczy, ochrona winnic od przymrozków, ochrona pól od szkód grubej zwierzyny i t. p., dokonane zostały przez liczne syndykaty. Co się tyczy sprzedaży produktów rolnictwa, syndykaty nie poświęcają się jej na ogół, tylko kilkadziesiąt z nich zajmuje się sprzedażą specjalnych win, oliw, jabłek i t. p. Parę syndykatów plantatorów cukru sprzedaje wspólnie swoje buraki fabrykom. Inne zajmują się wysyłką ogólnych transportów masła i sera. Przy zastosowaniu się zatem do czysto miejscowych warunków, i na polu zbytu produktów syndykaty swą żywotność zaznaczają. Poza ekonomiczną, bardzo także pokaźnie przedstawia się społeczna działalność syndykatów, pod hasłem wzajemnej pomocy dokonywana. Na porządku dziennym widzimy zatem wzajemne nauczanie rolnicze, urządzenie pól doświadczalnych, wprowadzanie nauki rolnictwa do szkół elementarnych, assekurację od ognia, gradu, upadku bydła nawet. Wszystko to syndykaty organizują, biorą w swoje ręce, a niektóre z nich śmiało wkroczyły na drogę, dążącą do zażegnania wprost przesilenia społecznego naszego wieku, płynącego z przepaści pomiędzy klasami i z niedoli, na jaką klasa pracująca, a nie posiadająca, jest skazana. A więc kasy pomocy w razie choroby, kasy pogrzebowe i niedawne ubezpieczenie robotników rolnych na starość wydawaniem im emerytury, oto do czego syndykaty francuskie same przykładają ręki. Za główny bowiem motyw wychodźstwa do miast młodzieży wiejskiej obserwatorzy życia rolnego zgodnie uznają chęć zostania na starość rentyerem, dążność do tego, by mózdz spokojnie życie zakończyć przez dorobienie się w mieście. Na wsi dorobić się trudno, ale żyć z pracy łatwo, gdy więc robotnik

będzie wiedział, że o starość swą troszczyć się nie potrzebuje, bo o nim pamiętać będzie syndykat, chętnie wśród swoich pozostanie.

Ruch w kierunku jednania syndykatom ludności robotniczej bezrolnej, przez uwzględnianie jej interesów klasowych specjalnych, wszczął się od niedawna, i jest to wynik dopiero co kielkującego, odpowiedniego działania z góry. Co zaś jest powszechnem już, to coraz szersze stosowanie zasady ubezpieczenia wzajemnego. Chłopi u nas w kraju nie są przyjmowani do ubezpieczenia krescencyi. Toż samo było i we Francyi, to jest solidne firmy nie chciały wchodzić z nimi w umowę, i chłopi musieli uciekać się do usług Towarzystw, wątpliwej gwarancyi; syndykaty sprawę ubezpieczeń krescencyi chłopskich rozwiązały w ten sposób, że same podjęły się być agenturami Towarzystw ubezpieczeniowych. Ostatni zaś krok w sferze ubezpieczenia wzajemnego uczynionym został we Francyi przez szerokie rozpowszechnienie ubezpieczenia wzajemnego od upadku bydła. Opiera się ono na zupełnie swobodnej formie, wypływającej jedynie z zaufania wzajemnego w łonie syndykatu. W obrębie danej gminy (od naszej pięćkroć mniejszej), ogół rolników-chłopów i nie chłopów zobowiązuje się zbierać co kwartał, za pomocą swoich ad hoc wybranych delegatów, i obliczać, komu ile sztuk bydła padło, za jaki ubytek pieniędzy, i ten ubytek na cały ogół członków rozkładają. Od paru lat, dzięki agitacyi z góry ludzi dobrej woli, ten system ubezpieczeń rozpowszechnia się po całej Francyi.

Co za ruch i życie obudziło się wśród tej, pogardzanej przez Paryż, wsi francuskiej! Ale też i co za pretensye i nadzieje! Już w roku 1893 hr. Roquigny napisał książkę, w której dał do zrozumienia, że syndykaty rolne we Francyi są powołane do zmiany całego ustroju społecznego i politycznego Francyi ¹⁾. One zbawią ją od zmor socjalizmu i od szarlataneryi Paryża. Książka zrobiła potężne wrażenie na ogóle ludzi myślących. Od tego czasu wzrastają wciąż w siłę i stanowczość te dążenia, które nie często może są wypowiedane, lecz tkwią w myśli całych zastępów. Utworzyć właściwą reprezentację zawodową, w której rolnictwo figurowało-by oczywiście na pierwszym planie, wydzielić w łonie Francyi parę grup prowincjonalnych, mogących stanowić przeciwwagę Paryżowi, w łonie każdej grupy dać

¹⁾ Wówczas-to, w roku 1894, w dawnym „Ekonomiście Polskim“, wychodzącym we Lwowie, pomieściłem artykuł: „Syndykaty rolnicze we Francyi i socjalizm“, w którym przedstawiłem obszerniej znaczenie ruchu syndykalnego we Francyi wobec przesilenia społecznego. Obecnie więc tylko pobieżnie dotykam tego przedmiotu.

całkowite zadowolenie różnym żywiołom społecznym w miarę ich doniosłości, w łonie oddzielnych komórek społecznych, to jest drobnych gmin, miasteczek i miast, załagodzić antagonizmy społeczne przez wprowadzenie w czyn zasady wzajemnej pomocy całego szeregu instytucji dobra i użytku powszechnego—oto postulaty tych dążeń. Zamiast znosić własność indywidualną, należy tylko uzupełnić ją własnością wspólną, nie państwową jednak, lecz syndykalną, zawodową, nie przymusową zatem, lecz dobrowolną. Syndykat rolny, mając swoje fundusze wieczyste, będzie mógł śmiało zabezpieczyć los tym, którzy są upośledzeni, tym, którzy się wysłużyli w pracy, lub pracy znaleźć nie mogą. Zimowych zajęć dostarczy warsztat syndykalny, a grunt syndykalny schronienia.

W miastach te same zasady mogą zmienić zupełnie obecny stan rzeczy i usunąć wrzenie, ale wprzód musi wieś dać przykład, a miasto przed potęgą zjednoczonej społeczności muszą kapitulować.

I tego mają dokonać syndykaty, luźne związki, liczące po kilkadziesiąt ciemnych chłopów każdy, oraz kilku jakich intelligentnych ludzi? Toż to mrzonki! Prawdopodobnie są to nadzieje przesadzone, pielęgnowane w umysłach zapalnych, o które wogóle we Francyi nie trudno, ale też i syndykaty nie są ruchem, idącym bez jakiejś organizacji świadomej.

Istnieje dziewięć związków syndykatów podług prowincyi i obejmują one 200 tysięcy członków, a tylko dwadzieścia departamentów Francyi nie jest temi związkami objętych. Związki, dostarczając swoim syndykatom różnych korzyści materialnych, przeprowadzając tańsze umowy z dostawcami, tańsze assekuracye i t. p., mają za zadanie właściwe rozbudzać świadomość powołania społecznego syndykatów.

Zdołały już syndykaty osiągnąć ulgę w materialnem położeniu drobnej własności rolnej; przeprowadziły już częściowo i mają widoki dokonać stopniowej reformy prawodawstwa, z uwzględnieniem interesów rolnictwa, a zatem reformy cła, taryf, komunikacji i prawodawstwa cywilnego. Co zaś do reformy stosunków społecznych, to przyszłość dopiero pokaże, czy w rzeczy samej zasada wzajemnej dobrowolnej pomocy, wspólnie organizowanej, będzie w stanie rozstrzygnąć tę zasadniczą sprawę społeczną naszego wieku: zadowolenie klas pracujących, a nie posiadających. W każdym razie, w interesie ogólnym cywilizacji należy gorąco życzyć, by się spełnienie tego zadania syndykatom francuskim powiodło.

W jakież-to sfery odległe zaszedliśmy z powodu syndykatów, na pozór tak drobnej i poziomej sprawy! Wszakże to mają być zwyczajne spółki handlowo-zawodowe. Tak jest rzeczywiście, o ile mamy na

myśli nasze syndykaty. Francuskie zaś nabrały osobliwej doniosłości wskutek tego, że, obejmując szczupły zakres działania, sięgnęły głęboko, i dlatego, że pan, chłop, dzierżawca, ogrodnik, a czasem i robotnik rolny, wszyscy na równi są ich członkami. Wszyscy zaś są sobie wzajemnie dobrze znajomi, lecz nie po to, by jeden o drugim najgorsze miał wyobrażenie, ale, by we wzajemnem zaufaniu dochodzić do wspólnego porozumienia.

Oczywiście, że zbyt schematycznie przedstawiłem syndykaty francuskie. Francya jest krajem, w którym spotyka się mnóstwo najróżnorodniejszych objawów w każdej dziedzinie życia. To też, gdy przedstawiłem, że syndykaty obejmują parę wsi, to, oczywiście, stosowało się to do przeważającego ogółu, jest zaś wiele syndykatów, obejmujących nasze powiaty, a nawet niektóre odpowiadają zupełnie naszym gubernialnym Towarzystwom rolniczym. Są bowiem strony Francyi, gdzie przedział między klasami jest, jak i u nas, wybitny, samo jedynie obywatelstwo może brać udział w syndykatach, a dla obywatelskich syndykatów potrzebnym jest szerszy zakres terytorjalny.

Ale nie o zobrazowanie całokształtu ruchu syndykalnego szło mi obecnie, gdyż na to trzeba-by napisać bardziej wyczerpujące studjum, lecz o przedstawienie, na czem polega osobliwość i doniosłość ruchu syndykalnego we Francyi.

Chcąc bliżej przyrzeć się kierunkowi społecznemu, który się w syndykatach rolnych we Francyi zaznacza, dobrze będzie zapoznać się z postacią wybitną w tym względzie, hrabią Chambrun.

II.

Postaci hr. Chambrun nie jeden kraj mógł-by pozazdrościć Francyi. To nie młody agitator, pełen zapału dla sprawy, a jeszcze bardziej pełen ambicji, któremu idzie więcej bodaj o to, by on był zbawcą świata, niż by świat był zbawiony. To nie doktryner, pragnący opanować bieg życia własnym rozumem. Jednych i drugich pycha unosi często na błędne drogi. Hr. Chambrun prawie całe życie spędził, jak tysiące innych arystokratów, wśród atmosfery jedynie towarzyskiej, uszlachetniając ją tylko sztuką, głównie muzyką. Przyjęcia u niego zawsze nosiły wzniosły, artystyczny nastrój. Ale nie nie po-

zwałało przeczuwać w nim przyszłego działacza społecznego. Przekształcenie się jego duchowe nastąpiło nagle, niespodzianie, na schyłku samym jego wieku. Umiera mu żona, a on sam wzrok traci. Wtedy zamyka się starzec w sobie, robi sobie wyrzuty, że jedynie dla osobistych celów życie swe poświęcał i na początku 1891 roku czyni votum oddania resztki swych sił duchowych sprawie ulżenia doli ludzkości. Lecz nie drogę łatwej filantropii, lub dobroczynnych zapisów i testamentów obiera sobie starzec, ale drogę wolnej inicjatywy społecznej w celu rozwiązania przesilenia społecznego naszej doby. Bez ścisłej doktryny, nadaje on jednak wyraźny kierunek swym dążeniom ku ulżeniu doli klas pracujących, przez dopuszczenie ich do zysków, zabezpieczenie ich bytu od złego losu i starości, wzmocnienie ich stanowiska przez zawodowe organizacje. Tu pole dla swobodnej inicjatywy jednostki, do wspólnego działania, opartego na wzajemnym porozumieniu, w przeciwieństwie do systemu, opartego na gnębieniu mniejszości przez większość, do czego-by przyjść musiało, w razie chęci rozstrzygnięcia kwestyi społecznej przez państwo.

Organizuje tedy hr. Chambrun „Muzeum społeczne“, wspaniałą instytucję, gdzie zebrane są wszystkie dokumenty drukowane i piśmienne, odnośnie do stosunków klasowo-społecznych, pracy społecznej, związków, stowarzyszeń, kooperacji, urzędzeń współdzielczych i t. p., gdzie funkcjonują biura studyów i porady we wszystkich zagadnieniach społecznych. Ktokolwiek pragnie przyjść z pomocą swej ludności robotczej, dostarczają mu w „Muzeum“ informacji wszechstronnych, oraz porady właściwej. Gdyby robotnicy chcieli pomyśleć o wspólnem zaradzeniu swojej nędzy, przez własne stowarzyszenie, otrzymają informację w „Muzeum“, co robić można, i poradę, jak postąpić należy.

W pierwszych latach hr. Chambrun głównie kwestyę rolniczą miał na widoku. W życiu bowiem Paryża o masę tylko się troszczono, gdy mowa była o zadaniu wieku. Dopiero w 1896 zwrócił hrabia uwagę na syndykaty rolne, jako na objaw w życiu społecznem coraz wyraźniej się wybijający. Chcąc od razu objąć szeroko całość ruchu syndykalnego, w 1897 organizuje mały kongres prezesów Związków syndykatów rolnych usiebie w Nizy. Przez 6 dni z rzędu rozprawiano nad wprowadzeniem w życie wśród syndykatów rolnych zasady wzajemnej pomocy w całej rozciągłości. Tu przewodnicy ruchu syndykalnego we Francyi spostrzegli, że to, co każdy z nich w swoim zakątku po cichu robił, o czem nieśmiało marzył, to może stać się ideą wszechświatową.

Tem przekonaniem natchnął ich starzec, prawie fizycznie bezsilny, niewidomy, lecz jakże jasno patrzący w głębię duszy ludzkiej, by móżdżek z niej najszlachetniejsze pierwiastki na jaw wydobyć! Powzięto postanowienie pokrycia całej Francyi syndykatami i złączenia ich wszystkich w związki prowincjonalne, a hr. Chambrun powziął zamiar dania inicjatywy i przykładu syndykatom, jakimi one być winny, by stały się godne dopełnić swej misyi społecznej. Na tym kongresie coś nowego zdało się odżyć w starym hrabim. Oto, jak sam o tem powiada: „Mówią, że zwierzę, przerażone siłkami myśliwca, ucieka po przez las, i wodę, i pola, aż w te same siłki z powrotem wpada. I moje życie podobnie się przedstawia. Po tylu rozmaitych wysiłkach, przedsięwzięciach i zmianach losu, oto znów zbliżam się do was, by skończyć na tem polu pracy, na którem mnie młodość zastała.“ Tu starzec z rozrzewnieniem wspomina folwark, na którym ojciec jego, dawny wojak, gospodarował, wspomina służących i robotników, a starego kosiarza folwarczego tak opisuje: „Prawie osiemdziesięcioletni starzec, wielki i silnie zbudowany, nazywał się Frère. Oczy jego jasno-niebieskie, ze zdziwieniem niejako, lecz spokojnie, na świat patrzyły, tyle różnych rzeczy widziały, a zawsze to samo. Mimo, że nawpół zgięty od pracy, nie przestawał kosić w swej porze, i zdawało się, że umrze nie inaczej, jak z kosą w rękę, podobnie, jak żołnierz z bronią wręku na polu bitwy. Bo też są pola bitew, a jest i pole pracy i na obydwóch są bohaterami odważni, wierni, pełni godności, święci męczennicy.“

Na kim w młodości takie wrażenia wywierała postać kosiarza folwarcznego, ten sam na starość mógł się dźwignąć na szczyty wzniosłych myśli i czynów. Organizuje hr. Chambrun, wskutek kongresu w Nizy, konkurs syndykatów rolnych, na rzecz którego przeznacza hojne nagrody. Urządza go w Paryżu przed światem całym, z całą znajomością rzeczy i w potrzebnem otoczeniu, by konkurs stał się wytyczną dla ogółu syndykatów nieodznaczonych, po jakiej drodze nadal kroczą mają. Na konkursie odznaczone zostały w liczbie 75 te syndykaty, które najwięcej w kierunku wzajemnej pomocy społecznej działy. Z ukrycia zatem ich czyny przed forum ogólnem Paryża wydobyte zostały i za wzór podane. Jednocześnie otwiera hrabia w swoim Muzeum dział informacyi i inicjatywy rolniczo-społecznej pod przewodnictwem osobnej komisyi własnej, z 20 stałych członków i 30 korespondentów prowincjonalnych.

Wreszcie kończy hr. Chambrun ten krótki lecz płodny dla sprawy społecznej, a w stosunkach rolnych ostatni okres swego życia naj-

piękniejszym i najwznioslejszem, jako myśl społeczna, dziełem: konkursem pracy robotczej wiejskiej. Syndykaty, które osiągnęły nagrodę społeczną, uzyskały prawo przedstawienia kandydatów na otrzymanie dożywotniej pensji emerytalnej z pośród robotników służących rolnych, którzy w danej okolicy wyróżnili się na swoim stanowisku jako jednostki społeczne.

Trzydziestu pięciu otrzymało dożywocie, a 114, to jest reszta kandydatów przez syndykaty podanych, odznaczenia. Są to zwyczajni formale, parobcy, kosiarze, robotnicy winnic, dniaki do wszystkiego. Lata ich służby od 40 do 70 się liczą, a u jednego 99-letniego starca aż 85 sięgają. Starzec ten pracował wciąż i zastrzegł, gdy go na kandydata podawali, czy to czasem nie ma być jałmużną, którą mają mu wyznaczyć. W opisach życia tych ludzi z powodu konkursu, obok długoletniej w jednym miejscu służby, powszechnymi cechami są: wielka ich pracowitość, aż do bardzo poważnych lat, wielka godność osobista i uczciwość, wytrwałość w znoszeniu przeciwności losowych oraz pogodność w usposobieniu. Piękny to był czyn wyrazić uznanie publiczne tym zasłużonym w pracy starcom przy udzieleniu im dożywocia, ale nie szło tu jedynie o samo nagrodzenie pracy i cnoty, lecz o pobudkę dla syndykatów, by w swoim zakresie przejęły się uznaniem dla zwykłej pracy ludzkiej i uznanie to wyraziły przez zaprowadzenie emerytur dla wysłużonych starców pracowników. Niektóre syndykaty zrozumiały intencję hrabiego i utworzyły wieczyste fundacye dożywotnie, tak, że po śmierci obecnego posiadacza dożywocia syndykat wyznacza z kolei drugiego, który-by z tegoż dożywocia mógł korzystać.

Szczęśliwym był hr. Chambrun, że za życia znajdował ludzi, którzy go rozumieli i myśli jego wnet w czyn wprowadzić umieli. Niewidomy starzec często mawiał: „wpatruję się w światło.“ W swem skupieniu duchowem, dojrzał on je snąć i posiadał, a inni promienie jego chcieli chwytali. Po jego śmierci nie pograży się już to światło w otchłani obojętności społecznej, lecz wpośród tysiąca serc się rozleje.

III.

Z kolei zobaczymy jakim też to jest we Francyi robotnik rolny, na którego zwrócił hr. Chambrun uwagę i uznanie społeczeństwa swego. Na wystawie w „pałacu społecznym“ znajdujemy zebranych w rękopisach kilkadziesiąt monografii, czyli szczegółowych opisów oddzielnych gmin pod względem rolniczym. Odzwierciedlona jest w nich praca rolna, byt materialny oraz życie całe większych właścicieli, dzierżawców, chłopów i robotników rolnych. Są to dokumenty pierwszorzędnej wartości. Autorzy monografii, przeważnie nauczyciele wiejscy, są ludźmi znającymi swoją okolicę dobrze i to, o czem pisali, widzieli i słyszeli powszechnie sami; monografie te są więc owocem bezpośredniej obserwacji. Dwie kardynalne cnoty znamionują ogólnie robotnika francuskiego wszystkich dzielnic: sumienność i pracowitość. To też włodarz lub karbowy są to typy nieznanne we Francyi. Każdy pracuje, kto się do pracy godzi, czy rocznie, czy na dzień. Tylko w większych folwarkach jest tak zwany „maitre de culture“, rodzaj ekonoma naszego. Poza tem żadnych specjalnych dozorców. Oganiacza utrzymuje gmina, więc folwark go nie potrzebuje. Gdzie niema ekonoma, dyspozycyę gospodarczą otrzymuje starszy fernal i starszy parobek, którzy sami przytem pracują razem z innymi. Zwykle tylko dwóch fernali: na stajnię fernalską jeden, który ma oddany oprzęt całej stajni, np. z 16 koni złożonej, który zarazem jest podwórzowym, a drugi wychodzi na robotę razem z najemnikami dziennymi lub parobkami i ma nad nimi powierzony dozór, właściwie baczenie. Systemu naszych cztero-konnych fernali niema. Robi się w jednego, dwa, trzy konie, stosownie do potrzeby; wzywa się do koni parobków i dniaków jednakowo.

Fornale zresztą i parobcy nie są na stanowisku podobnem do naszego. Są to służący na stole, bez rodziny. Jeżeli zaś ją mają, to muszą dla niej najmować mieszkania i ogrody we wsi sąsiedniej. Sami dostają życie całodzienne, i cały dzień i noc są na usługach gospodarstwa. Wynagrodzenie ich roczne sięga 300—500 franków. Ponieważ ceny ziemi i produktów rolnych we Francyi w stosunku do naszego kraju nie odpowiadają zamianie franka na rubla podług kursu

„placono“, lecz podług rzeczywistej wartości jego, otrzymamy jako pensyę parobka we Francyi sumnę 75 rubli do 125 rubli rocznie.

Nie wiem, czy nie taniej-by i u nas wypadło dać dobremu fernalowi stół i 75 rubli pensyi, niż 25 rubli pensyi z ordynaryą, wynoszącą 50 rubli, opałem 16 do 20 rubli, utrzymaniem dla jednej a często dwóch krów, mieszkaniem, ogrodem, ziemią w polu pod kartofle, oraz nie obliczoną ilością pośladów, obroków, koniczyny, liści buraczanych itp., samowolnie zabieranych, któremi żona fernala swego swiniaka pasie. W okolicach z bardziej intensywną gospodarką, gdzie zwykle z krów dworskich niezły dochód osiągnąć można, gdzie zatem utrzymanie krowy inwentarskiej drogo liczyć wypada, gdzie również opał bywa drogi, a ogród i pola pod kartofle też korzystnie przez folwark dało-by się wyzyskać; tam koszt ordynariusza wynosi 150 rubli rocznie, to jest, licząc 300 dni w roku, dziennie 50 kop., zimą i latem, co stanowi sumnę bardzo wysoką. Pożytek zaś z ordynariusza w gospodarstwie mało co jest większy, niż z robotnika na dzień. Stołownikom zaś płacimy najwyżej 40 rubli. Koszt utrzymania na stole czeladnym nie więcej nad 60 rubli liczyć można. Koszt stołownika wypadnie 100 rubli rocznie. Niestety, u nas na stołowników trudno uczciwych ludzi dostać. Człowiek z rodziną nie zgodzi się na tych warunkach, a chłopak u nas jest zawsze niepewnym służącym, na którym polegać trudno. Koszt ordynariusza, co prawda, odbijamy na taniej zapłacie posyłki. Ale cóż kiedy właśnie o posyłki coraz trudniej i zniechęcenie do służby dworskiej najczęściej swe źródło znajduje w tem, że posyłki chłop nająć nie może, a bez posyłki zgodzić go nie chcą.

Podstawę gospodarstwa francuskiego stanowią służący na stałe. Ludzi na posyłki dostarcza tam jedynie najem obcy dzienny. Tylko w Bretanii istnieje coś w rodzaju dworskich komorników (uposażonych tylko w większy obszar ziemi uprawnej). Poza tem w reszcie Francyi najemnik folwarczny jest robotnikiem bez kontraktu. Mieszka w miasteczku, osadzie lub we wsi, w najętej izbie i chodzi do roboty do folwarku, lub gdzie się da. Płaceienne są różne, zależne od okolicy. Tak we wschodniej Francyi, oraz w południowej, gdzie hodowla i winnice przeważają, płaca dzienna wynosi 1 fr. zimą, a 2 fr. latem. W zachodniej i północnej Francyi wynosi 1 f. 50 cent. zimą, a latem 2.50 do 3.50 przez żniwa.

Tu też często używany jest najem na godziny po 15 do 25 cent. na godzinę. Gdy deszcz przeszkodzi robocie, robotnik wraca do do-

mu. Oto budżet rodziny wyrobniczej w północnej Francyi w okolicy buraczanej:

Bierzemy rodzinę, składającą się z ojca, matki, chłopca i dziewczyny kilkunastoletnich i małego dziecka. Dochód stanowi: a) 180 dni najemnych ojca po 2 franki=360, b) 80 dni kobiety po 1.50=100 fr.; c) 100 dni syna po 1 fr.=100 fr; d) 20 dni dziewczyny 1.25=25 fr. Oto są zarobki przez czas roboczy; zimą najem ustaje i dochody z najmu tej rodziny wcale-by na jej utrzymanie nie starczyły; trudni się więc ona zimą wyrobem koronek, co wynosi w dochodzie pokazną sumę 230 fr.; dołączając przychód z kur i drobiu, otrzymamy sumę dochodu 850 fr. Cała ta summa zostaje spotrzebowaną na utrzymanie, a mianowicie: komorne 50 franków, chleb 270, jarzyny 30, mięso 125, mleko 30, wino i piwo 75, sól 6, ubranie 175, opał 50, różne 34, razem 850. Z tego budżetu widzimy, że stopa życiowa prostego wyrobnika jest bardzo wysoka: pożywienie jego bowiem składa się z mięsa, chleba i wina. Praca też jego może być intensywną. Tak jest w okolicach z droższą płacą dzienną. W drugiej połowie Francyi, gdzie robotnik jest tańszy, wydatki jego oczywiście nie wykazują tak wysokiej stopy życiowej:

Rubryka mięsa zostaje zmniejszona do 15 franków, bo robotnik jada je tylko w wielkie święta, a rubryka wina lub piwa figuruje również na 20 franków za ledwie. Ubranie wynosi ze 100 franków najwyżej. Tu zresztą położenie robotnika jest odmienne: komornicy mają zwykle obok domku najęty ogród, z którego otrzymują warzywa dla siebie, i jeszcze na sprzedaż. Przytem zimą łatwiej im znaleźć robotę, czy to w lasach, czy przy drogach publicznych. To też w tej części Francyi, choć płaca jest mniejsza, robotnik łatwiej może zaoszczędzić sobie trochę grosza i położenie jego jest lepsze, niż w bardziej przemysłowych stronach o droższej płacy.

W tych ostatnich stronach robotnicy sami muszą poszukiwać podpory swego bytu, z jednej strony w przemyśle domowym, z drugiej w podejmowaniu się robót na akord. System akordowy niezmiernie jest rozpowszechniony w środkowej i północnej Francyi; szczególnie uprawa buraków prawie całkowicie na nim polega.

W miasteczkach powstają przedsiębiorcy, którzy, posiadając własne lokomobile, pługi parowe, młocarnie i inne narzędzia, oraz zastępy robotników, podejmują się: jesienią orki parowej od morga, zimą młocki od snopa swoimi ludźmi, na wiosnę biorą uprawę buraków od morga. Całe zastępy silnych tegich mężczyzn posuwają się mia-

rową ławą po polu z graczami i robota umyka im z pod wprawnych uderzeń.

Są to robotnicy niezmordowani: od świtu do późnego wieczora bez przerwy pracują, a po ich przejściu nie do zarzucenia wyglądowni pola nie pozostaje. Wysiłkiem swoim osiągną zarobek dzienny do 5 franków. Jak to też drogo musi we Francyi kosztować obróbka buraków, pomyśli niejeden. Otóż tu spotykamy objaw niezwykły: płaci się we Francyi od przerywki hektara wraz z opieleniem 28 franków, co odpowiada cenie 4 rubli mórg, od następnych pielonek, jednej lub dwóch, po 2 ruble, od kopania 5 rubli. Ależ to ceny niższe, niż u nas, gdzie za 15 rubli od morga plantyera nie dostanie. U nas zresztą trzeba dawać plantyerkę od korca, bo inaczej robota źle będzie wykonaną i przy tym systemie koszt morga wypada 20 rubli. Akord tańszy, a dniówka droższa niż u nas! Czegóż to dowodzi? Oczywiście daleko większej intensywności robotnika francuskiego, w stosunku tak znacznym, że jeden ten fakt wystarczy dla zdania sobie sprawy, dla czego gdzieindziej ludzie dochodzą do ciągłych udoskonaleń, do ogólnego dobrobytu i do postępu, a u nas dążności w tym kierunku są często próżną szarpaniną. Przy wydajności 150 korcy przecięciowo z morga, a koszcie obróbki 11 do 13 rubli, nie dziwnego, że można płacić wysokie podatki, wysoką rentę dzierżawną, trzymać sługi, jako pomocników prawdziwych na równej prawie stopie z panami i osiągać dobre dochody, nie oglądając się, by czasem nie wydać za dużo na droższe narzędzie, lub lepszy inwentarz. Chleb, mięso i wino, które robotnik spożywa, nie są to z jego strony wygórowane nawyknięcia, z dążności do użycia wpływające, są to podstawowe i pierwszorzędne czynniki ogólnej intensywności produkcyjności całego społeczeństwa.

Jeżeli obok tak wysokiej intensywności weźmiemy pod uwagę znaczną sumiennność w robocie, nie zadziwi nas, że nakładanie gnoju, roztrząsanie go po polu i różne inne roboty dokonywają się na akord.

U nas zaś, niestety, akordowa robota, pomimo, że od 40 przeszło lat zalecaną jest, jako główny środek zaradzenia brakowi robotnika, oraz podniesienia jego ogólnego poziomu, nie może się zaszczepić, a to wskutek tego, że jest niezmiernie droga. Oczywiście robotnik nie dbały, pod złym dozorem, jeszcze drożej wypadnie od akordowego, ale przy dobrym dozorcze dniówka tańszą się okaże. Dalej robota akordowa dla tego się nie udaje, że nasz chłop z natury nie cierpi wszelkiego większego wyteżenia sił. Normalny wydatek sił obrachowuje

on niedrogo, i jeżeli tylko tyle się od niego żąda, zrobi on np. za 40 kop. dziennie 2 pręty rowu. Na akord trzeba-by mu zapłacić po 30 kop. najmniej, bo wtedy będzie się wysilał, by jaknajwięcej zrobić, wyrzuci 3 pręty, ale też gdyby nie zarobił 90 kop., czułby się pokrzywdzonym. Ponad pewien normalny wysilek nasz chłop liczy sobie podwójnie drogo swą pracę. Stąd niemożność wprowadzenia robót gospodarskich na akord u nas, nie mówiąc, że niesumienność naszych robotników staje też temu na przeszkodzie. We Francyi rżysko ścięte na akord wygląda, jak gdyby wygolone, i jeżeli gdzie żniwiarek nie używają, to dla tego, że kosą da się ściąć niżej. U nas za żniwiarką przemawia to, że lepiej, równiej i niżej od kosiarzy ścina ona zboże.

Że w intensywności pracy odżywianie gra główną rolę, jest rzeczą oczywistą. Wiem od wyrobników, którzy chodzili na robotę zagranicę, do miast, a i u mnie pracowali, jak pożywienie swoje normują stosownie do roboty, jaka im się trafia. Gdy jednemu wspomniałem, że we Francyi robotnik jest w stanie dwa razy więcej od naszego zrobić, usłyszałem typową odpowiedź: „to widocznie tam muszą dwa razy tyle chleba jadać, co u nas“. Chleb i słonina to jest pożywienie robotnika, gdy pracuje na akord: za nic ma on sobie w ten czas kartofle. Oóż, kiedy przy systemie naszych komorników, a nawet ordynaryuszów—kartofle są podstawą pożywienia naszego robotnika wiejskiego. Przytem parowiekowe ekstensywne odżywianie wyrobiło w organiźmie chłopskim dużo apatyi fizycznej, a właściwe słowiańskiej rasie niedbalstwo wytworzyło brak zamilowania właściwego do pracy. Tymczasem bez tego zamilowania do pracy, powszechnego we wszystkich warstwach społeczeństwa, żaden kraj do prawdziwego postępu nie dojdzie i jedynie wegetować może, starając się przedrzeć inne w nieumiejętnem naśladownictwie.

Brak robotnika wiejskiego, o którym i u nas tyle się mówi i pisze, w całej środkowo-północnej Francyi daje się silnie odczuwać. Paryż, i wogóle miasta, pochłaniają młodzież wiejską. Parobczaki idą w Paryżu na robotników do rozwożenia po ulicach towarów sklepowych na ręcznych wózkach, dziewczyny na służące. Tych dwóch kategorii najmu Paryż potrzebuje co rok znaczne ilości. Okolice znów Paryża, przy intensywnej kulturze, potrzebują dużo robotnika wiejskiego na czas letni; więc z Bretanii i z Południa, z okolic pastwisk i winnic, ściągają tu całe partye robotników wiejskich na lato, powodując brak służby na miejscu. Dochodziło do tego, że kobiety brały kosy do rąk i prowadziły żniwa na równi z chłopami. Podziwiamy ten prosty naród francuski. Kobieta z kosą! Jakżeż my dziwne i niemądre mamy na ogół o Francuzkach wyobrażenie!

Tymczasem objawem największego zastanowienia godnym jest to, że na Północy Francyi, w okolicy najbardziej przemysłowej, gdzie po wsiach kopalnie i fabryki są rozrzucone, tam robotnika nie brak. Przeciwnie tu się tworzą te zastępy plantyerów, które aż pod Paryż podchodzą. Gdzie się tylko zjawiają—rugują Bretończyków i południowców, słabszych i mniej wprawnych. Co prawda, obyczaje ich są nieszczerłone i ludność miejscowa bliższych i dalszych okolic Paryża, która, pomimo, że styka się z tym, w naszym pojęciu, centrem zepsucia, ma wiele zalet i cnót wybitnych, z pogardą patrzy na tak zwanych Belgów. Ale ci Belgowie (pochodzą bowiem z nad granicy belgijskiej i z samej Belgii), są wzorem pracy i sumienności, to też buraczane gospodarstwa chętnie do ich usług się uciekają. Na ogół zatem zbożowe oraz na warzywnictwie i ogrodnictwie oparte gospodarstwa, cierpią najbardziej na brak robotnika. Buraczane zaś posługują się robotnikiem wędrownym z dobrym rezultatem obustronnym.

Ciekawem nam się wydawać musi, jaki jest stosunek służby i najemnika do panów swoich we Francyi.

Z kilkudziesięciu monografi rolniczych, w których przedmiot ten jest szczegółowo rozbieiany, przekonać się można, że jest on wszędzie zupełnie naturalny i dobry.

O ile najmującym jest chłop, czy to rolny, czy dzierżawca, o tyle stosunki jego ze swoim najmitą są nacechowane zupełną równością. To zresztą ma miejsce i w innych krajach. Pomiedzy zaś panami, czy to właścicielami, czy też dzierżawcami, a ich służącymi, dawniej panowała patryarchalność stosunków, ale i ten dawny stosunek nigdy nie polegał na uwiżoności ze strony służby dla panów swoich. Zaufanie do panów, przychyłność, sumienność obok godności i niezależności osobistej, to było cechą służby od najdawniejszych czasów we Francyi. Ze strony panów wysokie wynagradzanie służby, opieka materyalna nad rodziną służącego, oraz obejście naturalne, poufałe, nienacechowane chęcią imponowania, są stałemi objawami. Poufałość i w części wzajemna przychyłność pod wpływem czasu ustępuje. Panowie coraz bardziej czują się obcymi wśród ludności wykształconej, która znowu przy ciągłych zmianach miejsc w poszukiwaniu lepszego losu, nie przywiązuje się do osoby.

Pozostaje jednak, jako trwała cecha stosunku służących do panów, ich sumienność w pracy oraz zaufanie, na które panowie swem poczuciem sprawiedliwości zasługują. Człowiek z ludu, leniwy i niebdaly, jest wogólnej pogardzie. Robotę wykonać prędko i dobrze stanowi ambicyę każdego. Dyspozycye też i rozkazy wydawane są spokojnie, a napomnienia w formie rad, tak, że tryb gospodarstwa przedstawia zupełne porozumienie między pracodawcą a wykonawcami.

Szczytem wzajemnego zaufania i porozumienia jest system, który się przechował do naszych czasów we Francyi, a pochodzenia jeszcze średnowiecznego: jest nim tak zw. „métayage“, czyli gospodarstwa spółkowe. Właściciel grantu gospodaruje na spółkę ze służącym. Właściciel daje grunt, zabudowę, inwentarz, narzędzia, obsiew. Służący, rodzaj dzierżawcy, daje swoją pracę, gdy potrzeba donając, robi to od siebie, a sprzętami pół dzielą się pan i on po połowie. Ciekawem też jest, że ten stosunek zaczyna się znakomicie zastosowywać do warunków intensywnej kultury: pan wyznacza tryb gospodarstwa, plodozmian, ogólny sposób uprawy. Gdy idzie o użycie nawozów sztucznych, pan kupuje je i potrąca połowę kosztu z części przypadającej na „połownika“.

Ponieważ zwykle każdy pan ma większą liczbę połowników, kupuje sam maszyny rolnicze na ich użytek, które oni od niego najmują. Tym sposobem połownicy dochodzą do możności pogodzenia wszystkich szans ekonomicznych produkcji na szerszą skalę z koniecznością drobnej osobistej gospodarki, i osiągają wyższe rezultaty i większy dobrobyt od chłopów, mających ziemię na własność. Pano wie zaś znajdują w tym systemie zabezpieczenie od drożyzny i braku robotnika. Gdzie ten system był wprzód, tam się utrzymuje obecnie, głównie w Wandei i Bretanii. Wielu socyologów uważa go za znakomity wytwór społeczny, dotychczas jednak system ten nie dał się przeszczepić tam, gdzie obyczaje dawne mu nie sprzyjały. Przetrwanie jego jednak w wielu stronach zachodniej Francyi przynosi jej prawdziwy zaszczyt.

A więc w tej Francyi panamistów, dreyfusistów i anty-dreyfusistów, w tym kraju złych obyczajów i sprzedajności publicznej są pierwiastki siły duchowej i dobra idealnego? Tak jest; były one zawsze w tem społeczeństwie, które zdobyło się na cały szereg wojen krzyżowych w swoim czasie, a i w naszym wieku na chwałę nieraz sobie zasłużyło. Trzeba tylko chcieć u obcych narodów dopatrywać się pierwiastków dodatnich, zamiast chciwie czepiać się ich ciemnych stron, uderzających najłatwiej w oczy. Posądzi mnie kto łatwo, że stronnice zabarwiam optymistycznie stosunki rolne we Francyi. Nie przeczę, że, chcąc dać obraz obiektywny, należało-by mniej akcentować wiele czynników dodatnich, a przedstawić ujemne. Ale też nie zamierzałem dać dokładnego opisu życia rolnego we Francyi, lecz szło mi właśnie o wykazanie w niem pierwiastków, których doniosłość sięgać może daleko poza granice tego kraju i poza granice naszej doby. U dołu zastępy niezmordowanych, wprawnych i zręcznych robotników, postaci 80-letniego starca i kobiety z kosą w ręku, u góry postać niewidomego hrabiego, oddanego sprawie społecznej; u dołu syn-

dykat, w którym najemnik, chłop, dzierżawca, właściciel, wspólnie radzą nad sprawami rolniczemi i ogólnemi, ustanawiają fundusze wsparé i dożywocia dla wysłużonych pracowników, u góry muzeum społeczne, instytut bezstronnych dociekań, biuro bezinteresownej porady społecznej i rozsadnik wzniosłych inicjatyw.

Oto parę przykładów, na czem polega i w czem czerpie swe źródło prawdziwa wyższość pewnych społeczeństw, niezależnie od kierunku ogólnego ich życia publicznego.

WŁADYSŁAW GRABSKI.

„MŁODA POLSKA”.

Kraków. Poezye, nowelle, fragmenta dramatów. MCM. Rysunki i układ
St. Wyspiańskiego.

Kolejne oddziaływanie literackich prądów zachodniej Europy na rozwój piśmiennictwa polskiego jest wielce pouczającym. Żyliśmy zawsze życiem Zachodu, oddychaliśmy jego atmosferą duchową, podzielaliśmy jego kulturalne zdobycze, złudzenia i błędy, solidaryzowaliśmy się z jego dołą i niedołą, kształtowaliśmy się według jego modły i naśladowali zarówno w złem, jak w dobrem. Gdy mroki średniowieczne przesłoniły świat chrześcijański, mieliśmy ascetycznych mnichów - kronikarzy, którzy w zacisznych klasztorach skrzętnie a bezkrytycznie notowali w rocznikach zawarcie pokoju, lub wypowiedzenie wojny, ślub albo zgon króla, klęskę głodu, zarazy, lub ukazanie się komety na niebie. W dobie odrodzenia firmament poezji polskiej zajaśniał plejadą gwiazd literackich, wśród których najsilniej rozgorzał nieprzyćmiony dotąd pierwszorzędny talent śpiewaka „Trenów” i tłumacza psalmów Dawidowych. W języku łacińskim, ogólnoeuropejskim, przez cały okres wczesnego i późniejszego renesansu, pi-

sał u nas cały zastęp niepospolitych rymopisów ze znakomitym Kazimierzem Sarbiewskim na czele. Przeważny wpływ kultury romańskiej wydał naszych makaronistów i panegirzystów, a francuski pseudoklasycyzm, na polski grunt przeszczepiony, zyskał sobie legion wielbicieli i wyznawców, którym przewodniczył wytworny Trembecki. Posiew romantyzmu padł u nas na podatną glebę, przyjął się i wydał plon tak bujny a niespodziewany, jakiego ani przedtem, ani potem równego na polskiej niwie literackiej nie było. Nawet reakcyjny pozytywizm, krusząc ideały, a natomiast szczepiąc utylitaryzm, spłodził całą literaturę, tak zwaną społeczną, mocno tendencyjną, praktyczną, nie bez użyteczności publicznej, ale z niemalem skażeniem artystycznego smaku. Nie zaklimatyzował się tylko u nas naturalizm, napotkawszy nieprzewyciężone przeszkody w naszych tradycjach literackich, w nobyeczajeniu społecznym i towarzyskim, oraz w samym języku, który, jako jasny, prosty; mocny, jako „brutalnie szczery“, jakby go nazwał modernista, zgoła nie nadawał się do malowania natury i życia „od spodu“. Pośrednio jednak przyczynił się naturalizm do spotęgowania u nas pierwiastków realistycznych w literaturze i sztuce.

Czy tak zwany neo-romantyzm, najnowszy prąd, czy najnowszy dreszcz literacki Zachodu, odezwie się u nas głośnie, pełnem echem, o tem obecnie nie pora jeszcze przesądzać. Zdaje się jednak, że kwestya ta rozstrzygnie się zasadniczo w najbliższej przyszłości. Grunt dla rozwoju znajdzie u nas kierunek neo-romantyczny, o wiele podatniejszy, niżli naturalizm, a język prawie gotowy, bogaty, świetny w arcydziełach twórcy „Króla Ducha“. Z nieprzebranego skarbcza mowy ojczystej, jaki spadł na nas spuścizną po największym naszym wirtuozie słowa, może czerpać modernista pełnemi garściami perły i korale i nizać je na swą wątłą nić pajęczą, bacząc tylko pilnie na to, aby się pod ciężarem tych klejnotów nie zerwała. Duch naszej tradycyi i duch języka sprzyja raczej neoromantyzmowi, niż mu się sprzeciwia. Wrogim jest mu za to ten fakt niezbitny, że nasza współczesna literatura realistyczna nie wyrzekła jeszcze ostatniego słowa, bynajmniej się nie przeżyła, że, przeciwnie, znajduje się w okresie rozkwitu. Tam, gdzie świeci wciąż jeszcze południowym blaskiem geniusz Sienkiewicza, który raz po raz rzuca w świat szeroki arcydzieła wytwornego realizmu; gdzie wydobywają się szczere, jasne, proste, przejmujące a mocne tony ze złotostrunnej lutni Maryi Konopnickiej; gdzie na wschodnim firmamencie literackim ukazują się takie talenty, jak Reymont, Dąbrowski, Weyssenhoff, Żeromski, a na Zachodzie bynajmniej nie myślą zanikać wybitne indywidualności Prusa i Orzeszkowej,—tam mowy być nie może o zastoju w sztuce, lub o „zatechłej

atmosferze literackiej“, którą odświeżyć mają prorocy nowej wiary, jak głoszą ich lekkomyślni chwalecy.

Przeciwnie, wobec zastępu mistrzów naszego realizmu, którzy dają ogółowi nie hasła, lecz dzieła, często niepospolite, a nierzadko skończonego artyzmu, dość mizernie wygląda gromadka polskich modernistów, dekadentów, czy neo-romantyków, wśród których, niestety, nie brak literackich zdechlaczek; gromadka, skupiona u stóp Wawelu, jak dotąd bezsilna, szamocąca się raczej, niż płodząca, nowych dróg i hasel niezupełnie świadoma. trawiona gorączką żądz i niemocy, podniecona i zdenerwowana, ale naprawdę artystyczna, naprawdę uznająca arystokratyzm sztuki, nieraz wojująca, pyszna i w pysze swej wierząca w przyszłość, której zaprzeczyć jej nikt nie ma zasady.

Inaczej w Niemczech i we Francji. Tam naturalizm wypowiedział się do ostatniego słowa, zgrał się, jak karciarz, do ostatniej nitki, i doczekał się tej tragi-komicznej chwili, że jest obecnym na własnym pogrzebie. Potężne, ale bezkształtne, pozbawione artystycznego smaku, cyklopowe budowle Zoli giną z przerażającą szybkością w oparach niepamięci i zubożenia, przesłonięte mgłami ibsenowskiego pesymizmu i maeterliukowskich hallucynacji, przepalone i zżarte ogniem, jaki bacha z dzieł Hauptmanna, w głęboki mrok odepchnięte przez świetny, rostandowski, czystej wody romantyzm, który za dni naszych, jak feniks, powstaje z popiołów. Tam, gdzie na miejsce przeżytych kształtów i rozpadających się w gruzy zrębów, występuje młode, silne pokolenie budowniczych, i wznosi, chociażby na starych fundamentach naturalizmu, jak Hauptmann, nową świątynię sztuki, tam śmiało pojęte, przeprowadzone z energią nowatorstwo literackie, ma zapewnione widoki zwycięstwa. Nasza twierdza artystycznego realizmu, oparta na granitowej podstawie obserwacji, dotąd stoi niewzruszona i ani myśli poddać się nikłym szeregom nowatorów. Mają więc nasi moderniści trudne zadanie przed sobą i ciężkie warunki rozwoju. Ale tem wspanialszy może być ich plon, jeśli go zebrać zdołają.

Pierwszy, który powziął śmiałą myśl utworzenia polskiej szkoły modernizmu, był wslawiony w Niemczech, głośny już między nami, autor „Homo sapiens“, p. Stanisław Przybyszewski. Prorok nowej wiary literackiej, osiadłszy w Krakowie, zdołał w krótkim stosunkowo czasie zgromadzić pod chorągiew „nagiej duszy“ zastęp młodych, gorących wyznawców najświeższych „dreszczów“ w sztuce, zdołał natchnąć ich jedną myślą, powiesić do wspólnego celu i na czas krótki zogniskować ich artystyczną działalność w czasopiśmie, wydawanem pod osobistą naczelną redakcją, pod tytułem: „Życie“. Jest to niewątpliwą zasługą p. Przybyszewskiego, ale zarazem jego klęską. Za-

sługą — bo budzenie umysłowego, lub artystycznego ruchu jest nią bezsprzecznie, klęską — bo p. Przybyszewski w oryginale może mieć wielbicieli i przeciwników, zaś p. Przybyszewski w kopii będzie miał chyba tylko tych ostatnich. Wybitny stylistą, wizjoner i neurastenik w jednej osobie, wyrosły w gruncie rzeczy z naturalizmu, tkwiący obiema stopami w grubych warstwach sensualizmu, czolo kąpiący w mgłach mistycznych, liryk przedewszystkiem, jako epik jaskrawy, słaby psycholog, niepozbowiony dramatycznego temperamentu, zgola bez zmysłu obserwacji, z małą plastyką słowa, natomiast z ogromną jego muzykalnością, jasno rozumiejącą istotę sztuki, a najczęściej mętnie, dziwacznie wcielający pomysły swoje w formy artystyczne, jako poeta, pokrewny Baudelaire'owi i Maeterlinkowi, typowy anty-społecznik w sztuce, jest autor „Dzieci Szatana“ zbyt silną indywidualnością, aby nie wywarł przemożnego, zabijającego wszelką samodzielność, wpływu na adherentów swoich. To też zamiast pełnego pułharu współczesnego życia, podał zahypnotyzowanym wyznawcom „nagiej duszy“ własną, małą czarę literackiego haszyszu, pobudzał ich drażliwość w jednym tylko kierunku wizyonerskim, zacieśnił okrąg ich wyobraźni i uczucia, narzucił im własny styl, własny język, aż do odcieni myśli, aż do zwrotów mowy, do wykrzykników nawet, i w ten sposób wytworzył nie polską szkołę modernistyczną w szerokim stylu, ale szkółkę nieliczną, zmanierowaną, specyficznie „krakowsko-sataniczną“.

Upadek krakowskiego „Życia“, fiasco warszawskiego „Strumienia“, niepowodzenie polskiego modernizmu i brak sympatii dlań u ogółu, przypisać należy nie tyle krańcowości nowego prądu, ile jego ciasności i jednostronności.

Ale krakowscy moderniści nie dali za wygraną. Pozbawieni własnego organu, własnej publicznej katedry, z której mogli-by przemawiać do tłumu, a właściwie do wybranych z tłumu, wydali książkę zbiorową układu p. Wyspiańskiego, i z jego rysunkami pod tytułem: „Kraków“ roku Pańskiego tysięcznego dziewięćsetnego, dla oryginalności oznaczonego rzymskimi cyframi: MCM. Dali znak o sobie, że żyją, i bynajmniej kapitulować nie myślą.

Jest to książka, zasługująca z wielu względów na uwagę. Przemilczeć o niej, lub zbyć ją lada jaką wzmianką, w żadnym razie nie można. Interesująca jako zjawisko literackie, bardzo jest udatną, jako pomysł. Przedewszystkiem ten zbiór poezyi, nowell i fragmentów, charakterystycznie zatytułowany: „Kraków“, ma dać czytelnikom ogólne pojęcie o literackiej działalności „najmłodszych“ w podwawelskim grodzie bez różnicy kierunków. Zatem obok satanistów, nastrojowców, wyznawców „nagiej duszy“ i zwolenników „nowego dreszczu“,

figurują na kartach „Krakowa“ nazwiska indywidualistów, którzy idą samopas i nie radzi zapisywać się do żadnego obozu. Objaśnia nas zaraz na wstępie jeden z „najmłodszych“, zaznaczając z góry, że „krakowska plejada artystyczna, to nie szkoła literacka, nie wielka rodzina, złączona węzłem pokrewieństwa dusz, to raczej szereg indywidualności i kontrastów. Pod różnemi wpływami wzrosła: niesłychana więc w niej rozbieżność duchowa, brak wspólnego ideału i różna wiara“.

W samej rzeczy, przeglądając karty „Krakowa“, czytelnik zniewolony jest przerzucać się od nastroju do nastroju, od bieguna do bieguna, musi z poetą marzyć, majaczyć z wizjonerem, z impresjonistą nastrajać się i uśmiechać się ironicznie z satyrykiem. Oczywiście, musi to samo z większem jeszcze natężeniem uczynić sprawozdawca, jeżeli ma zrozumieć intencje autorów, odczuć ich duszę, odczuć zastęp dusz. Ale choć w „Krakowie“ krzyżują się rozmaite, niekiedy wręcz przeciwne sobie prądy, choć „rozbieżność duchowa“ młodych twórców nie wydała, bo wydać nie mogła symfonii, główny ton jednak w tych niezharmonizowanych melodyach bezsprzecznie należy do mistyków. Duch autora „Homo Sapiens“ niewidzialny unosi się nad zbiorem utworów „krakowskiej plejady“.

Przedewszystkiem w tej plejadzie należy wyróżnić indywidualistów, tych „dziwnych samolubów“ — jak ich w przedmowie nazwano — „zakochanych w rymach, którymi wiersz swój ozdabiają“. Indywidualiści nie należą zazwyczaj do żadnej szkoły, nie hołdują żadnym kierunkom, choć mogą wchłaniać w siebie przejściowe prądy chwili, nie dbają o hasła, gardzą etykietą, są sobą i zostają też jako indywidualia w literaturze. Jest ich dwóch w plejadzie krakowskiej, dwóch, znanych już i uznanych, a mianowicie: Lucyan Rydel i Kazimierz Tetmajer. Utwory obu młodych poetów są rzeczywistą i największą ozdobą całego wydawnictwa.

P. Rydel dał trzy krótkie wiersze, z których pierwszy, pod tytułem: „Wenus Milońska“, dla jego iście z grecka rzeźbionej formy, przytaczamy tu w całości:

WENUS MILOŃSKA.

Dla niej helleńscy pieśniarze

Przy złotostrunnej cytarze

Płomienny śpiewali psalm;

Dziewice na jej podnóże
 Słały narcyzy i róże
 I pęki zielonych palm.
 I dla niej pod kolumnadą
 Wstęgą przewijał się bladą
 Kadzidel błękitny dym;
 Z mórz dla niej słońce wstawało,
 Aby świątynię jej białą
 Różowić promieniem swym
 Dla niej przez nieba lazury
 Gołębi leciały sznury
 Na skrzydłach, białszych nad śnieg;
 Dla niej o słońca zachodzie
 Z białemi żaglami łodzie
 Niosły pielgrzymów na brzeg.
 I stała w blasku i chwale
 Cudna, przegięta niedbale
 Wśród marmurowych tych ścian;
 Z cichym uśmiechem na twarzy
 Słuchała morza, co gwarzy,
 Zrodzona z perłowych pian.

Melodyjność i barwność cechują ten urywek. Wiersz jest prawdziwie piękny; no, ale tak już pisał Asnyk, tak właśnie pisze Konopnicka świetny swój cykl: „Italia”. P. Rydel zaśpiewał zatem na starą nutę, ale głosem świeżym, czystym, pełnym, zgoła nie troszcząc się o modernistyczne zgrzyty i nastroje.

Telnienie prometeuszowe wieje z wierszop. Tetmajera, pod tytułem: „Tytan”. Ten mityczny olbrzym, do bogów podobny, lecz bogom nierówny, który, obudzony rzeźkim powiewem oliwnego lasu, uczuwa w sobie żądzę, moc i siłę, uczuwa pragnienie rozkoszy i władzy, i głosem, „płomieniami nabrzmiałym i pychą”, wojnę bogom wypowiada, ten junak zuchwały a nieposkromiony, rzucający groźbę Olimpowi, iż pięścią wywali jego bramę kutą, a pioruny Zeusa, jak psy, powiąże w obroże, nie ma w sobie ani jednego współczesnego dreszczu, przeciwnie, posiada moc żywiołową bohaterów Eschylosa. Gdzież są zatem wizye i nastroje?

Znajdujemy je zaraz obok w poemacie Stanisława Wyspiańskiego, pod tytułem: „Bolesław Śmiały“. Ma to być ani mniej, ani więcej, tylko dalszy ciąg „Króla Ducha“. Przyznać należy, iż p. Wyspiański porwał się na nielada zadanie! Arcydzieło Słowackiego dotąd świeci w naszej literaturze jako niedostępne, zaczarowane zamczysko, pełne jasnych broni i tarcz słonecznych, oświetlone luną krwawych błyskawic, przesłonięte mgłą mistycyzmu, otoczone wiankiem zdradnych jam węzowych, zazdrośnie bronione przez wodza-upiora „w koszuli z drutów i w czepcu z ołowiu“. „Król Duch“ jest dotąd nieodczuty, niezrozumiany przez ogół. P. Wyspiański śmiało, zuchwale wdarł się do wnętrza straszego zamczyska, przebiegł jego tajemnicze sale i mroczne zaułki i przedsięwziął dalek prowadzić jego budowę, niedokończoną, przerwana przez mistrza. „Bolesław Śmiały“, to właśnie jeden ze zrębów „Króla Ducha“. Przyznajmy odrazu, iż p. Wyspiański wyszedł z niebezpiecznej próby nie bez powodzenia. Bo co najważniejsza, uchwycił ton poematu, jego styl przedziwny, odrębny tok wiersza, oddał wiernie jego nastrojowość, przejął się do głębi mistycyzmem, a choć nie dorównał Słowackiemu w mocy plastycznego słowa, chociaż brak mu brylantowej fantazyi mistrza, to jednakże fragment o Bolesławie Śmiałym w tej formie, w jakiej wyszedł z pod pióra młodego poety, świadczy o jego niepospolitych zdolnościach.

Z powodzeniem również wywołują „dreszcze“ nastroju i wizjonerstwa p. Włodzimierz Perzyński i p. Maciej Szukiewicz. Pierwszy zamieścił w omawianym zbiorze wiersz czystej wody nastrojowy, pod tytułem: „Zmierzch“. Przez umiejętne powtarzanie jednych i tych samych zwrotów: „w smutku odpływa słońce sennie za granatowe, wielkie morza“, lub też: „przez pola puste, szare, smętne idzie mnich czarny z krzyżem w dłoni“, autor usiłuje otoczyć, i w samej rzeczy otacza zmysły czytelnika melancholijną mgłą zapadającego wieczoru. Tylko że ta metoda repetycyi, taka niby nowa w poezyi, właśnie przez swą łatwą skuteczność, już dziś wywiera wrażenie starej i zużytej maniery.

Nader udatnym jest urywek p. Szukiewicza, pod tytułem: „Hallucynacya“. Już początek: „Widmem przychodzisz“ daje nam istotnie przedsmak poetycznej maligny. A gdy potem autor, dręczony bez litości przez zmorę własnej chorej wyobraźni, napróżno usiłuje uwolnić się od niej, współczujemy mu i rozumiemy bezdenne smutek, jaki tkwi w wyznaniu:

Skróś wilgotnej żłuci

Idziem na wieki do siebie przykuci.

Ohydną śniegów topniejących grudą
 Brodzimy milcząc. Za rękę cię wiodę
 I jeno włosy falą złotorudą
 Przyodziewiają białą twą urodę.

Mimo wichru i zadymki, widmo na krok nie odstępuje swej ofiary, która w końcu broni się rozpaczliwie:

I wściekły chwytam cię za włosów zwoje,
 I tak cię ciągnę, i tak ciebie w lokę
 Przez śnieg, kaluzę, grudę i wyboje:
 I tak cię tarzam przez zaspę głębokie,
 I tak przez wiklin różgi włóczę póty,
 Póty się znęcam, depcę cię i gniotę,
 Aż krew ci tryska z pod skóry rozprutej
 I purpurowi królewską nagotę.

A wtedy:

dobrze mi jest i nie wstyd mię (?),

Żem nie mógł jęku dobudzić się w widmie.

Dreszcze, prądy i nastroje wyraźniej jeszcze pulsują w utworze p. Adama Siedleckiego. Fragment dramatyczny: „Odrodźliny Ostatniego“ nazywa p. Siedlecki „krotochwilnem poemą dla teatrum kukieł“. A oto, jak autor maluje urządzenie sceny:

„Teatrum ma pokazać potężną na tysiące tysięcy mil górę stromą, co ani wejść po niej, ani zejść z niej. Na stokach porasta topazowemi dziewczannami, rubinowymi ostami, szmaragdem trawy i ziół. Urwiska, wąwozy i rozdoły szumią bogactwem najdroższych kryształów... Za oceanami, za morzami widać szare ugory Równi Ludzkiej. Jakowś pomruk dochodzi aż tu do góry stromej, topazowemi dziewczannami porosłej. Pomruk maszyny wielkiej, co wszystkie równie pożarła i wszystkie równie zgmiotła. Maszyna idzie wciąż, wciąż się kręci a obraca. Wkoło maszyny miliony kukieł, na obraz i podobieństwo człowieka lepionych. Pracują ciągle. Starce i dzieci, męże i kobiety.—Na szczycie skały, na cyplu, co zamarł w dyament—dwa starce. Jeden leży i umiera, drugi kłęczący nad nim. Na ziemi wielka roz warta księga. Siwemi brodami starczemi zrosli się z ametystami zie-

micy i srebrzą im się te brody srebrem jasnej smugi. Starszy starzec umiera, piersiami ciężko dyszy, oczyma błądzi po wodach drogi mleczonej. Ziemia wolno, ale nieustannie wchłania jego ciało. Słoneczne promienie kradną mu łzy z oczu. Za chwilę zniknie zupełnie.—Starce czytają. Ten, co ginie, słucha tylko. Ten, co zostanie, czyta głośno z książki wielkiej, rozwartej“.

Na takim-to „teatrum“ w scenie pierwszej fragmentu toczy się rozmowa, pełna tajemniczych symbolów między dwoma starcami, między tym, co zostanie, i tym, co zginie. „Ten, co zostanie, i co ostatni jest“, czyta „Temu, co zginie“ z księgi „ze słońca zrodzonej“ straszną przepowiednię zmateryalizowania się ludzkości całej. Starce przerywają czytanie, i wówczas milczą „wiek cały, lata całe“, poczem postanawiają ukryć przed okiem człowieka ową księgę mądrości, choć on jej „jak robaka w trawie iskać będzie“. Tymczasem ziemia powoli, ale stopniowo pochłania ciało Przedostatniego, a gdy już zniknął zupełnie, autor oświadcza uroczyście: „I to jest scena pierwsza“.

Odosobniony wśród symbolistów i dekadentów stoi p. Zygmunt Niedźwiecki, utalentowany nowellista ze szkoły Maupassanta, nie troszczący się bynajmniej o nowe prądy, bystry obserwator, malujący ułomności ludzkie w oświetleniu pogodnego humoru. Znajdujemy w zbiorze cztery „Fraszki“ pióra p. Niedźwieckiego, a z nich najudatniejszym jest obrazek pod tytułem: „Wizyta“. Treść nikła, ale artystycznie wysnuta. Szczery talent autora „Fraszek“ powinien-by baczniejszą zwrócić uwagę czytelników, gdyż p. Niedźwiecki należy do tych autorów, którzy więcej dają, niż tytuł dzieła zdaje się zapowiadać.

Najzupełniej zawodzi natomiast dobrze uprzedzonego do siebie czytelnika p. Jan August Kisielewski, autor wybornej sztuki „Karykatury“, swą pretensjonalnie nazwaną kompozycją dramatyczną w pięciu częściach, pod tytułem: „Sonata“. W omawianym zbiorze autor wydrukował część czwartą „Kompozycyi“. Jest to zmanierowana „przybyszewszczyzna“ w dość lichym gatunku, której ozdobę ma stanowić gęsto rozsiane bezmyślne krakowsko-sataniczne „he, he, he“, lub „ha, ha, ha“. Należało-by ten sławetny wykrzyknik zostawić jego wynalazcy, p. Przybyszewskiemu, do wyłącznego użytku, gdyż on go i tak nad miarę używa i nadużywa.

Sam p. Przybyszewski ozdobił karty „Krakowa“ fantazyą nastrojową, pod tytułem: „Requiem aeternam“. Wszystkie wady i zalety tego niepospolitego pióra widnieją w tym urywku. Język świetny, pełny, obfity, niezwykle muzykalny, niezwykle miękki, iście edredonowy, giętki i subtelny, ale nastrojony na jeden ton „de profundis“, swą monotonią prędko nużący, zdolny, jak zawsze u p. Przybyszew-

skiego, wywołać jeden tylko nastrój: uczucie niewytłomaczonego lęku i przynębienia. P. Przybyszewski nazbyt się powtarza, za często kopiuje samego siebie. Talent to duży, ale niezasobny, zgoła nierozmaity.

Obok wymienionych pisarzy, cała družyna młodych bojowników zniosła w „Krakowie“ kłosa swego ducha do wspólnego snopu. P. Józef Jedlin zamieścił dwa ulotne wiersze, p. Jan Kleczyński dał scenę z dramatu, p. Edward Leszczyński, p. Wacław Lewiński, oraz p. Ludwik Szczepeński zanucili urywkowo rymem, p. Władysław Orkan, zdolny poeta, wystąpił z dwoma utworami wierszem i prozą, p. Andrzej Stopka przemówił w opowiadaniu górala ludową zaciopińską gwarą, p. Wasyl Stefanyk barwnie namalował niewielki obrazek, pseudonim Theresitha wydrukował nowellę z mottem: „Oto jest romans życia, nie skłamany w niczem“, a pan Jerzy Żuławski na zakończenie poświęcił cieniem Adama Asnyka udatny sonet.

Prawie wszystkie prądy nowe i najnowsze, modernizm i symbolizm, impressjonizm, dekadentyzm, a nawet satanizm, znalazły na kartach „Krakowa“ mniej lub więcej uzdolnionych wyznawców, prawie wszystkie kierunki tak zwanego „neo-romantyzmu“, jak wizjonerstwo, nastrojowość, mistycyzm, odbiły się mniej lub więcej głośnie echem w podwawelskim grodzie. To wszakże, co w krakowskim wydawnictwie jest istotnie trwałem, co przedstawia niezaprzeczoną wartość artystyczną, należy do jednego kierunku, do kierunku realistycznego.

Dla kogo jednak nad wszelkie kierunki i prądy ważniejszym jest rozwój sztuki i literatury ojczyściej, ten nad usiłowaniami modernistów krakowskich nie przejdzie do porządku dziennego.

STANISŁAW KOZŁOWSKI.

Wśród stepów i jarów.

Kultura przeddziejowa.

Wyśledzenie zawiązków i rozwoju kultury przeddziejowej w Kijowszczyźnie, było zadaniem naszym od początku monografii objętych tytułem powyższym. Ostatnią zakończyła zapowiedź, że w dalszym szkicu postaramy się przedstawić to, co, przy obecnym stanie wiedzy, służyć może za dowód rozpoczynających się ongi wpływów zewnętrznych na ludność tubyleczą.

Zapowiedź zjazdu archeologicznego, który się odbył w 1899 r. w Kijowie, wstrzymała czas jakiś pracę naszą, gdyż oczekiwaliśmy świeżych danych.

Nadzieja nie zawiodła. Zjazd kijowski potwierdził i uwydatnił znaczenie zdobyczy dawniejszych, w dodatku zaś przyniósł nowe właśnie nam potrzebne.

Zanim rozwiniemy ciąg dalszy studyów objętych monografiami, znanymi już czytelnikom „Biblioteki“, pozwolimy sobie powtórzyć w krótkości to, cośmy już tam rzekli, nawiązując w ten sposób przewaną nié treści ogólnej.

Kijowszczyzna nie była bezludną, nawet w czasach najdawniejszych t. j. gdy w niej gościły zwierzęta olbrzymie, przedpotopowemi zwane.

Wraz z mamutami, hyeną i niedźwiedziem jaskiniowym, a nawet lwem, mieszkał tu człowiek.

Dowodły tego wykopaliska w samym Kijowie, znalezione pod głębokim pokładem gliny, powszechnie „lössem“ zwanej. Wystawa archeologiczna na ostatnim zjeździe przedstawiła zbiór kości mamutowych, których część nosi ślady, że były w rękach ludzkich, gdy jeszcze kruszców nieznano. Zdobyte później utwierdziły jeszcze bardziej świat uczony w tem przekonaniu.

Obok kości tych i kłów zaostrzonych lub zaokrąglonych dla dogodniejszego ujęcia, na miejscach, gdzie je znaleziono były okrzoski krzemienne i węgle, stanowiące cechę nieodłączną t. zw. „stacyi,“ czyli siedlisk z okresu starokamiennego. Niektórzy archeologowie, na podstawie badań geologicznych i porównań z innymi takimi stacyami, obliczają, że kijowska sięga przynajmniej 20,000 lat¹⁾. Przypuszczenie to zbyt ryzykowne, co prawda. Powszechnie jest już rzeczą uznaną, że ten człowiek, który w Europie miał do czynienia z mamutem i współczesnymi mamutowi zwierzętami, wiódł tryb życia łowiecki, a znalezione w różnych miejscowościach kości ludzkie każą wnioskować, że należał do rasy najstarszej w Europie, czyli do tej, którą w antropologii nazywają „neanderthalską“ lub „kannstadtzką.“

Poszukiwania w jaskiniach sztucznych nad Dnieprem dostarczyły nie mniej ważnych dowodów, że okolice tutejsze nie były bezludne i w okresie następnym, czyli przejściowym od starokamiennego do bliższych nam czasów nowokamiennych.

Zarówno jaskinie te, „pieczarami“ zwane, jak i liczne stacye kamienne, położone nad Dnieprem i jego dopływami, dowodzą, że tryb życia mieszkańców tutejszych, gdy wyszli ze stanu kultury starokamiennej, był zbliżony do tego, jaki prowadzą obecnie ludy dzikie, nad brzegami oceanu lub wielkich rzek zamieszkałe. Rozpatrzone przez nas uprzednio typy grzebalne, najdawniejsze z napotykanych w Kijowszczyźnie, wskazują, że tubylcy tutejsi, zanim posunęli kulturę kamienną do stanu graniczącego z kulturą metalów, oddawali już cześć umarłym i prowadzili życie rodzinne, nawet w miejscowościach stepowych może i rodowe. Niemniej, życie ich musiało być odosobnionem od wpływów obcokrajowych, gdyż wyroby wszelkiego ro-

¹⁾ „Izw. XI Archeol. sjezda“, str. 173—175.

dzaju, jakie się w grobach najstarszych napotyka, tak kościane, krzemienne, jak gliniane, nie upoważniają do przypuszczeń o żadnych stosunkach dalszych.

Ale po rozpatrzeniu takich, nielicznych zresztą, acz nader ważnych, wykopalisk, świadczących o powolnej ewolucyi pod wpływem li tylko warunków miejscowych, przychodzi obecnie kolej na inne, dowodzące, że pierwiastki obce zaczęły z czasem przenikać nareszcie i do stron tutejszych.

Objawy te i możliwe uwydatnienie wpływu ich na przebieg życia przeddziejowego mieszkańców Kijowszczyzny są przedmiotem pracy obecnej.

I.

Korzystając z przerwy chwilowej między dwoma odczytami w wielkiej sali uniwersytetu Kijowskiego, zapytaliśmy jednego z archeologów o szczegóły znajduwane na stacyach starokamiennych nad Dnieprem. Opowiedział między innymi, jak ważne były poszukiwania innego badacza, gdy idąc śladami archeologa Bielaszewskiego, znalazł w pobliżu Trypola stacyę, której cechy, z wielu względów, zupełnie do tej pory nie były tu znane ¹⁾, aczkolwiek p. Bielaszewski, uprzednio, miał już do czynienia z całym szeregiem licznych stacyi pod tem samym Trypołem i dokonał tam odkryć niemniej ważnych.

Ostatnie wszakże dostarczyło wskazówek zupełnie w tych stronach, a nawet w całym państwie rosyjskiem, nieznanych, dotyczących rozwoju kultury nowokamiennej, a do pewnego stopnia ważniejszej od wszystkich dotychczasowych.

Na głębokości 20 do 30 centymetrów pod powierzchnią ziemi znaleziono bowiem szeregi płaszczyzn wykładanych warstwami gliny ubitej, a wypalonej. Płaszczyzny te, pokryte mazią gliniastą kolorów rozmaitych, miały przeważnie kształt prostokątów niewielkich, z któ-

¹⁾ „Izw. XI Arch. sjezda“, str. 176; „Kijewlanin“ № № 216 i 226, 1899 r.

rych wszakże jeden zajmował przestrzeń, 40 arszynów długą, a 20 szeroką. Na tych płaszczynach, jak się zdaje, podłogach dawnych mieszkań, znaleziono wiele naczyń glinianych i gładzone narzędzia krzemienne, kamienne, kościane, a nadto niewielką ilość małych toporków miedzianych i form, do odlewania kruszców służących. Czasami przedmioty te były ułożone w schowankach podziemnych, zaś na płaszczynach sterczały stożki, układane z kamieni płaskich, pod którymi doły te schodziły aż do podglebia.

Cechy znalezionej tu ceramiki pozwalają podzielić ją na dwie kategorie: pierwsza obejmuje naczynia, do których są przyczepione gliniane naśladownictwa głów zwierzęcych, byczych lub baranich i także figurki gliniane, wyobrażające kształty ludzkie; do drugiej— należą naczynia kształtów rozmaitych, jako to: okrągłe, gruszkowate, dzwoniaste, a zwłaszcza dziwnego wyglądu i zagadkowego przeznaczenia—dwururkowe, na podobieństwo binokli. Ceramika ta w części malowana.

Biorąc za podstawę taki podział naczyń powyższych, przypuszczają tu dwie kultury—wcześniejszą i późniejszą, lecz obie jeszcze neolityczne. Że takie stopniowanie jest w danym wypadku możliwem, utwierdza w przekonaniu niewielka ilość toporków miedzianych i formy do odlewania drobnych przedmiotów metalowych. Ludność, posiadająca jedną i drugą kulturę, była już zapewne rolnicza, gdyż o tem świadczą owe główki ornamentacyjne zwierząt domowych, znajdowane tu i ówdzie otręby pszenne i jęczmienne, a w dodatku narzędzia krzemienne, zagięte nakszałt sierpa, których przeznaczenie dla wielu jest wszakże zagadkowe. Niektóre kamienie mogły być używane do procy lub do gniecenia ziarna.

Obecni na zjeździe kijowskim archeologowie, oznajomieni z wykopaliskami w Galicyi wschodniej i na półwyspie Bałkańskim, stwierdzili podobieństwo wielu szczegółów, znalezionych pod Trypołem, z temi, które się i w tamtych krajach napotyka. W przekonaniu tem utwierdzają malowane ułamki niektórych naczyń, toporki brązowe i figurki żeńskie, wykazujące wpływy pojęć wschodnio południowych. W parę miesięcy po zjeździe podobne wykopaliska odkryto w powiatach południowych gub. Kijowskiej; dzięki więc jednym i drugim jesteśmy obecnie w możności twierdzić, że do Kijowszczyzny w okresie końcowym kamienia gładzonego—a że był końcowym świadczy metal w bardzo drobnej ilości i przedmioty same—zawitały już wpływy obce, których siedliskiem były Azja mniejsza, Grecya, wyspy Archipelagu i niektóre kraje półwyspu Bałkańskiego.

Kultura ta przedostała się do Karpat wschodnich, skąd zapewne zesłała na równinę naddnieprzańską. Jak dawno to nastąpiło, orzec trudno. Archeologowie nie zgadzają się, co do czasu, w którym na północ i wschód od Karpat okres kamienia zaczął ustępować okresowi kruszców. O całej Europie środkowej nie można przypuścić, by zmiana ta wszędzie miała zajść jednocześnie ¹⁾: im dalej ku zachodowi—tem wcześniej, im bliżej ku dorzeczu Wisły i Dniepru—tem później. Jedni orzekają, że czas ten sięga mniej więcej dziesięciu stuleci przed erą chrześcijańską, inni zbliżają się ku jej początkom.

W tymże samem okresie znajdujemy w Kijowszczyźnie jeszcze jeden rodzaj naczyń, również pochodzenia południowego, jak się zdaje z nad m. Czarnego bezpośrednio. Są to amfory ostrodenne „lecytami“ (lekifami) zwane, używane w czasach najdawniejszych w Azji mniejszej i Grecyi do przenoszenia płynów na głowach lub ramionach, naprzykład wina lub oliwy. Amfory te przyjść mogły od morza Czarnego tem łatwiej, że jego wybrzeże północne znane było ludom handlowym w czasach nadzwyczaj dawnych, a ponieważ lecyty znajdują się na całej przestrzeni stepowej, od morza Czarnego ku Kijowu, przeto przypuścić można, że się one tu wraz z winem i oliwą przedostawały z miejsc, na których lądowali starożytni marynarze. Dawność ich i okres, do którego należą, zdają się być stwierdzone przez sam wyrób, a tem snadniej, że wiele z tych amfor nie było nawet na kole garncarskiem ²⁾.

Tą samą drogą, od Południa, mogły się również przedostać do dzisiejszej ziemi Kijowskiej muszle morskie, znajduwane w kurhanach okresu kamiennego, a chociaż pochodzą one z morza Śródziemnego, wszakże naturalniej przypuścić, że są przywiezione od mniej oddalonych wybrzeży. Używano ich bądź jako amuletów, bądź jako znaków wymiany, nawet pewien rodzaj nosi nazwę „moneta cypryjska“.

¹⁾ Lissauer, Niederle i w. in.

²⁾ hr. Bobrińskij „Kurh. w pobliżu Śmily T. II, str. 127, 128.

II.

Dotykalne ślady wpływów obcych na kulturę tutejszą w okresie kamienia upatrujemy również w pewnych objawach ducha ludzkiego, wyrażonych pod postacią nowego typu grzebalnego, który, o ile niżej przeprowadzone studyum mylnem nie jest, mógł przejść do północnej lesistej części Kijowszczyzny od Zachodu południowego, czyli od podkarpacia pokucko-podlaskiego.

Z pod Żwańca, w dniu 30 września 1692, pisał hetman Stanisław Jabłonowski do króla Jana III o znalezionych tam grobach kamiennych¹⁾. Jest to najpierwsza wzmianka, jaką posiadamy o typie grzebalnym, w wielu krajach europejskich powszechnym, ale też w wielu zupełnie, jak się zdaje, obcym. Część północna Kijowszczyzny należy do pierwszych.

Na początku stulecia bieżącego były już wiadomości, że w stronach radomskich, nad Myką, odkopano kilka grobów, płytami wielkimi pokrytych i takież płytami wewnątrz wyłożonych. Znalezione w nich garnki gliniane z uchami, a w nich popiół z piaskiem, kości niedopalone, kamienne młotki i takież dluta różnej wielkości²⁾. Od czasu tego jeszcze kilka grobów podobnych odkryto na Polesiu³⁾. Należą one do rzędu tak zwanych „skrzynkowych“ wedle nomenklatury Ossowskiego, inaczej cist kamiennych, „steinkistergräber“, „stone-cistes“ zależnie od krajów, gdzie się znajdują.

Jeden z francuskich archeologów tak je określa: „jest to forma pierwiastkowa grobów bardzo dawnych, stosunkowo rzadkich (we Francyi), zwykle budowanych z kamieni dzikich, lecz kształtu płaskiego, ustawionych prostopadle, a nakrytych również płytą kamienną, które w ten sposób tworzą miejsca grzebalne, zupełnie odosobnio-

1) Kirkor „Groby kamienne“, „Zbiór wiadom. do Antr. krajowej“, T. I, 24.

2) Lippoman „Zastanowienie się nad Mogilami“ str. 11.

3) Antonowicz „Mapa Archeologiczna gubernii Kijowskiej. Objasnienia.“

ne¹⁾. Inny badacz powiada, że w niektórych krajach Europy pewnemuokresowi odpowiadał typ ten grzebalny, od dolmenowego skromniejszy i mieści go w okresie przejściowym, pomiędzy kamiennym a brązowym²⁾; jednocześnie zaś przypuszcza, że w Europie Zachodniej groby takie pojedyncze nastąpiły dopiero wówczas, gdy zaniechano składać umarłych w grobach familijnych, zamienionych z biegiem czasu w kostnice³⁾.

W części Słowiańszczyzny zachodniej zwyczaj budowania skrzyń kamiennych ulepszonych przetrwał znacznie dłużej; tak na przykład pod Grudziądzem, w grobie skrzynkowym, znaleziono monety ze stulecia IV po Chr., w innym Zachodnio-pruskim — wyroby z żelaza⁴⁾ itd. „Robenhauzeński“, czyli ostatni, według Mortillet'a, okres kamienia gładzonego, charakteryzują w Europie zachodniej i północnej tak zwane dolmeny; nie mniej przeto chowano w owymże czasie i w skrzynkach, budową zupełnie do dolmenów podobnych, lecz mniejszych, a ponieważ były za małe dla pomieszczenia ciała wyciągniętego, przeto składano je zgięte⁵⁾.

W okresie neolitu, w Europie środkowej, zwyczajnego złożenia w ziemi urn z popiołami prawie się nie napotyka, lecz przeważnie urny bywają obłożone kamieniami w ten lub inny sposób. Za to na południe od linii, którą prowadzimy przez Szląsk i Turynię, wcale się z dolmenami, ani z formami im pokrewnymi w Niemczech, nie spotykamy⁶⁾, co nie przeszkadza, że w okresach późniejszych groby skrzynkowe były tam do tego stopnia w użyciu, iż pozostały z doby wędrówki narodów, pospółu z grobami rzędownymi (Reihengräber). Wreszcie, by zakończyć tę wzmiankę ogólną, przytoczymy zdanie Niederlego, że prócz tak zwanych megalitów, czyli wielkich pomników kamiennych, do okresu nowo kamiennego zaliczać wypada i groby innych rodzajów, zwłaszcza obłożone płytami, a tworzące istotną skrzynię⁷⁾, lecz megalitami nazywać ich już nie należy.

Zwiedzając muzea i wystawy starożytności, widzimy tu i owdzie wzory następujące: w muzeum mogunckiem, sala starożytności

1) Closmadec „La question des dolmens et des coffres de pierre“ str. 3.

2) Carthailac „La France préhistorique“, 192.

3) Ibid, 313.

4) Kirkor „Zbiór wiad. do Antr. krajowej“, T. I, 22.

5) Ad. de Mortillet „Antiquité de l'homme“, 597.

6) Hörnes „Die Urgeschichte des Menschen“ 306.

7) „Liedstvo v dobe předhistorické“ w tłum. ros. 138.

rzymsko germańskich mieści grób prostopadle obstawiony płytami kamiennymi, po 5 z każdej strony bocznej, a po jednej od końców, z wierzchu nakryty trzema płytami ¹⁾. Wzór grobu kamiennego z Mcchetu, na Kaukazie, pokazany na moskiewskiej wystawie antropologicznej w roku 1878, składał się z płyt ciosanego kamienia dzikiego i piaskowca, na pół stopy grubych, 8—9 długich i 5 szerokich, przyczem boczne i wierzchnie były jednolite, chociaż w Mcchecie trafia się, że strony podłużne i wierzch tworzą po 2 lub 3 płyty do siebie dopasowane. Dno jego było ubite z grubej warstwy żwiru, w którym dość głęboko tkwiły płyty prostopadle. W grobach takich czasami, jak naprzykład w cmentarzysku Samtaurskiem na Kaukazie, lub w niektórych sasko-turyngijskich, znajdowano nie po jednym, lecz po dwa i więcej skurczonych szkieletów ²⁾.

Autorowie rozpraw archeologicznych potrącają wielokrotnie myśl o pokrewieństwie form grobów skrzynkowych, a dolmenów. Formy te nie są przypadkowe. Tu i tam, przy budowaniu, celem głównym było zapobieżenie zniszczeniu ciał lub popiołów; lecz nadawaniu rozmiarów budowie mogła towarzyszyć tendencya dodatkowa. Zanim przyjdziemy do kwestyi, w jaki sposób mógł powstać zwyczaj budowania skrzynek kamiennych, mających łączność z dolmenami i stanowiących do pewnego stopnia objaw ewolucyjny w budowie grobów, niezbędną, zdaniem naszym, rzeczą rozpatrzeć istotę dolmenu, czyli prototypu skrzynki kamiennej, jak świadczą kształty i sposób ułożenia jednych i drugich.

Zasadą architektoniczną obu jest kształt taki, w którym, na równolegle ustawionych do siebie płytach prostopadłych, leżą poziome, tworząc w ten sposób budowę zamkniętą. Cała różnica polega na tem, że 1) dolmeny są znacznie większe od skrzynek, 2) że były stawiane nad powierzchnią, a dopiero po ustawieniu częstokroć przykryte kopcem z ziemi lub kamieni polnych — podczas, gdy skrzynki przeważnie znajdują się głębszych, pod powierzchnią ziemi wykopanych, dołach, 3) że częstokroć w dolmenach nie dawano więcej nad dwie lub trzy ściany, gdy skrzynki zasadniczo posiadają ich cztery. Wszakże czasami dolmeny miewają ich po pięć i więcej. Tyle co do różnicy w budowie.

1) „Izw. Obszcz. lubit. jestiestwozn. i istor. T. XXXVII,“ 305.

2) Ibid., str. 311.

Ale i w samym powstaniu, a nawet przeznaczeniu jednych i drugich zachodzą, jak się zdaje, różnice znamienne, które, jakbyśmy pragnęli, najlepiej uwydatni pogląd na sam rozwój tych pomników głębokiej przeszłości.

Faktycznie dolmen jest to sztuczna jaskinia, nie wykopana wszakże w ziemi lub wykuta w skale, lecz ułożona z wielkich bloków eratycznych. Różni uczeni, a zwłaszcza Martillet, widzą w dolmenach tylko odmianę sposobu grzebania pierwotnego, tam, gdzie jaskiń natura nie stworzyła. I w istocie, w robenhauzeńskim okresie kamiennym grzebano zarówno w grotach naturalnych lub wykutych, jak i w dolmenach ¹⁾. Wszakże bez względu na pogląd, który dolmeny każe uważać li tylko za groby, nasuwa się pytanie, czy zwłaszcza na początku nie służyły one i do innych celów.

Wiadomo, że w okresie kamienia jaskinie były miejscami zamieszkania i grzebania. Czy się to działo jednocześnie, t. j., czy człowiek, mieszkając w jaskini, grzebał w teje samej umarłych, lub też, czy jedne służyły mu za schronisko, inne za grób rodzinny?—na to odpowiedź trudna; lecz fakta niektóre przemawiają za tem, że w pewnym okresie i przy pewnych warunkach można odpowiedzieć stanowczo. I tak: Mortillet nie waha się uznać, że nietylko groty, lecz i tak zwane groby korytarzowe w Skandynawii służyć mogły naprzód jako miejsca pobytu żywych, a później były zostawione przez nich na rzecz umarłych ²⁾. Przyjąć to tem łatwiej, że zdarzały się wypadki, iż w takich budowach podziemnych nie znaleziono wcale szkieletów ³⁾.

Za przypuszczeniem takim przemawiać się zdaje okoliczność, że mieszkania Eskimosów w Ameryce północnej są budowane zupełnie tak samo, jak skandynawskie groby korytarzowe, a nawet z zachowaniem tych samych wymiarów ⁴⁾. Argument ten nie był-by jednak dostatecznym, by udowodnić jednoczesności zamieszkania i grzebania w jednych i tych samych jaskiniach, gdyby nie fakty następujące. Pod Solutrée znaleziono w jaskini, najstaranniej na podścielisku popioło-

1) „Antiquité de l'homme“, 599—Nadaillac „Les premiers hommes“, T. I, 364.

2) „Antiquité“, 500.

3) Nilson „Das Steinalter oder Urcinvolner des Skandinavischen Nordens“ 100.

4) Ibid.

wem ułożone głowami ku zachodowi szkielety neolityczne, i w tejsze grocie ślady ognisk z płyt kamiennych, odpadki kuchenne z popiołami, kawałkami farby rudawej, z kośćmi renifera, otoczone kamieniami w sposób taki, jakiego i dziś jeszcze używają Eskimosi nad cieśniną Berynga¹⁾.

Zwyczaj grzebania umarłych pod miejscem zamieszkania żywych ujawnił się i przy badaniu jam popielistych, dowodzących, że tu stały niegdyś jakieś mieszkania. Pod takimi jamami znajdujemy od czasu do czasu szkielety w położeniu skurczonem, czyli w formie używanej w okresie neolitycznym²⁾. Następnie Carthailac przytacza fakty, w których upatruje dowody jednoczesności grzebania i zamieszkania jednej z jaskiń pod Mentoną³⁾; dalej w Hiszpanii, między Kartageną a Almerją, gdzie znajdujemy najrozmaitsze rodzaje grobów, są i takie, które zrobiono pod mieszkaniem ludzkimi, i to nie w okresie kamiennym, lecz później, podczas dobrze już rozwiniętego użytku brązu, miedzi a nawet świetnego rozwoju innych metalów, przed ukazaniem się wszakże żelaza i nowych form grzebalnych w skrzyniach kamiennych lub wielkich naczyniach glinianych⁴⁾.

Otóż wszystkie te, acz niezbyt obfite jak do tej pory, dane, pozwalają przypuszczać, że niektóre jaskinie służyły jednocześnie dla obu celów; a skoro widzimy, że i mieszkania ludzkie, zarówno na północy, jak i na południu, bywały zarazem miejscem grzebania, to i dolmen, owa jaskinia sztuczna, mógł służyć, zwłaszcza w początkach, do tych obu celów. Przypuszczenie tem łatwiejsze, że oparte na faktach następujących. Naprzód do niedawna jeszcze pasterze we Francyi południowej budowali schroniska z kamieni, nadając im kształty do dolmenów podobne⁵⁾. We Włoszech, naprzykład w Sycylii i Korsyce, pasterze używają dolmenów na mieszkanie; wreszcie dolmeny na stepach Rosyji południowej każą przypuszczać, że bynajmniej nie były stawiane jako grobowce. I tak ściana jednego z nich była wykuta w ten sposób, że miała rodzaj ławy; w pewnej grupie otwory wszystkich obrócone ku rzece, mogły być tak urządzone dla tego, by z wnętrza dogodniej śledzić to, co się na zewnątrz dzieje; nakoniec też same dolmeny nad Ingulcem stoją na

1) Nadaillac „Les premiers hommes“, T. I, 160; T. II, 238.

2) „Pamatki Archeologicke a mistopisne“, T. XV, 271.

3) „La France préhistorique“, 102, 103.

4) „Zeitschrift für Ethnologie“, 1887, 415.

5) Carthailac „La France préhistorique“ 215.

gruncie tak skalistym, że o możności wykopania dołu pod niemi mowy niema ¹⁾. Pani Mielnik, podając te szczegóły twierdzi, że taki sposób stawiania dolmenów daje się spostrzedz i na zachodzie Europy ²⁾. Niektórzy, jak np. Bertrand i Hildebrand, przytaczają również dolmeny, urządzone, co do pewnych szczegółów, na podobieństwo mieszkań pierwotnych ³⁾.

Pomimo wszystko, cośmy rzekli, dla bezstronności musimy dodać, że nauka obecna poczytuje dolmeny za grobowce, dopuszczając tylko, iż w pewnych razach służyły jako ołtarze ⁴⁾. Nie przeszkadza to wnioskom o dalszej ich ewolucyi, o przeobrażeniu się ich formy w skrzynkę kamienną, jeżeli nie powszechnie, to przynajmniej w wielu wypadkach.

Zasłużony badacz pomników megalitycznych, uczony Bonstetten, określając dolmeny, jako pomniki kamienne, w których część górna, z jednej poziomej płyty złożona, jest podtrzymywana przez dwie lub więcej prostopadłe, wyłącza wprawdzie tak zwane „sarkofagi“, czyli cisty (groby skrzynkowe) z rzędu pomników megalitycznych, ze względu, że się one składają z płyt niewielkich ⁵⁾, gdyż w megalitach chodziło przedewszystkiem o wspaniałość budowy; lecz dalej tłumaczy, w jaki sposób budowa megalityczna, dolmen, stawał się powoli zwykłą kamienną cistą. W miarę, jak ludzie, bądź dla trudności wydobywania wielkich płyt kamiennych, bądź wskutek osłabienia sił muskularnych przez ewolucyę cywilizacyjną, zaczęli unikać budowy, wymagającej wielkiego ich natężenia—dolmeny przybierają rozmiary skromniejsze, wysokość ich obniża się ⁶⁾, płyty, podtrzymujące wierzchnią zbliżają się do siebie tak dalece, że wkrótce, zamiast dawnych okazałych megalitów, pojawiają się skrzynie nakryte płaskim głazem, zaledwo podniesionym nad powierzchnię ziemi, i pozostaje zmodyfikowana, lecz wzorowana na dawnych kształtach, budowa. Po pewnym czasie znika i to podniesienie; płytę wierzchnią albo spuszcza się niżej powierzchni ziemi, albo kładą na równi, brzegi jej wystające obcinają i w ten sposób kształt dolmenu zatracą się zu-

1) „Trudy VI Arch. sjezda“ 111.

2) Ibid., 118.

3) Niederle „Lidstvo w dabe predhistoricke“, tłum. rosyjskie, str. 125, 125.

4) Ibid. 125.

5) „Essai sur les dolmens“, 3 i 4.

6) Bonstetten „Essai sur les dolmens“, 13.

pełnie, na jego zaś miejsce przybywa grób skrzynkowy—forma pozornie nowa, choć faktycznie tylko przekształcona. Natomiast, budowa grobów takich bywa częstokroć nader staranna, dokładniejsza niż ich pierwowzory¹⁾, które stawiały olbrzymi o siłach wybuchających, nie nadających się do pracy bardziej misternej, gdy tamte są już dziełem pewnej cywilizacji, dziełem ludzi osiadłych, mających czas nietylko na dopasowanie kamieni, lecz i na nadanie im pewnych—być może przez rytuał wymaganych—kształtów. Zdziwiająca bowiem rzecz, że w grobach skrzynkowych daje się częstokroć zauważyć prawidłowe ich zwięźenie od strony głowy szkieletu, nie zaś od nóg, jak-by się tego można było spodziewać²⁾, jeśli zwięźenie takie jest już niezbędné. Zwyczaj, zachowywany w dolmenach dawniejszych przy stawianiu płyt stroną gładzoną do środka, widzimy również i w skrzynkach³⁾.

Powyższy przegląd wnioskować pozwala, że jako zasadę ogólną przyjąć można przekształcenie cisty z dawniejszego dolmenu. Tak też w istocie przypuszczają niektórzy badacze starożytności w rozmaitych krajach. Fritsch, na przykład, o skrzynkach kaukaskich i krymskich powiada, że zwykły typ dolmenowy zmienia się tu stopniowo i przybiera kształt i rozmiary cisty, by następnie stać się sarkofagiem⁴⁾. Sophus Müller widzi w ciście skandynawskiej również formę zmodyfikowaną dawniejszego dolmenu, a chociaż zaznacza wielką różnicę między pierwszą a drugim, wszakże nie lekceważy podobieństwa⁵⁾.

Jeśli jednak mamy uważać dolmen jako prototyp skrzynki, a tę drugą jako formę ewolucyjną pierwszego, to musimy pierwiej przytoczyć fakty, które zdają się wskazywać, że w pewnych wypadkach cista mogła powstać samoistnie, nie zaś koniecznie z tradycyjalnych wzorów dolmenowych. I tak u ludów lapońskich, gdzie żadnego śladu dolmenów nie znajdujemy, spotyka się budowę grobów taką, by za-

¹⁾ Z tą starannością wykończenia nie zawsze-by się zgodził Sophus Müller, który powiada, że w Skandynawii stawiano staranniej wielkie megality i przypisuje to częścią zanikowi potrzeby większej dokładności przy budowie skrzynek—gdyż budowa wielka wymaga większej ścisłości ze względu na swe wymiary—częścią zmianie dawniejszych poglądów na istotę śmierci (Nordische Alterthumskunde, T. I, 115).

²⁾ „Nachrichten über deutsche Alterthumsfunden“, 1892, zes. V, 77. „Zeitschrift für Ethnologie“ 1889, 217 i w innych.

³⁾ Bonstetten „Essai sur les Dolmens“, 7.

⁴⁾ „Zeitschrift für Ethnologie“, 1875, 145—150.

⁵⁾ „Nordische Alterthumskunde“ T. I. str. 114 i nast.

pobiegła naciskowi ziemi na zwłoki. Nie są to cisty, które mają to samo przeznaczenie praktyczne, lecz daszki, ustawione z płyt kamiennych, lub doły prostokątne, obłożone z dwu stron zwykłemi głazami w ten sposób, że od głowy i nóg mają po jednej płycie, a na wierzchu kamień płaski¹⁾. Forma to, jak widzimy, do skrzynki zbliżona. U pewnych plemion azyatyckich, w okolicach jeziora Isyk-Kul, znaleziono kurhanki kamiennne, w których, na dwu płytach ustawionych prostopadle, trzecia leżała płasko, a pod nią szkielet²⁾; dolnych płyt brakowało. Zjazdowi archeologów w Moskwie komunikowano o grobach syberyjskich i mongolskich, czworogrannych, obłożonych płytami z kamienia³⁾.

Wreszcie w Europie mamy przykłady, które w danym razie naprowadzają na myśl o samoistnem wytworzeniu się cisty, nie jako formy powstałej z dolmenu, lecz tylko mającej na celu ochronę szkieletów lub popielnic od uszkodzenia. Naprzykład na Mazowszu zdarzają się kurhanki, złożone z kupy kamieni, w których urny dobrze są zachowane dla tego tylko, że je w sposób odpowiedni obstawiono uprzednio i przykryto kamieniami większemi⁴⁾. W Czechach, pod Velke Dobre, na samym spodzie kurhanu, ułożonego z brył kamiennych, stała skrzynka, z płyt kamiennych złożona i zawierająca dwie popielnice⁵⁾; tak samo w Hannoverze koło Goldbecku, gdzie pod kurhanem na 2.20 metra wysokim, ułożonym z kamieni, była cista doskonale wykonana, przykryta również płytą⁶⁾. W górnych Łużycach i na Szląsku (nad Bobrem) są cisty prawidłowe, a obok kurhany kamienne, w których urny obstawione kamieniami płaskimi⁷⁾. W tych więc wypadkach musiano mieć na celu ochronę urn wraz z ich dwoistością, od zmiążdżenia ciężarem kamieni nagromadzonych w usypisku. Najjaśniej widać to np. w okręgu zachodnio-pregnickim, gdzie w kurhanach, ułożonych nadzwyczaj misternie z kamieni płaskich, wśród których są kamery urządzone kolisto z kamieni polnych, postawionych prostopadle, zaopatrzone w rodzaj kopulek nad urn-

1) „Izw. obszcz. lub. jestiestwoznanja itd.“ T. XXVII, 119.

2) „Otcz. Archeolog. komissyi“ za r. 1899, str. 111.

3) „Zeitschrift für Ethnologie“, r. 1891, 421.

4) Ibid., r. 1872, 177.

5) „Pamatki Archeologicke a mistopisne—Dilo XV „Archeo'ogicki Wyskum w srednich Czechach“ 487, 488.

6) „Nachrichten über deutsche Alterthumsfunden“, 1892 r., zeszyt IV, 56.

7) „Zeitschrift für Ethnologie“ 1890, 260.

nami ¹⁾. W Marchii Brandenburskiej, w miejscu, gdzie się znajduje dużo głazów eratycznych, są groby takie: mają 10 kroków długości, 5 szerokości a 6 stóp wysokie, pod niemi okolenie z dużych kamieni; w samym nasypie znajdowano urny gliniane, częstokroć bardzo wielkie, obstawione płytami z kamienia, nad któremi również przykrycia płytowe ²⁾).

Nie przestajemy na tych przykładach dlatego, że dzięki ich różnaitości uwydatnia się możliwość przypuszczenia o samoistnem powstaniu cisty w celach praktycznych. I tak w Prusiech wschodnich, po prawej stronie Wisły, trafiają się kurhany, ułożone z kamieni, które, dla ich budowy, miejscowi nazywają „Steinkegelgräber.“ Otóż, wśród tych kurhanów bywają płyty tak ustawione, jak gdyby się z nich starano zbudować cistę, która jednak faktycznie cistą nie jest z powodu swej niedokładności; o jednym takim kurhanie wspomina prof. Lange, dodając, że skutkiem poszukiwań, dokonanych w Tuchomiu, Warzenku, Bninie itd., jak również w Starogrodzie, Konieczu i Świeciu, jeszcze Ossowski nabral przekonania, że ten rodzaj kurhanów ciągnie się łańcuchem przez Poznańskie i Szląsk, aż do Hercyńskiego lasu, a jak inni twierdzą, aż do Turynгии. Ossowski sądzi, że groby tego rodzaju, ułożone bardzo sztucznie z masy kamieni płaskich, obstawione wieńcem kamiennym u dołu, a wewnątrz zawierające urny, są tu starsze od cist. W jednym wprawdzie wypadku znalazł w nich jakiś przedmiocik z brązu, lecz przykład ten pojedynczy może być wyjątkiem. Cała budowa grobów tych wygląda tak, jak gdyby wśród masy kamieni płaskich i na płask leżących zostawiono miejsce, naokoło którego glazy ułożono w sposób odpowiedny, by chroniły urny od rozbicia. Słowem, widoczną jest rzeczą, że w każdym z wypadków powyższych starano się osiągnąć, ku czemu gdzieindziej służyła cista ³⁾. Najwyraźniej daje się zauważyć postęp, co do poprawności ułożeniakamieni, składających sam kurhan (hünengrab), w pewnej okolicy Saskiego lasu, gdzie kopce tego rodzaju dają się podzielić na trzy kategorie: w najniższych nie widać żadnego starania, by uchronić urnę od rozbicia; średnie znacznie już poprawniej pod tym względem stawiane; wreszcie trzecie, w których cel ten osiągnięty w zupełności, dzięki prawidłowemu otoczeniu urn płytami kamiennymi i przykryciu tych ostatnich również płytą. Temu stopniowemu udoskonaleniu techniki przy budowie tych mogił odpowiada i ich zawar-

¹⁾ Ibid. 1891, 362 i nast.

²⁾ Ibid., 1871, 191.

³⁾ „Zeitschrift für Ethnologie,“ 1887, 610—612.

tość, gdyż tam, gdzie budowa dokładniejsza, wyroby garncarskie są lepsze, kruszców jest więcej i rodzaje ich, jak na owe czasy, są wyszukiwsze, tak dalece, że w kurhanach, zbudowanych najpoprawniej, w tych właśnie, gdzie się już widzieć dają pierwiastki budowy skrzynkowej, napotykamy nie tylko bronz, lecz i żelazo ¹⁾. Przykład starania, by ułożyć skrzynkę, widzimy i w księstwie Lawenburskiem, gdzie w pewnej miejscowości, wśród kurhanów zawierających cisty prawdziwe z urnami, należącemi do okresu bronzu a nawet żelaza, był jeden, ułożony z kamieni podłużnych nader starannie, w sposób taki, że urna stała jak gdyby pod sufitem, chociaż cisty właściwej nie było ²⁾.

Można zapewne zarzucić wielu dopiero co przytoczonym przykładom, że chociaż w istocie dowodzą starania, by zapobiedz rozbiściu urn, lecz mogą się odnosić nie do okresu poprzedzającego użytek cist, ale przeciwnie. Natomiast możemy przytoczyć fakta bardziej jeszcze przekonywające, że miejscami cista mogła jeszcze nie być w użyciu, a jednak dążono do niej, tylko nie osiągnięto celu dla rozmaitych powodów. W dolnych np. Łużycach pod Feldmarkiem znaleziono bardzo wiele grobów neolitycznych, budowanych z kamienia, lecz przy całym widocznym staraniu, by to uczynić prawidłowo, tj. aby mogły należycie ochronić zawartość w nich umieszczoną, budowniczowie widocznie celu osiągnąć nie byli w stanie dla braku materiału takiego, który-by im mógł dostarczyć płyt grubszych; jeśli bowiem są tu płyty, to tak cienkie, że z nich cisty ułożyć nie można ³⁾. Brückner znalazł również koło Nowego-Brandenburga budowę neolityczną, której zadanie praktyczne odpowiadało zadaniu skrzyni; nie była to jednak cista, gdyż ściany grobu składały się z kamyków płaskich, drobnych, jeden nad drugim na płask ułożonych i tylko płytą nakrytych. Zawierała kilka skurezonych szkieletów, przy których były tylko garnki z ziemią ⁴⁾. Virchow zmierzył jedną czaszkę i znalazł w niej cechy rasy bardzo dawnej, a mianowicie była dolichocephaliczna, otwór nosowy mesoryniczny, a szczęki nieco prognatyczne ⁵⁾. Jak widzimy, grób ten, wcale nie dolmenowy, ani też skrzynkowy, wszakże zbudowany z widocznym dążeniem ku ochronie szkieletu, należący do okresu nowokamiennego,

¹⁾ „Zeitschrift für Ethnologie“, 1887, 726—727.

²⁾ Ibid., 1888, 599.

³⁾ „Zeitschrift für Ethnologie“, 1897, 277—278.

⁴⁾ „Zeitschrift für Ethnologie“, 1897, 277—278.

⁵⁾ Ibid., 1877, 279.

służy za dowód, że chociaż pierwiastek skrzynki kamiennej tkwił w dolmenie, to cista mogła rozwinąć się i z innej jakiejś formy, a w praktycznym celu. Pod tym względem niektórzy uczeni wypowiedają się całkiem kategorycznie. Widzieliśmy wyżej, co, z powodu kurhanów kamiennych poznańskich i dalszych ku zachodowi, aż do Turyngii, powiedział Ossowski; Fergusson przypuszcza, że porządek w powstaniu wymiarów i kształtów u dolmenów i skrzynek był zupełnie odwrotny od tego, jaki większość, a nawet obecnie wszyscy prawie archeologowie, przyjmują. Powiada on, że dla ochrony zwłok lub popiołów od uszkodzenia ziemią i kamieniami, najpierw urządzano groby w ten sposób, że je obstawiano luźnie głazami na podobieństwo późniejszych cist, dopiero następnie układano cisty prawdziwe, w końcu zaś, wzorując się na nich, zaczęto budować dolmeny ¹⁾.

Przytoczenie przykładów tych i wniosków uważaliśmy za niezbędne dla tego, że głównym przedmiotem, do którego rozpatrzenia zdążamy, są groby skrzynkowe w kraju, gdzie o dolmenach, by tu kiedy były, nikt nie wie. A to rzecz ważna; gdyby się bowiem dolmeny znajdowały w Kijowszczyźnie, i gdyby przyjęć bezwarunkową zasadę rozwoju cisty z tego rodzaju megalitów — jak to na przykład Sophus Müller dla Skandynawii przyjmuje, — to-byśmy mogli z pewną stanowczością twierdzić, że grób skrzynkowy poleski jest wynikiem ewolucji miejscowej. Skoro jednak dolmenów, ani ich śladu niema, rodzi się pytanie, skąd na Polesiu poszedł zwyczaj budowania cist, i czy był on samoistnym, miejscowym, a takim, który powstał nie przez filiację od jakiegoś prototypu, lecz tylko w celach praktycznych, czy też jest on naleciałością, przyniesioną przez jakąś kulturę, która tu, z końcem okresu kamienia, przywędrowała, bądź z krajów, gdzie były dolmeny, zastąpione czasem skrzynkami, bądź z takich, które same zapożyczyły cisty u innych.

Do przedmiotu tego, zdaniem naszym, ważnego, wrócimy niżej, a tymczasem rozpatrzmy, jak stoi pytanie przygotowawcze do kwestyi głównej, a mianowicie: czy te same ludy, które budowały dolmeny, używały jednocześnie i grobów skrzynkowych, lub też, czy się działo inaczej i w jak odległych jedno od drugiego czasach.

¹⁾ Nadaillac „Les premiers hommes“, T. I, 363.

III.

Kwestya, czy dolmeny i groby skrzynkowe zostawiły po sobie jedne i te same ludy, przedstawia się obecnie w sposób następujący. Ponieważ w wielu miejscach, tuż obok dolmenów, znajdujemy skrzynki kamienne, których zawartość odpowiada z wielu względów zawartości dolmenów, przeto sądzić-by można, że jedne i drugie mogą być produktem równoczesnym jednej kultury, względnie jednego ludu. Wszakże gdzieindziej zawartość skrzynek jest odmienną od tej, którą zachowały sąsiednie dolmeny, a zarazem wskazuje postęp w wyrabianiu rozmaitych przedmiotów. W takich wypadkach możemy przypuścić bądź to, że postęp dokonał się z biegiem czasu przez tubylców na miejscu, bądź, że przedmioty typu udoskonalonego zostały tu przyniesione jednocześnie z ewentualnem przybyciem ludów obcoplemiennych. Wreszcie, mamy i to do zaznaczenia, że wielokrotnie skrzynki kamienne znajdują się na dużych przestrzeniach tam, gdzie wcale nie ma dolmenów. W takich razach należy przypuszczać, bądź, że ich tu nigdy nie było, bądź, że z biegiem czasu uległy doszczętnemu zniszczeniu. Sprawa o współczesności budowania dolmenów i grobów skrzynkowych, kwestya: czy je zostawiły jedne i te same ludy, jedna i ta sama kultura—była gorąco rozpatrywana we Francyi, gdzie—jak na przykład na posiedzeniach Towarzystwa polimatycznego w Vannes,—spory o nią toczyły się lat kilka. Zdaniem prezesa rzeczzonego Towarzystwa, pana Arrondeau, ze względu na ogromne różnice, zachodzące między zawartością dolmenów a skrzynek, jak również ze względu na to, że we Francyi strefa pierwszych jest bardzo obszerna, gdy drugie stanowią w niej tylko wyjątki, przyjąć wypada zasadę różnoczesności, czyli przypuścić, że jedne i drugie zostawiły ludy rozmaite, że zwyczaj budowania grobów skrzynkowych mogli do Francyi przynieść cudzoziemcy ¹⁾. Wszakże w łonie tegoż Towarzystwa ujawniły się i zdania odmienne. Według nich, zarówno groby skrzynkowe, jak i dolmeny, budowane były nie tylko jednocześnie, ale i przez ludzi jednoplemienn-

¹⁾ Closmadeuc: „La question des dolmens et des coffres de pierres“ 7.

nych. Ci jednak archeologowie, którzy w ten sposób twierdzą, nie byli w stanie dowieść tej jednoplemienności, ani też określić, które-to były ludy, lecz tylko wymieniali rozmaite narody od Rzymian wstecz, aż do pierwotnych przedceltyckich mieszkańców Francji ¹⁾. W ten sposób kwestya owa pozostała tam w zawieszaniu: i tak, do niedawna p. Gaillard obstawał przy zdaniu, że groby skrzynkowe są nie tylko współczesne dolmenom, lecz że ponieważ często znajdują się w ich pobliżu, przeto mogą zawierać sługi, lub ofiary, poświęcone tym, których pogrzebano pod dolmenami. Przeciw temu wystąpił kategorycznie Carthaillac, zarzucając tamtemu, że wnioski swe oparł na spostrzeżeniach zbyt nielicznych, w sporze zaś, jaki się wywiązał między pierwszym a panem Closmadeuc, żądającym dłuższego czasu dla orzeczenia w tej kwestyi, wyraził przekonanie, że się obaj mylić mogą co do znaczenia szczegółów, w każdym jednak razie, wyczekujące stanowisko ostatniego wydaje mu się najodpowiedniejszym ²⁾.

Dla ziem skandynawskich też sama kwestya przedstawiona, o ile wiemy, najjaśniej w dziele S. Müllera, w sposób następujący: „Później od pomników wieku kamienia, później, aniżeli kamery mniejsze i groby olbrzymów, zauważono trzecią główną formę grobową okresu tego, czyli tak zwane cisty kamienne. Studya nad nimi rozpoczęli: w Szwecyi Montelius, w Danii Peterson. Ponieważ groby te z mniejszych kamieni, na kant ustawionych, tworzące prostokąt wydłużony, a nakryty płasko kamieniami, są zupełnie schowane pod ziemią, przeto dłużej od innych pomników pozostały w ukryciu. Są one nader ważnem ogniwem krańcowem w szeregu form grzebalnych okresu kamienia i świadczą o przejściu do okresu następnego ³⁾. Już samo obrobienie kamieni, składających te cisty, dowodzi, że ostatnie do innego, a późniejszego czasu należą, aniżeli owe wielkie komory (dolmeny) z ich potężnymi glazami; cista bowiem składa się przeważnie z cienkich, często na parę tylko cali, płyt, bądź naturalnych, bądź też — i co ważniejsza — odłupanych od większych mas kamiennych. Takie oddzielenie jest tu prawidłem ogólnem, podczas gdy w grobach olbrzymich trafia się bardzo rzadko. W ten sposób przypuścić można, że dopiero w czasie ukazania się grobów skrzynkowych zastąpiono dotychczasowy proceder trudny i wymagający zbytniego wysiłku do podnoszenia i przenoszenia glazów,

¹⁾ Ibid., 11.

²⁾ „Matériaux pour l'histoire de l'homme“, 1890, str. 365.

³⁾ Sophus Müller: „Nordische Altertumskunde“, tom I, str. 114.

sposobem o wiele łatwiejszym, czyli oddzielaniem płyt cieńszych od skały, lub wielkiego glazu eratycznego. Mogło tu już chodzić tylko o zbudowanie miejsca spoczynku, zakrytego i zabezpieczonego od czynników, działających zewnętrznie, ponieważ rozmiary cist są znacznie mniejsze, co dowodzi, że zarzucając budownictwo z kamieni wielkich, rozstawano się z potrzebą moralną stawiania grobów olbrzymich. Przytem w Skandynawii skrzynki już nie są budowane z takim staraniem, jak groby olbrzymie. Ostatni ten szczegół może oznaczać, że wobec nowych wyobrażeń oszczędzano sobie trudu, jaki przy dawniejszych mógł być niezbędny, prawdopodobniej jednak daje się on tem tłómaczyć, że rozmiary cisty nie wymagały już tej dokładności, jaką trzeba było zachować przy budowach większych, gdzie nieuwaga, lub niedbalstwo, mogły całe dzieło i samych budowniczych narażić na niebezpieczeństwo. Przyznać wszakże trzeba, że, pomijając niedokładności w technice budowania cist, zwracano uwagę na dostateczną ochronę zmarłego, czego dowodzą takie szczegóły, jak zakładanie otworów i szczelin drobnymi kamieniami, użycie gliny dla związania płyt, podkładanie kamyków płaskich pod wierzchnią, by leżała równo, wreszcie przykrycie całej cisty ze wszech stron kamieniami i sporą warstwą ziemi ¹⁾, tworzącą rodzaj niewielkiego usypiska. Celem jego była bezwarunkowo tylko ochrona grobu, gdyż przypuszczać trudno, by nasypy, jakie się, nie zawsze zresztą, nad cistami widuje, miały znaczenie pomników; są one bowiem w Skandynawii tak niewielkie, że nie przeszkadzają pługom, orzącym pole sąsiednie, krając skibę nad cistą, i dopiero gdy pług zaczepi o kamień, schowany pod powierzchnią ziemi, dowiadują się oracze że w tem miejscu jest grób. Jest to rzecz tak zwykła, że jeśli gdziekolwiek nad skrzynką okazał się nasyp rozmiarów znaczniejszych, to się przekonano, że go zrobiono w okresie późniejszym, nad ułożonym już poprzednio grobem skrzynkowym ²⁾. Kamienna broń, znajduwana w cistach skandynawskich, jest bezwarunkowo podobna do tej, którą zachowały tamtejsze groby megalityczne; wszakże, bez względu na to podobieństwo, są tu i różnice: do cist wkładano znacznie mniej dodatków ofiarnych, aniżeli do megalitów, co nakazuje przypuszczać, że ludzie przestali przywiązywać dawniejsze znaczenie do wyprawy zmarłego. Ogranicza się ona już tylko do niewielkiej, a typowo określonej ilości broni i ozdób, czyli przedmiotów takich, o których można przypuszczać, że

¹⁾ Ibid., tom I, str. 115.

²⁾ Ibid., tom I, str. 114.

zmarłemu służyły do użytku codziennego za jego życia. Pod tym względem dodatki, wkładane do skrzynek w okresie kamienia, nie różnią się od tych, które widzimy w okresie następnym. Nader rzadko zdarza się znaleźć w grobie skrzynekowym przedmioty takie, jak krzemienne zwykle dłuta, lub topory, używane przy robocie ręcznej, a które powszechnie znajdują się w grobach olbrzymich; widocznie więc nie wierzono już, by umarły ich potrzebował. Ceramika w cistach bywa również tak małej wartości, jak i w grobach okresu brązu, i wygląda, jak gdyby stanowiła tylko przeżytek obyczaju dawniejszego, kiedy obowiązkowo składano umarłym najpiękniejsze i największe urny i garnki. Czy takie zaniedbanie było spowodowane szczupłością miejsca, które w cistach nie pozwalało na sprawowanie stypy, czy też dowodzi wystygnięcia wiary w to, że umarli, tak samo, jak żywi, jedzą i piją? ¹⁾ Tak zapytuje autor, na co, naturalnie, odpowiedzieć trudno, wszakże Sophus Müller nie waha się wnioskować na podstawie wyżej przytoczonych szczegółów, że „cisty nietylko do innych, a późniejszych czasów należą, aniżeli groby olbrzymie, lecz i to, że zmiana w ich budowie i zawartości nastąpiła wraz ze zmianą pojęć o śmierci i o życiu przyszłym. Grób przestał już mieć znaczenie mieszkania, w którym umarły żył dalej według swych przyzwyczajęń; przeciwnie, stał on się już tylko schowankiem, strzegącym zwłok od możliwej profanacji. Pogrzebano je wprawdzie ze czcią i miłością, lecz już bez wiary, że umarły czuje zawsze, choć inaczej, a pogrzebowi temu musiał towarzyszyć podniosły pogląd na duszę, która jedna tylko, po śmierci człowieka, żyć nie przestaje. Pogląd jasny w obrzędach okresu następnego“ ²⁾.

Stanowczo więc określił swe stanowisko Sophus Müller w kwestyi pochodzenia skandynawskich grobów skrzynekowych. Jak widzimy, przypuszcza on ewolucyę, dokonaną na miejscu: skrzyńki zostały tu zbudowane przez ten sam naród, który budował przedtem dolmeny, lecz już w czasach swego wyższego rozwoju umysłowego. Nie tak wyraźnie przedstawia się to pytanie względem wielu innych krajów. Widzieliśmy wątpliwości Francuzów. W Anglii, gdzie grobów skrzynekowych bardzo wiele, należą one prawie wyłącznie do okresu brązu, a nawet niektóre z nich do czasów gallickich. Uczeni angielscy nie uważają ich za współczesne dolmenom, nawet wówczas, gdy skrzyńka i dolmen

¹⁾ Ibid., 119.

²⁾ Sophus Müller: „Nordische Alterthumskunden“, tom I, 119.

znajdują się pod jednym nasypem ¹⁾. Wobec tak postawionej kwestyi, a wiedząc jak często następowały po sobie najścia obcokrajowców na wyspy Wielkobrańskie, można przypuszczać, że zwyczaj skrzynki wraz z bronzem przybył tu z ładu stałego, w okresie późniejszym od kamiennego. Jak się zdaje, przybyła tu z jakimś nowym ludem nowa kultura, czyli że się dokonała zmiana raptowna, nie zaś ewolucya, jaką widzieliśmy w Skandynawii. Coś podobnego mamy w Niemczech północnych. Tu dolmeny ku południowi nie przekraczają linii granicznej lodowców, niżej są już tylko zwykłe groby kamienne, a między niemi skrzynkowe, lecz nie megality. Przyczyną tego mógł być wprawdzie czasami brak odpowiedniego materiału, gdyż z linią lodowców kończą się olbrzymie bloki granitowe, przyniesione tu niegdyś przez lawy lodowe z północy, wszakże w Niemczech bywają znaczne przestrzenie, na których jest wiele głazów eratycznych, a jednak żadnych megalitów niema; zresztą ceramika neolitycznych grobów skrzynkowych turyngijskich i saskich, sąsiadujących z najbliższymi kresami dolmenów, jest tak dalece wyższą od ceramiki zawartej w tych ostatnich, że wnioskować pozwala o różnicach kulturalnych na korzyść tych, którzy zostawili pierwsze. W pasie granicznym pomiędzy niemi ujawnia się nawet wpływ kultury wyższej na niższą, ponieważ ceramika skrzynkowa trafiła do najbliższych dolmenów ²⁾, skąd wniosek, że do części Niemiec północnych zawitała wraz ze skrzynkami kultura nowa, przeniesiona przez obce tubylczym plemiona, że tu zamiana dolmenu na cistę nie nastąpiła drogą ewolucyi, lecz napływu, i że lud, który budował dolmeny, nie jest tym, który zapoczątkował w Niemczech północnych użytek skrzynki. Tak się krzyżują „pro“ i „contra“ pytania zasadniczego, któreśmy postawili.

Przypuszczamy, że w różnych krajach bywało różnie. W jednych wypadkach sami tubylcy rozwinęli nową formę grzebalną, w innych, zwłaszcza tam, gdzie dawniejsza, dolmenowa, nie istniała wcale — udzielono jej z zewnątrz.

Wszakże i kwestya: gdzie w istocie budowane były dolmeny, gdzie zaś ich nigdy nie było, nie wszędzie jest łatwą do rozstrzygnięcia. Bezwarunkowo, że ogromna, większa część Europy — dzisiejsze państwo rosyjskie — nie miało ich prawie nigdzie; lecz i tu są wyjątki, jak zobaczymy niżej. Prawdą jest również, że jeszcze niezbyt daw-

¹⁾ Closmadeuc: „La question des dolmens et des coffres de pierre“, 14 — 15.

²⁾ „Zeitschrift für Ethnologie“, 1893, 107 i 132.

no twierdzono tak samo o rozmaitych miejscowościach, w których, po dłuższem szukaniu, niektórzy uczeni twierdzą, że je znaleźli. W ten sposób na przykład Bonstetten, fachowy badacz w połowie stulecia bieżącego, nie wiedział ani o dwu galicyjskich dolmenach nad Sere-tem ¹⁾, ani o tych, które pani Mielnik zwiedziła nad Ingulcem w gubernii Chersońskiej; również niezbyt dawno upadło mniemanie, że dolmeny się nie znajdują na wschód Odry, gdy, przeciwnie, znaleziono je na Kujawach, wprawdzie bardzo zniszczone. Nie zawsze więc tam, gdzie o nich nie wiemy, niema ich wcale, lub nigdy nie było, lecz w takim razie o samoistnem, nie ewolucyjnem budownictwie grobów skrzynkowych, również trudno wyrokować, opierając się na obecnym braku dolmenów w okolicy, gdzie są cisty. Nie mniej trudnem bywa wyrokowanie w tej mierze ze względu na brak olbrzymich głazów eratycznych, lub skał w danej okolicy, gdyż na przykład na Kujawach, znajdujących się po za ich za granicą, są ślady dolmenów, które prawdopodobnie zostały zbudowane z materiału sprowadzonego, zwłaszcza jeśli tego wymagał rytuał pogrzebowy ²⁾.

IV.

Przytoczone tu fakta i wnioski z nich snute nakazują przyznać, jak trudno orzec w pewnych konkretnych wypadkach, czy kultura, którą łączymy z grobami skrzynkowymi okresu nowokamiennego, była tylko dalszym ciągiem kultury dolmenowej, czy też powstała z innych pierwiastków miejscowych, lub wreszcie, czy w swej postaci całkowitej została przyniesiona przez ludność napływową. Ważnem jest zwłaszcza pytanie to dla nas, mających do czynienia z grobami skrzynkowymi w Kijowszczyźnie, gdzie dolmenów niema wcale, i gdzie obok kultury skrzynkowej, w okresie nowokamiennym widzimy, jak się zdaje, inną miejscową, której pozostałością są

¹⁾ „Zbiór wiadomości do Antropologii krajowej“, tom VIII, 50. Wprawdzie dr Demetrykiewicz powątpiewa, by to, co Kirkor poczytywał za dolmen, było nim w istocie.

²⁾ „Zeitschrift für Ethnologie“, rok 1893, 108.

kurhany wspólne, bardzo starożytne bezwątpienia. Użyliśmy tu wyrażenia „obok“ nie w tem znaczeniu, by obie te kultury istnieć miały na ściśle jednym obszarze topograficznym. Przeciwnie, zdają się one tylko sąsiadować z sobą; skrzynki bowiem z okresu kamienia znajdujemy w polaci zalesionej, północnej, a groby kurhanowe, wspólne, mieszczą się na obszarze stepowym, wysuniętym ku południowi, i powszechnie są uważane jako zawierające zwłoki tubylców. W polaci leśnej wszakże groby skrzynkowe nie wydają się najdawniejszemi; poprzedził je inny typ grzebalny, bardzo prosty, polegający na zwykłym złożeniu do ziemi ciała, owiniętego w korę drzewną, lub skórę zwierzęcą, na podłożu z piasku białego, lub gliny jasnej. Typ ten, o ile sądzić można, najpierwotniejszy na Polesiu, napotykamy i w części stepowej, wszakże, jak dotąd, o wiele rzadziej, niż w leśnej; być nawet może, iż znajdujemy go w miejscach odsłonionych dla tego tylko, że pierwotne lasy są już wytrzebione. W każdym jednak razie oba te neolityczne typy grzebalne: „prosty“ i „skrzynkowy“, każą wnioskować, że jeśli miejscowa kultura pierwotna ma związek z pierwszym, to drugi mógł być wynikiem kultury bardziej rozwiniętej; całe tylko pytanie polega na tem, czy owa kultura późniejsza zrodziła się na miejscu, czy też została przyniesiona, i skąd mianowicie? O ile źródła i umiejętność nasza korzystania z nich pozwolą, damy niżej właściwą odpowiedź, lecz, by ją módz uzasadnić, rozpatrzmy szczegóły, dotyczące grobów skrzynkowych i ogólne ich rozmieszczenie w ziemiach i krajach rozmaitych, zwłaszcza położonych bliżej Kijowszczyzny, o którą głównie nam chodzi.

Powszechnie groby skrzynkowe neolityczne znajdują się przeważnie [pod powierzchnią ziemi, wszakże trafiają się i w usypiskach, lecz w takim razie jest to znak, że są zbudowane w okresach późniejszych; pierwotne zaś są tak układane, że powierzchnia ziemi przykrywa skrzynkę bądź zupełnie gładko ¹⁾, bądź podniesiona nieznacznie i, jak to twierdzi S. Müller o skrzynkach skandynawskich ²⁾, nie przeszkadza nawet pługowi. Najczęściej więc, jeśli nad skrzynką neolityczną znajdujemy usypisko rozmiarów znaczniejszych, to z wielkiem prawdopodobieństwem przypuścić można, iż ostatnie jest późniejszym od samego grobu. Ta gładkość powierzchni nad skrzyn-

¹⁾ „Izw. XI arch. sjezda“, odczyt profesora Antonowicza, 79.

²⁾ „Nordische Altertumskunde“, 116.

kami ¹⁾ bywa przyczyną, dla której znaleźć je można najczęściej tylko wypadkowo, a zatem utrudnia zebranie materiału dla wyczerpujących badań o naszym przedmiocie; materiał ten bywa przytem bardzo zwodniczy ze względu na pozorne kombinacye skrzynek wszelkich okresów z otaczającymi je bezpośrednio grobami innego rodzaju.

Zwodniczość ta nakazuje archeologowi wielką oględność przy wyrokowaniu o starożytności skrzynki, gdyż nie zawsze da się stwierdzić czy ta, lub inna, jest neolityczną. Tak na przykład w jednym i tym samym kurhanie, obok zwykłych popielnic, należących do okresu kamienia, bywają i skrzynki ciałopalne z przedmiotami, lub bez nich ²⁾; we Francyi tak zwane „allées couvertes“, lub dolmeny, trafiają się wraz ze skrzynkami pod jednym nasypem ³⁾; w Niemczech znane są wieńce koncentryczne z kamieni, ze skrzynkami pośrodku ⁴⁾; wreszcie trafiają się groby skrzynkowe w otoczeniu zwykłych cmentarzysk z popielnicami, ustawionemi bezpośrednio w ziemi. Takie na przykład cmentarzysko zbadał Florkowski koło Grudziądza, gdzie tuż obok znajduje się cmentarz używany obecnie, co dowodzi, że całe to miejsce stale i nieprzerwanie służy pobliskiej osadzie od niepamiętnych czasów ⁵⁾.

Najbardziej wszakże zwodniczemi są te kombinacye, w których zarówno skrzynka, jak i tuż obok niej leżące inne urządzenie grobowe, należą do okresu kamienia. Voss na przykład opowiada o tak zwanych „łożach olbrzymów“ (Riesenbetten), 40 do 150 stóp długich, i 5 do 20 szerokich, otoczonych prostokątem kamiennym i z tak zwanymi „wächterami“, czyli głazami, ustawionemi przed wejściem, a zawierających i skrzynki kamienne wewnątrz otoczenia. Zdaniem Westendorpa, groby tego rodzaju znajdują się przeważnie na zachód od linii, idącej z Laponii szwedzkiej przez zatokę Botnicką, ujście Odry i Rodanu ⁶⁾. W takich jednak razach, twierdzi znawca tej miary jak

1) „Zeitschrift für Ethnologie“, r. 1872, 212; „Nachrichten über deutsche Altertumskunde“, 1892, zeszyt III, 47; *Ibid.*, 1891, 86 — 87; „Zeitschrift für Ethnologie“, 1889, 754; *Ibid.*, 1890, 260.

2) „Nachrichten über deutsche Altertumskunde“, 1892, *zcsz.* V, 84, 85.

3) Carthaillac: „La France préhistorique“, 30, 312.

4) „Zeitschrift für Ethnologie“, 1889, 522 i 1890 Verhandlungen; 38.

5) *Ibid.* w 1887, 512 — 519.

6) „Zeitschrift für Ethnologie“, 1877, 302 — 303; „Verhandlungen d. Berliner Gesellsch. für Anthrop., Ethnol. und Urgeschichte“, 1887, 44.

S. Müller, grób skrzynkowy bywa rzeczą wypadku, i wcale nie stoi w związku z resztą otoczenia ¹⁾).

Na szczęście naszych archeologów, groby skrzynkowe, znalezione do tej pory w Kijowszczyźnie, a dodajmy też i na Wołyniu, oraz w Galicyi wchodniej (bo, jak to zobaczymy, wszystkie one stanowią jedną wielką grupę) nie są w żadnym fizycznym związku z grobami innego rodzaju. Natomiast, jak to mówiliśmy, prawie nie mają żadnych usypisk. Dziwna rzecz, że szczegól tego rodzaju spotykamy bardzo daleko od granic europejskich, nie nad cistami wprawdzie: grzebiąc chanów mongolskich, nie tylko, że nad ich grobami nie wznoszono usypisk, ale starannie zarównywano powierzchnię grobu zasypanego i tratowano ją końmi. Szczegół ten zapisany w księgach chińskich ²⁾).

Grobyskrzynkowe datują od końcowego okresu kamienia, i zwyczaj ich budowania zachowuje się przez cały okres brązu, a nawet początków żelaza. Ta długotrwałość okresu skrzynek dostatecznie tłómaczy, dla czego w nich spotykamy najrozmaitsze formy rytuału pogrzebowego. Im skrzynka dawniejsza, tem większe prawdopodobieństwo, że w niej znajduje się parę, lub więcej szkieletów w położeniu skurczonem, a nawet z kośćmi zabarwionemi. Wypadki jednorazowego złożenia kilku ciał, w rozmaitych nawet okresach, mamy na przykład pod Tempelbergiem, w Prusiech, w niektórych skrzynkach na Kaukazie ³⁾, w Szwajcaryi ⁴⁾, w Skandynawii ⁵⁾, wreszcie na Podolu galicyjskiem ⁶⁾ i t. d.; wszakże już pod koniec okresu neolitycznego stanowczo przeważa złożenie ciała pojedynczego. Przykłady szkieletów skurczonych, tego przeżytku pozostałego z początkowego okresu kamienia, a przechowanego w okresie grobów skrzynkowych, nawet już w czasach użytku kruszców, mamy dość liczne w Europie, bez względu na formę grobu; jeden wiadomy nam z badań azyatyckich nad Isyk-kulem ⁷⁾. Widzimy to również w cmentarzysku Samtaurskiem na Kaukazie ⁸⁾, we wspomnianem już tempelberskiem ⁹⁾, w grobach galicyjskich ¹⁰⁾, we

1) „Nordische Alterumskunde“, tom I, 116.

2) „Izw. Imp. Obszer. Arch.“, tom VI, str. 211.

3) „Zeitschrift für Ethnologie“, 1872, 213.

4) Ibid.

5) Sophus Müller: „Nordische Alterumskunde“, tom I, 117.

6) „Zbiór wiadomości do Antropologii krajowej“, tom II, 22.

7) „Otezot Imp. Arch. kam.“, 1891, 112.

8) „Zeitschrift für Ethnologie“, 1872, 213.

9) Ibid.

10) „Zbiór wiadomości do Antropologii krajowej“, tom I, 27.

Francyi, za czasów tak zwanego „Robenhauzen“¹⁾, w Skandynawii²⁾, wreszcie nad dolnym Dnieprem, gdzie pod Aleksandropolem na przykład był rodzaj skrzynki, bardziej wszakże do niewielkiego dolmeniku podobnej, zawierającej szkielet skurczony³⁾. Z czasem nastaje zwyczaj palenia ciał, a groby skrzynkowe w okresie końcowym kamienia, bronzu i żelaza, zastawiają się urnami, zawierającymi popioły, węgle i niedopalone, lub nie zupełnie zniszczone przedmioty, oraz takie, których ogień napocząć nie zdołał. Do popielnic, których częstokroć w jednej skrzynce stoi po kilka, bywają dodane tak zwane przystawki, czyli naczynia gliniane, zawierające zapewne pożywienie, ofiarowane umarłym podczas obiady. W okresie kamienia jest tam i broń krzemienna, gładzona.

Czasami trafiają się w skrzynkach obok resztek ludzkich—zwierzęce, ale rzecz ta dość rzadka. Ossowski mocno podkreśla, że w poznańskich i pruskich grobach skrzynkowych, tam, gdzie bronz i żelazo, długo nie znajdowano ani narzędzi kamiennych, ani kości zwierzęcych; dopiero pod Rożnowem znaleziono kości zwierząt domowych, wraz z przedmiotami bronzowymi i żelaznami⁴⁾. „W kurhanach—powiada—kości zwierzęce tłómaczą się obrzędami pogrzebowymi; lecz w grobach kamiennych stanowią wyjątek, może przypadkowy, a może jako skutek przeszczepienia kurhanowego obrzędu pogrzebowego na grunt obrzędowy, właściwy grobom skrzynkowym“⁵⁾. Trafiają się jednak przykłady takie, które pozwalają sądzić, że groby skrzynkowe, tu i owdzie służyły wyłącznie do grzebania w nich samych tylko zwierząt. Tak na przykład pod Szczecinem, w dość obszernej ciście, znaleziono tylko szkielet barani, którego głowa była zwrócona ku południowi, a kończyny starannie na kamykach oparte. Nie było tu żadnej popielnicy, lub kości ludzkich, tylko drobne czerepki. Referent szczegółu tego wnioskuje, że był to grób specjalnie zwierzęcy, niewiadomo jakiego okresu, a podobny do niektórych w Turynгии i Meklemburgu⁶⁾. Gdzieindziej znaleziono w małej skrzynce młot kamienny i nic więcej.

1) Morcillet: „Antiquité de l'homme“, 597.

2) Sophus Müller: „Nordische Altertumskunde“, tom I, 118.

3) Zabielin: „Istoria ruskoj zizni“, I, 616.

4) „Zbiór wiadomości do Antropologii krajowej“, tom V, str. 1.

5) Ibid., 7.

6) „Zeitschrift für Ethnologie“, 1889, 429 — 430.

V.

Ponieważ w szeregu studyów naszych o kulturze przeddziejowej w starej Kijowszczyźnie nie przekroczyliśmy jeszcze okresu kamienia, przeto obecnie powinny-by nas obchodzić te tylko zabytki archeologiczne, a więc te skrzynki, które się do tego jedynie okresu odnoszą, aczkolwiek odróżnienie ich od skrzynek późniejszych bywa częstokroć dość trudne, zwłaszcza, że kultura metalowa nastąpiła w Ziemi Kijowskiej bezpośrednio po tej kulturze, której jedynym z objawów są skrzynki z okresu kamienia. Co więcej, mogły obie istnieć jednocześnie w bardzo blizkiem od siebie sąsiedztwie; dla tego też w naszym szkicu poglądowym na rozwój skrzynek kamiennych w Europie wogólności — podkreślając dobitniej te tylko wykopaliska, które się do końca okresu kamienia odnoszą — potrącimy z konieczności o późniejsze, by uwydatnić znaczenie neolitycznych.

Zaznaczyliśmy już poprzednio, opisując sposób budowania skrzynek, że kilka płyt, tworzących figurę prostokątną, zwykle nakrywano jedną, lub wieloma. Spód sześcianu takiego bywał rozmaity: czasami stanowiła go ziemia ubita, lub tylko naturalne podglebie, czasami bruk z kamieni płaskich, wreszcie płyty, ułożone obok siebie mniej więcej tak, jak płyty wierzchnie. Bywają wypadki, w których płyt wierzchnich nie znajdują wcale, co czasami przypisać należy ich zniszczeniu, czasami jednak nie musiało ich tam być od samego założenia ¹⁾. Im lepsza budowa, tem częściej płyty ciosane są gładko na obie strony, lecz w okresie kamienia daje się to zauważyć przeważnie tylko od strony wewnętrznej. Znaki, żłobione na płytach, stanowią wyjątki, wszakże bardzo zajmujące, i tak: w Szwecyi środkowej, a mianowicie w Gotlandyi, jest wiele skrzynek, które w ścianach tylnych mają otwory okrągłe, lub nakształt półksiężyca. W Szwecyi południowej i w Danii brak ich zupełny, aczkolwiek kraje te bardzo obfitują w za-

¹⁾ Kopernicki: „Zbiór wiadomości do Antropologii krajowej“, tom II, 69. — Montelius: „Die kultur. Schwedens“ i t. d., 32. — „Zeitschrift für Ethnologie“, 1889, 217; 1888, 596 i 579; 1876, 269.

bytki grobowe z okresu kamienia; natomiast typ ten powtarzają w Anglii południowej i we Francji północnej, a podobieństwo jednych i drugich do gotlandzkich jest tak znamienne, że rzuca światło na blizkie stosunki w danym okresie między temi oddalonymi od siebie krajami. W Niemczech środkowych trafia się to również, co tłumaczą jako wynik stosunków niemieckich z Zachodem ¹⁾. Otwory tego rodzaju zauważono niejednokrotnie i w megalitach dolmenowych, zwłaszcza w Indyach. Jaka myśl lub cel przewodniczyły przy ich urządzeniu, orzec trudno; niepodobna jednak przypuścić, by miały znaczenie praktyczne, gdyż, zwłaszcza w grobach skrzynkowych, nie mogły służyć do komunikacji zewnętrznej; prędzej więc upatrywać w nich należy wyraz pojęć o trybie pośmiertnego przebywania dusz umarłych, o ich potrzebie zachowania stosunków ze światem żywych, lub o drogach prowadzących do jakiejś krainy nadziemskiej. W liczbie osobliwości zaznaczamy tu również grób skrzynkowy, znaleziony w Skanii, należący już do okresu brązu i przykryty nasypem. Płyty jego prostopadłe były zarysowane figurkami żłobionemi, przedstawiającemi ludzi, konie, wóz, statki i broń ²⁾. W innych wypadkach na płytach wierzchnich leżą czasami kamienie z wyżłobieniami kształtu misek, o których można-by przypuścić, że miały przeznaczenie ofiarnicze ³⁾. Wreszcie, jako wielką ciekawość, opisuje Klopffleisch grób, znaleziony pod Merseburgiem. Pod długim nasypem płyty tworzyły wielką skrzynię (Steinkammer), siedem stóp długą, cztery szeroką i tyleż wysoką, której podłoga była starannie ubita z gliny, a wierzch składały trzy płaskie bloki kamienne. Sześć płyt, stanowiących ściany, były ozdobione rysunkami żłobionemi w kamieniu, napszczanemi farbą, lub tylko malowanemi według techniki, przypominającej egipckie zdobienia grobów w Saccara. Ornamentacya ta naśladuje wzory dywanowe, broń i uzbrojenia rozmaite; jej linie łamane przypominają również egipckie, assyryjskie, lub trojańskie rysunki, widywane na głowicach i innych częściach kolumn, oraz na piramidach; niektóre są podobne bądź do naluczy tebańskich ze strzałami, bądź do narzędzi egipckich, zachowanych w piramidzie, pozostałej, według Lepsius'a, po IV-ej dynastyi. Na jednej ze ścian skrzynki merseburgskiej jest też i pierzasta ornamentacya w kształcie linii, do których po obu stro-

1) *Revue d'Antropologie*, r. 1891, 60.

2) Montelius: „Die Kultur Schwedens in vorgeschichtlicher Zeit“, 70.

3) *Ibid.*, 34,

nach dochodzą mniejsze, równoległe sobie, zupełnie takie, jak na pewnej wazie w muzeum hallskiem i na jednym kamieniu słynnego bretońskiego megalitu w Gavrinis. Taką samą ornamentacyę spotykamy u Schliemana, który ją porównywał do starowschodniej palmowej, widywanej na pomnikach fenicko - cypryjskich. Na drugiej ścianie wykuty rysunek ładnej siekiery, kształtu takiego, jak toporek kamienny, znaleziony w tymże grobie wraz z garnkami okresu neolitycznego, wykazujący wpływy jakiejś kultury wysoce rozwiniętej. Znaczenie innych ornamentacyi daje się doskonale tłómaczyć przez porównanie z egipckimi, lub zachodnio-azyatyckimi. I tak: są tu rysunki, oznaczające u Fenicyan i Egipcyan „drzewo życia“ i „wodę“, czyli sok ożywczy, dostarczany ludziom przez to drzewo dla oczyszczenia się, zanim przejdą do tamtego świata. W zależności od tych znaków zostają inne, które mogą być wyrazem fenickim: „Gades“, dzisiejszy Kadyks, kolonia fenicka, założona na jedenaście stuleci przed erą chrześcijańską, siedem zaś linii, ułożonych nakszałt promieni, wyobraża Wschód, trzy inne, narysowane na przeciwległym końcu płyty, w takim razie Zachód ¹⁾).

Tłómacząc w ten sposób ornamentacyę, można przypuszczać, że neolityczny grób ten skrzynkowy, tak daleko od dróg morskich znaleziony, zawierał szczątki jakiegoś mieszkańca Wschodu, lub Południa, kupca fenickiego na przykład, który aż z Kadyksu tu przywędrował. Gdyby tak było, mieli-byśmy jeden z dowodów, jak dalece były rozgałęzione stosunki już w okresie końcowym kamienia, czyli w dobie, która właśnie z Południa i Wschodu użytek kruszcu, a z nim i nową kulturę zapoczątkowała. Lecz, jak to rzekliśmy wyżej, znaki, które-by pozwalały wnioskować o znaczeniu osób pogrzebanych w tym, lub innym grobie skrzynkowym, zaliczają się do wyjątków, wprawdzie tem cenniejszych, że w Europie znaleziono już dotąd bardzo wiele grobów skrzynkowych, a znaków na nich nadzwyczaj mało.

Wzmiankowaliśmy wyżej o tego rodzaju zabytkach, znajdujących i w innych częściach świata; obecnie, przystępując do ogólnego ich rozmieszczenia, zaznaczamy, że nawet w Ameryce północnej znajdują się sześciennie skrzynki kamienne pod usypiskami, w których zawarte urny różnią się zasadniczo od dzisiejszych wyrobów glinia-

1) „Vorgeschichtliche Alterthümer der prov. Sachsen“, tom I, str. 47 i następn.

nych amerykańsko-indyjskich, i zawierają węgiel, szlakę, kości ludzkie spalone, lub całkowite szkielety ¹⁾; co do Azji, przytoczyliśmy również przykłady, z których można wnioskować, że typ grobu skrzynkowego nie był i tam zupełnie obcym; wistocie bowiem, jeśli się rozwinął z dolmenu, to, również jak w Europie, mógł powstać wszędzie tam, gdzie były dolmeny, a więc w Indiach wschodnich, w Palestynie ²⁾, u brzegów Malabaru ³⁾, nawet w Nowej Zelandyi ⁴⁾, co tem łatwiej przyjąć, że na pewnych stopniach cywilizacji, nawet u ludów rozmaitych, obrzędy religijne wymagały użycia płyt kamiennych. Zresztą wzmianki o zwyczaju kładzenia ich na grobach napotykamy w księgach Rig-Wedy ⁵⁾, a więc w bardzo dawnych za-
bytkach piśmiennictwa religijnego.

Od przypuszczeń jednak i faktów, niedostatecznie zbadanych, przechodzimy do rzeczy sprawdzonych. Europę, pod względem rozmieszczenia w niej grobów skrzynkowych, bez względu na to do jakich okresów należą, możemy podzielić na dwie części, a nie wiele się omylimy, jeśli za linię graniczną między niemi przyjmiemy Zachodnią Dźwinę i Dniepr. Od linii tej zasadniczej tu i owdzie, o ile możemy z dotychczasowych odkryć wnioskować, bywają wszakże zboczenia. Tak na Północy strefa grobów skrzynkowych zdaje się niezupełnie jej sięgać, gdyż naprzód nie dotyka wybrzeży Bałtyku w prowincjach nad ujściem Dźwiny leżących, powtórnie na Litwie i Białorusi jest bardzo stale reprezentowana, wreszcie na Południe od środkowego biegu Dniepru aż do morza Czarnego groby skrzynkowe prędeż w dorzeczu Bohu i Dniestru, niż w dorzeczu Dniepru napotykać się dają. Za to Krym i Kaukaz należą do krajów, w których rozpatrywany przez nas typ pogrzebowy był w użyciu przez czas dłuższy; w danym więc razie i linię graniczną, którą, w braku innej, oznaczyliśmy tylko w przybliżeniu, uważać należy za przekroczoną. Linia graniczna, którą przed chwilą przyjęliśmy pod względem rozmieszczenia grobów skrzynkowych, dzieli ląd europejski na część zachodnią i wschodnią; są wszakże w części pierwszej wielkie obszary, na których, jak do tej pory, groby skrzyn-

¹⁾ Allgemeine Encyclopedie der Wissensch. und Künste r. Ersch. u. Gruber, 77 Theil (1864), 1581.

²⁾ Bonstetten: „Essai sur les Dolmens“, 40.

³⁾ Ibid., 45.

⁴⁾ Nadaillac: „Les premiers hommes“, tom I, 35.

⁵⁾ Ibid., „Zbiór wiadomości do Antropologii krajowej“, tom II, 21.

kowe, odszukać się nie dały, a między niemi cała równina węgierska na Południe od Karpat położona, zachodnia część Galicyi i południowa Królestwa. Być może, z czasem, poszukiwania dadzą odmienne pod tym względem wyniki; my jednak liczyć się z obecnymi musimy, tem bardziej, że one rodzą pogląd na kulturę, której, jak sądzimy, jednym z objawów był zwyczaj budowania grobów skrzynkowych, zaniesiony wraz z nią aż do starej Kijowszczyzny.

KSAWERY CHAMIEC.

Pan Balcer w Brazylii.¹⁾

Alić im dalej borów, tem te stepy
Chudsze, puściecejsze i dzikszsze się czynią.
Aż my się natkli na żywe czerepy
Spalonej ziemi, i szli tak — pustynią.
Nad nami, kręgiem, niebieskie się sklepy
Od gorącości okrutnej aż sinią,
Żar cichy w górze i żar cichy w dole,
A słońce, jakby szydłem, w oczy kole.

Patrzą się chłopcy po owej zgorzeli,
Niepewnym, srodze frasobliwym wzrokiem,

¹⁾ Patrz zeszyt październikowy.

Aż gdy Herodziej w znak krzyża rozdzieli
Powietrze, nad tem pustkowiem szerokiem,
Runą w step, jakby nagle uwidzieli
Drogę przed sobą. I tak wielkim krokiem,
Szliśmy, iż noce miesięczne się stały,
Póki nad nami nie obrzasł dzień biały.

Wtedy, jak zwierz ów, co szuka swej pory,
Jaskrawe ślepie zmruczając do słońca,
Tak my, bądź jakiej dopadłszy się nory,
Srogiego w niej się chronili gorąca.
Życie liczący teraz na wieczory,
A tę pustynię spaloną bez końca
Mierząc nocami, a czując na hasło—
Jak u nas: świta!—tak tutaj:—Zagasło!

A już nad one rozłogi stepowe
Czerwony księżyc, jakoby latarnia
Pożarna, wznosił swą ognistą głowę.
Zaczem wzlatuje wyżej, mrok rozgarnia,
Jaśniej, drąży niebieską posowę,
Jak kula, którą uleje puzkarnia,
Z szczerego złota, aż coraz się mniejszy,
Coraz świetlistszy czyni i srebrniejszy.

A wtedy, w onej szerokiej poświacie,
Ten step spalony zeschłego muroga,
W ogromnym jakimś stawał majestacie,
Z którego biła moc wielka i sroga.
Idziesz, a czujesz jak śmierć dycha na cię,
Dokładająca pilno swego stoga,

I jak te trawy, których noc nie rosi
Łżą zmiłowania, kosi... kosi... kosi...

A głód przypiekał. Co w płachcie miał który
Kukurydzowych placków, albo ziarna,
To łuskał babom, dzieciom. Kość do skóry
Jeła nam sucha przymierać i czarna.
Osłabły łądzwie, wzrok stał się ponury,
Głos zchrypiał, milczy gromada wpierw gwarna,
A jak bociany z późnego wylęgu,
Ten to ów gęsto ostawa w ocięgu.

Leez Roch Zatrata ogromnym szedł krokiem
Poprzód, jak gdyby przybyło mu siły,
A choć się mienił ogniami i mrokiem,
Chociaż krwią czarną nabiegły mu żyły,
W rozradowaniu jakimś szedł głębokiem,
Pod onem dzieckiem mdlejącem pochyły,
Co je murzynom odjął, i za raję
Krzynkę, ślubował nieść aż do kraju.

Mówią mu chłopcy: — „Niechaj!“. A ów: „Co ta!..
Toć jak wróblowi łba mu nie ukręcę,
Trochę łzej, ciężej — jedno! A sierota.
I sam Pan Jezus zdał mi go na ręce!“
A chłopak to się nieprzytomny miota,
W ogniach gorąca, to w zimnicy męce
Zębami dzwoni, jakby go mróz chłostał,
A wysechł, że się tylko cieniem ostał.

Tak nam wschodziły te dnie i te nocy,
W szerokiej pustce na spalonym stepie,
Już słuchającym, jak śwista gdzieś z procy
Murzyńskiej kamień, jak chwostem gdzieś trzepie
W zapadłe boki szakal, jak w niemocy
Dziatki majaczą! już patrzącym w ślepie
Żółte hyeny, co skrada się cicha,
I na żyjących jeszcze — trupem dycha.

Żebyż przed nami iskierka gdzieś złota,
Żeby pastusze na polu ognisko!
Żeby smug dymu choć, choć żerdź od płota,
Żebyż koń zarżał, warknęło gdzieś psisko!
Nic, tylko pustka śmierci i głuchota...
Nikt nie wie, czy nam daleko, czy blisko,
I tylko w oną miesięczną poświatę
Żmij z sykiem czoło podnosi rogate.

.

Nagle świat spiętrzył się. Zrazu szły falą
Pagóry prawie żywej krzemieniny,
To przez moc wielką dźwigną się, to wałą
W rozpełzłe, żółwim podobne łupiny.
Idziem, aż na świt omgłoną gdzieś dałą
Zamodrzył wirchów rożaniec nam siny,
Zębate, dziko poszarpane skały,
W przecz zawaliły niebo i tak stały.

Tak chłopcy dalej w wark: Toć się mówiło,
Jako stepami wprost dojdziem na morze,
A teraz bij się, człowiecze, z tą siłą,
Co jej i dyabeł rogaty nie zmoże!
A pocóż my tu przyszli? Po co było
Puszczać się borów? Toć tam, jak w komorze,
Toby jagodę nalazł, to choć zielsko,
A tera drzyj się tą kupą dyabelską!

Klnie Lis, klnie Wawrzon, z podełba i chmurnie,
Patrzy Piotr Bugaj, w wąsiska Kos dmucha.
Lecz mnie, kiedym tak spojrział w one turnie,
Zaraz od serca przewiała otucha.
Więc tylko głową kiwam:—Oj wy durnie!
Bom wnet zmiarkował, że tam, gdzie tak bucha,
Ziemia wzwyz, dziura musi być po górze!
A cóżby, jeśli nie morze, w tej dziurze?

Ha, idziem. Idziem, jakby na przepadłą.
Idziem dzień, mało co wytchnąwszy z potu,
Idziem dwa, trzy dni, nie bacząc na jadło,
Na sen, a tylko patrząc wylotu.
Sto gór przed nami, sto w pozad usiadło,
Że i wprzód ciężko, i szukać nawrotu
Nie lża... Nad głową skrawek tylko nieba,
A już ostatki kruszyliśmy chleba.

Aż bez ratunku, gdy my już w te kopy
Zabrnęli, w świat tej kamiennej posuchy,

Tak się zrobiła rozpacz między chłopcy.
Skipiały onych kłątów pierwszych wybuchy,
Jak piana, kiedy z kadzi wyrwie czopy,
Zaczem zawziętek przyszedł i wark głuchy,
Aż się zrobiła cichość, i z tej pory
Nie ludzie szli my już—ale upiory.

Omglało dziecko, to chłop ściszał zęby,
Na bary rzucał, jak torbę z obrokiem,
I szedł przez dzikie skał nagich wyręby,
Brew nad jastrzębiem naciągnawszy okiem;
Mało kto strawę poniósł tam do gęby,
Mało kto gadał. W milczeniu głębokiem
Szedł lud, jak gdyby rychlej chciał do końca,
I do śmiertelnych portów, na wschód słońca.

Ja sam—co chcę zagadać—myślę: po co?
Już i tak czarna świeca się nam znaczy.
A tu nad nami skrzydliska łopocą
Z skalnego gniazda zruszonych łopaczy.
Krążą nad nami dniem i krążą nocą,
Żałobnym krzykiem przydając rozpaczy.
Aż duch, jak ptak strzelony, upadł we mnie,
I jużem mówił sam sobie: daremnie!

Pięć dni, pięć nocy, nie folgując prawie
Słabiejszym siłom niewiast i dzieciątek,
Szli my, jakgdyby po ognistej lawie,
Taki w kamieniach okrutny był wrzątek;
Oczy posępnie patrzą i krwawie,
Usta w gorzkości, na twarzach zawziętek,

I ona srogość ostatniej rozpaczy,
Co na nic, ani na siebie, nie baczy.

Twardec tam były chłopcy, a niektórzy
Nie mógł zwyciężyć dusznego przestracchu,
I łeb podnosił nocą, i na góry
Wyl, jak pies, kiedy na chałupy dachu
Upiorny księżyc wyjdzie z poza chmury
I stanie, albo gdy zaczuwszy w gmachu
Śmierć, ogon wtuli pod siebie i wyje,
Jak surmę, długą wyciągając szyję.

Aż się zacięła wszelka ludzka dusza,
I każdy mękę swoją chował na dnie,
A miłosierdzie żadnego nie wzrusza:
Idzie, to idzie, a padnie, to padnie.
A chociaż sroga była tam katusza,
W ludziach śpieszących milczkiem i bezładnie,
Ani na głód się, ni na znój, nikt z kupy
Nie skarżył. A wnet padły pierwsze trupy.

Świt był. Od wczoraj jeszcze Roch Zatrata
W tyle się został z dzieckiem za wszystkimi.
Chłopcę się ona głowina kołata,
Przez plecy włoski sypiąca złotemi,
A tu duszyczka już z niego wylata,
I tyle tylko trzyma się tej ziemi,
Co one wyschłe rączyny za szyję
Rocha trzymają. Opadły—nie żyje.

Lecz chłop szedł jeszcze i ona stężała
 Pasyjkę dalej niósł, w świat wielki, złoty.
 Aż nagle począł drzeć!.. Tak go przewiało,
 Dmuchięcie ono, co gasi żywoty.
 Zaczem się zgarbił, twarz podniósł zczerniałą
 Ku martwej głowie nędznego sieroty,
 I patrząc się w nią, zaszeptał zdumiały:
 — „Dziecko! Jakże ty ciężkie!.. Jak świat cały!“

.

A w tem, jak zajrzeć, przed nami tu staną
 Skaliska, czubem utopione w niebie,
 Nieprzejęzoną a tak bystrą ścianą,
 Że ani krokiem nie dawa do siebie.
 Patrzę—turnicą piorunem krzesaną
 Cień lecącego orła się kolebie...
 A wyżej — słońce czerwone się toczy...
 A jeszcze wyżej—śmierć. Zamknąłem oczy.

A lud, jak wryty stanął i wejrzenie
 Błędne wbił w głazy. Sam zdawał się głazem.
 Tak chwilę trwało srogie pomilezenie,
 Gdyż wyraz nie mógł należeć się z wyrazem;
 Aż, jako gdy się pożaru płomień
 Na dach wyrzuca,—krzyk, kłątwy, płacz razem
 Buchnęły w niebo z niestrzymaną siłą,
 A echo poszło w grzmot i gromem biło.

Co mocy było w ludzie, co słabości,
Co utęsknienia do miłej przystani,
Co głodu w onej wysuszonej kości,
Co wiary, i co omylenia na niej,
Wszystko buchnęło wihrem nawałności
Po starowiecznej, milczącej otehlani
Nie my krzyczeli, lecz serca w nas same
Krzyczały, tak ból zerwał wszelką tamę.

.

Radzić? Co radzić? Czy przebić mur głową?
Czyli nam pięścią rozwalić te góry?
Czyli nad szczyty chmurą piorunową
Przewiać nam? Czy, jak ptak, przelecieć pióry?
Czy wracać?... Wracać tą drogą na nowo,
Śmiertelnych potów, głodowej tortury
I krwawych śladów?.. Jęk wyszedł z gromady.
Nie było siły, więc nie było rady.

Horodziej podczas milczał. Jakiś lichy
Był w dniach poślednich i osłabł nam zgoła.
Gdyby przemówił, to może-by szprychy
Inaczej poszły u tego tam koła.
Bo choć głos drżący miał w sobie i cichy,
Zdało się czasem, że trąba w nim wola!
Taką roznośność i moc mu dawała
Ta zwiędła głowa i ta kość zetlała.

Lecz we mnie, jako obręcz nadeptana,
 Gwałtem się przeżył duch, chociaż przygięty.
 Więc rzekę: Ludzie! Idźmy choć do rana!
 Może zwyciężym jakoś te odmęty!
 Prawdać jest, sterczy w niebo sroga ściana,
 Lecz świat na kłódkę przecież nie zamknięty,
 Dłaboga, zbierzmy w kościach resztę mocy,
 Choć do wieczora idźmy! Choć do nocy!

Sucharów kilka mam, będzie dla dzieci...
 Jeszczem to mówił, gdy słyszę krzyk trwogi.
 Spojrzę, ze zbocza stromego człek leci,
 Kręcąc w powietrzu ramiona i nogi,
 Jak śmigi. Szczęśniak! W oczy mi zaświeci
 Płótnianka jego... Szczęśniak!.. Szukał drogi!..
 Wtem padł, a czerep poszedł mu w odruzgi
 I obryzgały ziemię krwawe mózgi.

Leżał, a nikt się nie ruszył z gromady,
 Zeby posłuchać, czyli jeszcze dycha...
 Lecz Bugaj, co stał przy mnie bardzo blady,
 Pokiwał głową i rozśmiał się zeicha.
 — Ot, nasza droga! — rzekł — ot, nasze rady!
 Nie, nie wyzywać nam już tego licha!..
 Już amen!.. — A dwie łzy wielkie i żywe
 W drżące wąsiska upadły mu siwe.

A w tem Zatrata jak kłoda się zwali
 Na one żywe glazy. — „Co tam, braty!

Co będziem dłużej tej śmierci szukali,
 Tutaj jej pole dajma! Tu niech gnaty
 Nasze obgryza!.. Niech piorun nas spali,
 Niech głód nasz dożre! Co ta!.. Niech tam światy
 Wałą się na łeb!.. Nie dojdę do Wroniec...
 Tu leżał będę — trup! Tu zrobię koniec“!

Słuchają chłopcy, patrzą... U tych rosy
 W oczach, u inszych spiekota czerwona,
 A Kos: „Bo prawda!.. Jużci“!.. — A mnie włosy
 Dębem stanęły... Nagle, jakby ona
 Wichura lawą cisnęła pokosy,
 Tak padli... Gdzie kto stał... Jak te brzemiona,
 Co je ze siebie grablisko otrząsało,
 Tak padli... Jak te snopy na przewiąsało.

Baby zaczęły szlochać. Jedna, druga
 Poklęka, ale nie było już siły
 Zmawiać pacierza; więc tylko jak długa
 Krzyżem się ściele na skalne te bryły,
 Kachna Bugaja, staruszka z nad Buga!..
 Tak przyrastalo nam onej mogiły,
 Z której się coraz podnosił głos żywy:
 — „Bądź nam, ginącym duszom, miłościwy“!

Ha! Jeśli z tego śmiertelnego stoga,
 Ten głos, przez one kamienne pustynie
 Doleciał gmachu niebieskiego proga,
 Jeśli Bóg widział, jak naród ten ginie,
 Apelujący tą śmiercią do Boga;
 To tam musiały ustać w tej godzinie

Wszystkie muzyki rajskie, wszystkie chwały,
A te anioły — to na głos płakały!

A już się począł zmierzch czynić, i cienie
Głębokie rzucił na te nędzne głowy,
Zapadające w wieczności milczenie,
I w nieruchomość już, i w proch grobowy.
Wtem na skał czubach zajarzą płomienie...
I zobaczyłem w nich krzyż Chrystusowy,
Jak przez otchłanie szedł własną swą mocą,
Zaczem świat ugasił i odział się nocą.

Wtedy, jak czajki, wrzeszczące nad kępy,
Bić w nas zaczęły drapieżne orliki,
Szerząc, przez owe kamienne ostępy.
Okrutnie srogi skwir i powrzask dziki,
Zaczem z gniazd czarne zerwały się sępy,
I uderzyły w nas, jak kopijniki,
Grotami dziobów, bo im się ta kupa
Z żywych szkieletów wydała — za trupa.

Ale Marychna stanęła nad Dudkiem
Cała w bładościach i łunach przestachu,
W czarnej chuście, z tem dzieckiem malutkiem,
Tak świerkającym, jak wróblík na dachu.
Wlepiła w chłopa oczy błędne smutkiem:
— „Co ty?.. Na dziecko zabaczyłeś, Stachu?
Co ty?“. I bije oną jasną rzęsą,
A usta tylko jej się niemo trzęsą.

Wyciągnął rękę: „Nie płacz, Maryś! Co ta!
 Siednij tu sobie wedle mnie, niebogo...
 Raz śmierć! Niedługać to tam z tem robota,
 Bo i tak dechu mało co u kogo...
 Siednij!“ — Lecz ona, od łez bujnych złota,
 Nagle na twarzy odmieni się srogo:
 — „Pies ty, nie ociec! — krzyknie — Pies! nie sięde,
 Nie zgubię dziecka! Póki tchu, szła będę!“

I niewiniątko ścisnąwszy w ramiona,
 Ściągnęła głębiej na twarz czarnej chusty,
 I zaraz, jakby wiatrem poniesiona,
 Zaczęła śpiesznie iść w ten pomierzch pusty.
 Lecz Dudek ryknął, i wnet cała ona
 Rozpacz spłynęła przez słów upusty,
 Chwycił się: — „Maryś, stój! Ja z tobą!“ — Zaczem
 Tu, to tam, piersi zaniosły się płaczem.

Tak w rodzicielach serce potajalo,
 Gdy pojrzą na ten drobiazg swój uspiiony,
 Co u nóg matek, jagnięcą i białą
 Trzodeczką legnął, a był już znaczony
 Czarnym na runie znakiem i za mało,
 Za nic, miał pędzon być na te zagony,
 Gdzie ani wschodzi słońce, ni ugasa,
 I gdzie śmierć ciche swoje trzody pasa.

Więc, jako burza, gdy deszczem uderzy
 W zemdlone trawy i w ziemi zgorzałość,

Wnet spiekle błonia rozżywi, rozświeży,
 Tak dusze ona rozświeżyła żalność.
 I patrz! Dzieciątko jedno, ptak bez pierzy,
 Taka drobina niema, taka małość,
 Ruszyła ludem z tak potężną siłą,
 Jakby sto dzwonów w rezurekcyę bilo.

Pierwszy, szlochając, porwał się Zatrata,
 Jakże więc Ziąbie nie padnie na szyję!
 — „Odpuść! Odpuśćta ludzie! Tom za kata
 Chciał być nad wami?.. Reta, nie wyżyję!
 A zdziel-że który przez łeb mnie, jak brata,
 Bo mi to serdce na śmierć się zawyje!
 Toć katoliki my, nie samobójel..
 Laboga! Zdziel mnie który! Niech sfolguję!“.

Zaczem się dźwigną wskrzeszone Łazarze,
 Podnoszą ręce, głowy i ramiona,
 Siedli, podjęli pobieliałe twarze
 W niebo, a każda łzami uroszona.
 Aż się skra życia w źrenicach ukaże...
 Pobrały matki dzieciątka na łona,
 Wstają, chcą iść już, choć nocą, a dalej!
 Targają chłopów za rękaw, by wstali.

Tak za Marychną pojrzę i za Stachem.
 Szli pilno, skalnem wspinając się zboczem
 Pod ciemniejących błękitów baldachem,
 Już mgliści, już tem sinem podobłoczem
 Nakryci... Ona wpierw, najmniejszym strachem
 Niezłękła, jakby skroś wiedząca o czem,

Szła, jakby anioł wiódł ją gdzie po steczce,
Istna Marya z Dzieciątkiem w Ucieczce.

Trzeci dzień świtał, kiedy my na strzemię
Wschodnie wstąpili skalistego siodła.
Spojrzym, przed nami het precz wolne ziemie!..
Już maj, już biodra góróm pasze jódla,
Już sto ruczajów osrebrza im ciemię.
A jak wzrok puścić, tak wstęgę rozwiodła
Ogromna, modra i wezbrana rzeka,
I w wielkich błyskach do morza ucieka.

— „Reta!“ — zawrzaśniam, a huk, jakby działo
Pękło, rozegrzmiał w stu echach przez szczyty.
Wnet szpiku w kościach, tchu w nozdrzach przybrało,
I tak pod one różane rozświty
Walim na rzekę prosto, walim śmiało!..
Już się jej modrość mieni w złotolity
Pas, już go słońce gęsto dzierzga skrami,
Już potop ognia żywego przed nami.

Więc nam się serca podniosły, jak ptaki,
Bystremi pióry lecące na wolę...
Nuż pokrzykiwać, nuż lukać junaki,
Jakby tuż własne ciągnęło się pole,
Miedze sadzone w jałowcowe krzaki,
W grusze, w szumiące listkami topole,

Taka nas rzeźkość zjęła, taka siła,
Jakby za rzeką zaraz — chata była.

A nikt nie wiedział, że ona wolana
Zbyt głośno przez nas śmierć, tuż w pobok kroczy,
I że w tych wielkich światłach, już od rana
Wytrzeszcza na nas swoje ślepe oczy...
A nikt nie wiedział, że w suche kolana
Chrzęści, schodząca z tej skalnej uboczy,
I że te żwirry, co toczą się drogą,
Lecą i brzęczą, trącone jej nogą.

Jeden Horodziej zaczął coś, więc skinie,
Rzekąc mi zcicha: — „Mój panie Balcerze,
Postójcie mało, bo jakoś mi ninie
Słabo... Nie zdolę tak z wami iść w mierze
Dalej“. — Tak spojrzę, a jemu zapłynie
Lico mgłą jakby, i już na się bierze
Zmierzch wieczny... Chcę coś rzec, dodać pociechy,
Lecz mi się tylko zatrzęsły te miechy.

Tak krzyknę: — „Stać tam!“ — Odwróć się głowy.
A on, bielutki, jak w kwiecie ta grusza,
Wzniósł ręce, modli się niememi słowy,
Jakiś wiatr górny włos siwy mu rusza.
Ciśnie się naród, gwar ustał i mowy,
Jakby w kościele, zrobiła się głusza...
Ale Horodziej oczy trzymał w górę,
Westchnieniem wzbity nad własną naturę.

Zaś rzekł: — „Toć zdawna już na rękę noszę,
 Jako gołębia siwego, tę duszę,
 I zdawna jej się, by leciała, proszę..
 A ot i bije w pióra... Ot i tuszę,
 Iż jej się ziemia namyka potrosze,
 I cały jestem w lotu zawierusze...
 I pełne piersi mam wielkiej jasności,
 I zamiast szpiku, światło czuję w kości...

Tak wy już idźcie przepławiać to morze.
 Aby do chaty prędzej i do domu!
 A ja już słyszę pukanie to Boże,
 Cichuchne, ano luczniejsze od gromu.
 Toćże zaszczepki nie przywrę w komorze,
 Gdy mnie Pan Jezus zawoła do promu...
 Bo oczy moje za śmierci obliczem
 Są utęsknione... A więcej — za niczem“.

.

Westchnął: — „Ot może chciał-bym z tego granu
 Widzieć, jak lud się dobije do końca..
 Ale i to tam do woli już Panu!..
 Niechże was Chrystus prowadzi obrońca,
 Bo ja już tego nie przebrnę Jordanu...
 Już mi czas!“. — Stał tak, patrzący do słońca,
 Które z gwałtowną wzbijało się siłą...
 Chłopy odkryły głowę. Cicho było.

Aż on: — „Lzy wszystkiem wysiał już, jak rosy,
 Deszcz mnie polewał, by podolną trawę,

I byłem tułacz, i głodny, i bosi,
 I jak pelikan, pierze miałem krwawe...
 Dość ze mnie! — Zamilkł. Nagle przez niebiosy
 Szeroko spojrzął, sprostował postawę.
 — „Dzwony! — zakrzyknął — Dzwony z Jasnej Góry
 Biją!.. Na Alleluja biją w chmury!“.

Więc się rzucili ludzie na kolana,
 Jak w podniesienie... Słuchamy tej ciszy...
 Pękła nad nami dalekość ta szklana,
 Każdy-by przysięgł z nas, że dzwony słyszy.
 Biją! Jako na hejnał biją zrana!..
 Przymknięte oczy, wysoko pierś dyszy,
 Ni łzy, ni głosu, a tylko w nas była
 Moc zachwycenia — aż w niebo, i siła.

Ale Horodziej drżał, jak łabędź biały,
 Gdy srebrne puchy rozpuści na wietrze,
 A jakieś wielkie światła po nim wiały,
 I wielkie mroki, jak gdy dzień się zetrze
 Z nocą... Już tchy w nim słabły, ugasaly,
 Lico się bledsze czyniło, a bledsze,
 Aż mi się w ręce mdlejący potoczy,
 A śmierć lekuchno zdmuchnęła mu oczy.

.

W głęboką wnękę, pod wysokim graniem,
 Ciało my wyschłe złożyli ku zorzy,
 I wielki kamień zatoczyli na niem.
 — Śpij-że tu sobie cicho, kmieciu boży,

Az ci jakowemś ogromnem świtaniem
Anioł w lnach białych przyjdzie i otworzy
Ten grób, który jest jako Chrystusowy,
Bo też we skale, i chłopu też nowy.

A nas już wody wołają szumiące
Tej wielkiej rzeki, co ucieka w morze,
I to, które jak ptak wlatuje, słońce...
Już lecim... Pod te krwawe lecim zorze,
Bociany błędne, do gniazd wracające,
Już nas porywa wicher, co po ugorze
Polnym gdzieś świszcze przez puste zagony:
— „A ty tu ostań z Bogiem! Pochwalony!”.

MARYA KONOPNICKA.

Pogadanka artystyczna.

Obrazy Jacka Malczewskiego.

Wiele mówi się u nas o tak zwanej literaturze w malarstwie, o literackich pomysłach w obrazach i t. p. W gruncie rzeczy są to frazesy, pochodzące z poplątania pojęć i wyrazów, gdyż niepodobna jest z góry określić ściśle granic twórczych dla żadnej zgoła sztuki.

Szczególność właściwość organizacji twórczych polega właśnie na tem, że wszystko, co urodziło się jako uczucie w duszy twórców, lub weszło do niej z zewnątrz, jako wrażenie, czy też w postaci idei powstało pod ciśnieniem pracy ich mózgu, uzmysławia się ostatecznie pod wpływem potężnej wyobraźni twórczej w formie, staje się rodzajem wizyi, tak nieraz plastycznej i dotykanej, jak sama rzeczywistość.

Leży jednak przepaść niezmierna między tem, co się czuje i widzi oczyma ducha, a tem, co się wyrazić w kształtach konkretnych pragnie. Z chwilą, gdy na przykład malarz, idąc za

popędem instynktu twórczego, przekracza w kompozycji granice zjawisk zwykłych, gdy wprowadza do niej swoje myśli, uczucia, nastroje, swoje wizye — jednym słowem świat własnej duszy, musi go również ubrać w kształt i barwę, musi im dać zewnętrzne życie w tych granicach, jakie zakresła logika i prawo życia rzeczywistego.

Wizyonera Wiertza, fantastę Böcklina, marzyciela epok minionych, Matejkę, równie obowiązują barwa, rysunek i prawa rozkładania się światła, jak i Teniersa, malarza codziennych scen życia mieszczańskiego.

Dopóki malarz tworzy w granicach tych środków, dopóty stoi na gruncie czysto malarskim, bez względu na temat. Dopiero, gdy mu tych środków do wyrażenia swego pomysłu zabraknie, gdy musi komponować długie literackie objaśnienia do obrazu, lub też umieszczać, jak to bywało w pewnych epokach malarstwa, napisy na samym obrazie, wplecione w kompozycję i podpowiadające widzowi to, czego nie wyraża samo malowidło: wtedy tylko może być mowa o udziale literatury w malarstwie, a i wtedy dotyczy to nie pomysłu, lecz właściwie samych środków artystycznych.

Środki te w malarstwie nie sięgają tak daleko, jak mowa, która jest artystycznym materiałem poezji. W przeciwieństwie do tej ostatniej, są one określone w czasie i przestrzeni, ograniczone ściśle jednym zmysłem wzroku, poza którego władzą istnieje jeszcze cały świat zjawisk, dostępny wyrażeniu ludzkiemu.

Natomiast przewagą i potęgą środków malarstwa nad innemi, jest niesłychana ich plastyczność, z m y s ł o w o ś ć, działająca na wrażliwość prawie dotykalnie, przy minimum pracy ze strony widza, bez wysiłku wyobraźni i pamięci, które w poezji, uiby okulary dla krótkowidza. niezbędne są do ożywienia zewnętrznej martwoty słowa, gdyż słowo samo przez się nie ma ani kształtu, ani barwy, ani tonu. Działa ono jak uderzenie palca w klawisz instrumentu, a gdy klawisz źle, lub wcale nie odpowiada, uderzenia giną bez echa.

Czemże będzie jedno z najplastyczniejszych arcydzieł poezji opisowej, „Pan Tadeusz“, dla tych, którzy-by nie umieli mocą wyobraźni przetopić na barwę owej „gryki, jak śnieg białej“, „dzięcieliny, palającej rumieńcem panięńskim“, „słońca, rozżarzonego niby kowalska podkowa“, którzy nie mają siły „przenieść swojej duszy utęsknionej do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych“.

Dla czytelnika o szczupłej wyobraźni, straconą jest większa część estetycznej rozkoszy, płynącej z poezji. Weźmy na przykład ową cudną oktawę z Króla-Ducha. Jak potężną pracę zadaje wyo-

braźni słuchacza Słowacki, by wywołać nastrój odpowiedny przez zestawienie przedmiotu z harmonią całego otoczenia:

J a k m i e s i ą c b y ł a , k i e d y z n i e g o z e t r z e
 Pierwszą pozłotę słońce w dzień jesieni,
 A on się topi w błękitne powietrze
 I lekko swego czoła zarumieni.
 I nad girlandą lasów, gdzie na wietrze
 Drżą liście złote przy liściach z płomieni,
 Pełny, okrągły, bład. się przemienia
 W mgłę... jak cudowna twarz srebrnego cienia.
 Taka jej błądź!

Barwa martwej twarzy utopionej Wandy. By ją sobie we wrażeńiu namalować, czytelnik musi pójść wyobraźnią za poetą w słoneczny ranek jesienny, i wpatrzeć się w nikłą błądź księżycy, roztopiającego się w błękitach nad purpurą i złotem więdnących liści, i zestawić cały ten obraz razem w harmonii dopełniających się barw, inaczej cała oktawa będzie dla niego szeregiem martwych dźwięków.

W malarstwie inaczej. Malarz musi w obrazie spełniać tę pracę i za siebie, i za widza, przemówić wprost do zmysłów, jak przyroda. Musi on uzmysłwić wszystkie barwy i wszystkie kształty, którymi pragnie wrażenie wywołać, i ustosunkować wzajemną ich zależność, dostroić każdą barwę, każdy najsubtelniejszy ton do ogólnej harmonii, i tak je podać oczom widza, w formie nie mniej zmysłowej, niż sama rzeczywistość.

Zaprawdę, jest to trudność nie byle jaka, walka najsubtelniejszego pierwiastku — ducha z czemśtak grubym, niedoskonałym i niesforem, jak farby; z materiałem, który wymaga rzemieślniczej wprawy i przezorności, uwarunkowany będąc prawami technicznymi, nieznośnymi wykroczeń. Widz, który, patrząc na dzieło skończone, widzi te środki posłuszne i opanowane, zamienione w rzecz żywą, ani wie często, jak wiele straszego wysiłku, męki i zwątpień złożyło się na ujarznienie tego żywiołu, jak marnym on tam jest niewolnikiem wólc swego zwycięzcy — ducha twórczego.

Jak powiedziałem wyżej, środki, właściwe malarstwu, nie dają się rozszerzyć aż do wyrażenia wszystkiego, czego się pragnie. Kom-

pozycya, zmierzająca do wywołania pewnych, szczególnie subtelnych uczuć, obudzenia pewnych myśli, wprowadzenia w jakiś szczególny nastrój, częstokroć, jak ptak zamknięty w klatce, rozbija się o te granice bez skutku. Widz wzrusza ramionami i na tem koniec. Wprawdzie sztuki epok minionych pozostawiły w spuściźnie po sobie wytarte szablony — symbole, znaki martwe, zrozumiałe właśnie dla swej konwencyonalności. Są one określone tak ściśle, jak litery alfabetu, lecz właśnie dlatego twórczość, która zwykła snuć sama z siebie, stroni od takich środków objaśniających. Zwykle też malarz, który nie wykonywa na zadany temat, lecz tworzy to, co czuje, nie ucieka się nigdy do ich pomocy, i szuka w sobie i w przyrodzie form zgoła nowych. Rezultat tych usiłowań zależy będzie od wielu czynników natury złożonej: jak wyobraźnia, szczerłość i żywość uczuć, wrodzone i wysubtelnione zdolności psychologiczne, a nadto intelligencya i wielki smak artystyczny, strzegący granic, na których kończy się sztuka, a zaczyna dziwaństwo, lub śmieszność. Barbarzyńca tworzy do swoich pojęć i uczuć formy zagnatwane, dzikie, a przytem, dziwna rzecz, mało fantastyczne i pozbawione logiki bytu. Im zaś wyższą jest kultura twórcy, tem doskonalszym będzie twór jego i większa siła rzutu jego wyobraźni.

Dzieło plastycznej sztuki nie może i nie potrzebuje nawet być, ani systematem filozoficznym, ani rozumową rozprawą na jakiś zamierzony temat. Idealem wyrazu artystycznego w malarstwie, na przykład, będzie taki obraz, który, działając na wrażliwości widza środkami artystycznymi, wywoła w stopniu równym nastrój i uczucie, identycznie podobne stanowi uczucie i nastroju artysty w chwili tworzenia obrazu. Wartość zaś bezwzględna obrazu zależeć będzie od jakości, siły i bogactwa uczuć i wrażeń, które artysta za pośrednictwem obrazu przelewa na widza.

Tematy obrazów Jacka Malczewskiego wykraczają poza granice zwykłych codziennych wrażeń. Poza ich treścią zewnętrzną czuje się duszę ludzką, która chce być usłyszaną i zrozumianą. Pragnienie to jest niewątpliwie celem głównym, do którego dążą usiłowania artysty; w jakim stopniu cel ten osiąga, określić ściśle trudno, bo każda dusza w swej odrębności jest jako morze, na którego powierzchni do-

strzedz można wszystkie falowania i odbicia, ale głębia jego nie da się przeniknąć aż do dna. Malczewski jest jednym z tych, którym zaciąsną w granicach swojej sztuki i który te granice potężnym wysiłkiem chce rozsadzić. Szuka uparcie formy dla stanów duszy, wymykających się subtelnością swoją z granic świadomości, a szuka z uporem i wiarą, że je znajdzie, wracając z nieugiętością tytana po kilkakroć do jednych i tych samych tematów.

W każdym razie, nie ulega wątpliwości, iż w zestawieniu z tem, co malarstwo wogóle dać może, Malczewski osiąga niesłychanie dużo. Postaci, które on wprowadza do swych obrazów, bez względu na to, jak się je będzie w fabule kompozycyji wykladać, zioną potężnym życiem i wyrazem. Malowane są z tak realistyczną dosadnością, jak gdyby malarz miał je ciągle przed oczyma. Widać, że nietylko wierzy w nie, lecz także, że żyją one w jego wyobraźni, i że je wyczuwa tak silnie, jak się wyczuwa, na przykład, wyraz swojej twarzy, chociaż się na nią nie patrzy. Zwłaszcza twarze malowanych przez niego postaci są pod względem wyrazu skończonemi arcydziełami. Weźmy na przykład jedną głowę, która w różnych warunkach przesuwają się przez kilka obrazów Malczewskiego. Kto sobie przypomina w antycznej rzeźbie twarz Milona, jak schwytyany w potrzask, wściekłym okrzykiem bólu rozdziera powietrze, albo Laokoona z twarzą, okropnym wykrzywioną kurczem, bądź też Niobe, jak gdyby zlodowaciała od bólu, który zamarł na jej twarzy—wszystkie trzy rzeźby, uznane za arcydzieła wyrazu,—ten niech porówna je z tą twarzą z obrazu Malczewskiego, tak do tamtych niepodobną, a tak pokrewną im pod względem artystycznej ekspresyji, z twarzą, która równie cierpi, lecz zaciągną usta, by ból swój dla oczu innych ukryć. Finezyja rysunku przy którego pomocy Malczewski wydobywa tak subtelny wyraz, da się porównać z finezyją rysowania Buonarrottego, lub Matejki.

Portret własny artysty, obecnie wystawiony w Warszawie, jest właśnie dokumentem talentu autora w tym kierunku, jest doskonałym typem obrazu, komponowanego na wyraz.

Malczewski namalował się w zbroi hussarskiej, pochylonym nad kamiennem ocembrowaniem zbiornika z wodą. W lewej ręce trzyma kopiję hussarską, prawą dotyka krzyża złotego, zawieszzonego na piersiach na pancerzu. Twarz jego, wytworna twarz nerwowca o dużym, jasnym czole z wypukłemi żyłkami, o suchym nosie i skroniach, zwrócona wprost na widza, junackiem, śmiałem, ostrem spojrzeniem wyzywa. Wobec tego wyrazu widzowi doskonale tłómaczy się ta zbroja i pełny rysunek postaci „Un Chevalier sans peur et sans reproche“, twarz spokojna, śmiała i niewzruszona, zacięte usta i te oczy

przeszywające, z których prawie lekko zmrużone z wyrazem ironii i groźby.

Bez względu na to, że wiemy, czy to jest portret, że każdy uczeń akademii krakowskiej pozna w nim swego profesora, którego rynsztunkiem są pędzle i paleta, a szrankami pracownia, wrażenie bezpośrednie, silniejsze w tej chwili od danych aktualnych, zmusza nas do wierzenia w tę postać, jakby zbudzoną z uśpienia legendowego.

Konwencyonalny tużurek dzisiejszy był-by przytłumiał te cechy, tak jawnie i szczerze występujące w tem przebraniu, które nie ma w sobie nic z maskarady, lub balu kostiumowego, lecz działa dopełniająco, jako jeden ze środków wysoce artystycznych.

Ten portret, tak, jak jest, w tej samej pozie klęczącej, wyobrazić-by sobie można na wielu obrazach Matejki, jak naprzykład „Unija“, „Kazanie Skargi“ lub „Pobojowisko Wiedeńskie“ bez obawy zepsucia jednolitości typów, zgromadzonych na owych obrazach.

Jednak najbardziej wyrazista i wymowna przez indywidualność rysów twarz mówi o wiele jeszcze mniej, niżby o samem indywiduum powiedzieć się dało. Wie o tem każdy, kto próbował wydobyć z portretu obraz całego duchowego „ja“ danego osobnika, a zwłaszcza gdy tym osobnikiem jest sam siebie portretujący malarz. Z kompozycyi portretu Malczewskiego widać, że go takie pragnienie męczyło, szukał więc dopełnienia wyrazu i znalazł je, wprowadzając do kompozycyi dwie jeszcze postaci. Bez względu na to, czy dość jasno legitymują się one w fabule obrazu, każde z tych indywiduów ma swój odrębny, niesłychanie jasno w artystycznym znaczeniu określony, wyraz.

Jednem z nich jest właśnie ów człowiek z bólu zaciskający usta, drugi — to istota zagadkowa z cechami zewnętrznymi „Pana“, lub „Kozodoja“, z różkami na kędzierzawem czole, ze spleaszonym nosem i baraním spokojem na twarzy, dmąca grubemi wargami we fletnię. Te dwie postaci, to dwa bieguny uczuć, wśród których przebywa dżisz rycerza. Męka, cierpienie, pasowanie się z czemś, co nakłada kajdany na ręce, w przeciwstawieniu do tej bezwzględnej, absolutnej swobody, rozpiętej z konwenansu, swobody, której od życia domagają się zmysły. Mniej więcęć tak określić można wrażenie, które te postaci wywołują.

Lecz kto one są? Co znaczą, skąd się tu wzięły i jaki jest ich wzajemny stosunek? Niewątpliwie i takie pytanie zadać można i żądać od obrazu, a wreszcie choćby od kartki tytułowej, odpowiedzi ściślejszej. Lecz, czy koniecznie autor musi na nie odpowiedzieć, czy koniecznie ma być komentatorem swych uczuć, które równie dla niego, jak dla innych, mogą być czemś tajemniczem, usuwajacem się z pod

analizy rozumu? Sądzę, że nie. Czy wiemy, jaki sens ma słońce, krwawiące się nad lasami o zachodzie, albo cisza nocna, osiadająca na polach z blaskami księżyca? Czy odgadujemy znaczenie każdej istoty, każdego przedmiotu w naturze, czy rozumiemy na przykład duszę starego dębu, wyginającego w sposób tak szczególnie swe posiwiałe mchem konary? A jednak wszystko to porywa nas swem pięknem, wszystko to mówi dziwną swoją mową do naszej duszy. Otóż sztuka mówi do nas w ten sam sposób, tylko silniej i ściślej, ponieważ wyodrębnia z chaosu, jakim dla nas wydaje się świat, treść zjawisk, ludzkiej naturze dostępnych.

Patrząc na obrazy Malczewskiego, motywami sobie pokrewne, próbowałem nieraz odgadnąć, dla dokładniejszego poznania psychologicznej strony jego twórczości, czy obrazy owe, potrącające o jeden temat, są szeregiem prób, rozwijających w coraz doskonalszej i pełniejszej formie pewną ideę, to jest, mówiąc krócej, czy są one niejako nieustającą ewolucją plastycznego wyrazu dla pewnych uczuć, czy też zamknięte w sobie stanowią jak gdyby cykl, związany w szereg oderwanych momentów jednej akcji, wzajemnie się dopełniających.

Malczewski namalował na przykład kilka obrazów, które przedstawiają sławę. „Sława“ jego, wątła postać kobieca, z koroną słomianą, z kawałkiem lauru w rękach i bańką mydlaną, ukazuje się raz na rozłogu młodemu chłopcu w blaskach zorzy wieczornej, i chłopiec biegnie za nią, nie dostrzegając drugiej postaci poza sobą z olbrzymią kosą w ręku, na koniu skrzydlatym piórami papuziego blasku.

Na drugim obrazie też sama postać ze słomianą koroną, zawieszoną na sznurku przez plecy, ukazuje się w ubogiej pracowni młodego malarza, który ją widzi w całej jej biedocie i rzeczywistości. Na innym obrazie w postaci nieco odmiennej drażni kawałkiem gałązki laurowej człowieka, podsunąwszy mu kajdany, którym on wzdraga się poddać swe ręce.

Dalej znów inny motyw: Chimera, kobieta z olbrzymim tułowiem pantery od bioder, drapieźna, silna i ponętna, kusząca jakiegos mężczyznę, zdaje się malarza, podsuwająca mu lusterko, nakłaniająca do zdjęcia kajdan, uwodzicielka, drażniąca zmysły i dręcząca duszę, przepyszna w wyrazie, doskonale skomponowana pod względem logiki architektonicznej, jednym słowem, żywa istota, żywy potwór.

Nie chcę wyliczać obrazów Malczewskiego, ani opowiadać zewnętrznej ich treści. Obrazy trzeba koniecznie oglądać, by mieć o nich jakieś istotne pojęcie i doznać artystycznego wrażenia. Te wszystkie fauny, „pany“, „chimery“, boginki, wodnice, w opisie nie znaczą nic, żyją dopiero na obrazach, pisząc zaś o nich, o tem tylko

należy pamiętać, aby podkreślić niezwykłą inwencję i twórczość autora, która nie ma nic wspólnego z szablonem, ani pożyczaniem z gotowych wzorów. Jedną z największych zalet Malczewskiego jest ta, iż świat, spotykany na jego obrazach, jest jego wyłącznym światem, jego własnością, i że forma artystyczna, to jest środki malarskie, za pomocą których wyraża się twórczość artysty, są również, jego własną pracą i badaniem przyrody osiągniętą, zdobyczą. Malczewski—twórca zna wybornie siłę i środki Malczewskiego - malarza, i umie doskonale z nich korzystać. Dlatego też w obrazach jego niema ani tego błąkania się w próżni, ani naiwności przedrenesansowej, którą czasem grzeszyli nawet wielcy mistrze, ani tych rażących rozdzźwięków między tem, czego się chce, a co można. Malczewski nie sili się na efekty kolorystyczne, nie napina skali barwnej do ostatnich jej granic, natomiast umie doskonale opanować ton i harmonię barwną w małej skali, potęgując za to i wysuwając na plan pierwszy rysunek, w którym jest mistrzem.

W malarstwie, jak i w każdej sprawie ludzkiej, panują mody te, lub owe, które zainteresowanie i uwagę tłumu zwracają ku sobie. Nie wiem, czy twórczość Malczewskiego mieści się w obrębie panowania mody dzisiejszej chwili? raczej nie, niż tak,—bo pojęcia i wymagania dzisiejszego ogółu w stosunku do sztuki są dość barbarzyńskie; ale to pewna, że prędzej, czy później, moda taka nastąpi, a wówczas zaczną szukać w obrazach jego tego, co jest istotną ich wartością, co jest zresztą wspólną cechą wszystkich prawdziwych dzieł sztuki, a cecha ta nazywa się talentem, który silnym, żywym, wulkanicznym płomieniem bije z każdej twórczej duszy.

STEFAN POPOWSKI.

PIŚMIENNICTWO.

Piekosiński: „Wiece, sejmiki, sejmy i przywileje ziemskie w Polsce wieków średnich“, Kraków 1900.

We wstępnem słowie do swej pracy autor zaznacza, że pomiędzy instytucjami prawa publicznego polskiego niema chyba ważniejszej nad instytucje sejmów i sejmików. Ich-to przecie wadliwemu urzędzeniu przypisuje się powszechnie zgubę naszego kraju. A jeśli tak jest rzeczywiście, że historia ma być mistrzynią życia, coż naturalniejszego, że powinniśmy dołożyć wszelkich starań, aby kwestję parlamentaryzmu w dawnej Polsce jaknajgruntowniej zbadać i wyjaśnić! Jakoż w ostatnich kilku latach zjawily się dwie bardzo poważne, naukowe rozprawy w tym kierunku: Pawińskiego „Sejmiki ziemskie“ i d-ra Prochaski „Geneza i rozwój parlamentaryzmu za pierwszych Jagiellonów“. A jednak prace te, jak oświadcza pr. Piekosiński, nie zupełnie odpowiedziały swojemu zadaniu. Przyczyna leży w tem, iż autorowie nie zastosowali do prac swych tej metody, jaką

prace prawnicze, (a do takich należą obie rozprawy, jako dotyczące dziedziny prawa publicznego polskiego), przede wszystkim odznaczać się powinny, to jest ścisłości, jasności i żelaznej konsekwencji. Budując też dzieje parlamentaryzmu polskiego w wieku XV, nie należało lekceważyć sobie przywilejów ziemskich, lecz owszem należało poddać je jak najbardziej szczegółowej analizie. W nich bowiem leży klucz genezy i rozwoju parlamentaryzmu w Polsce Wieków Średnich.

Następnie, jeżeli chodzi o zbadanie genezy parlamentaryzmu w dawnej Polsce, nie można się jedynie ograniczyć do badań samego udziału rycerstwa, szlachty, w rządzie, lecz trzeba równocześnie badać także i udział w rządzie stanu senatorskiego. Senat przecież to nie najnikczemniejsza część narodu naszego, to chyba jego część najcelniejsza; to też nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, że branie udziału czynnego w rządzie przez senat było tym przykładem, który rycerstwu w jego usiłowaniach przyświecał, do którego ono dążyło, i że gdyby senat nie był wskazał tej drogi, możeby i szlachta na tę drogę nie była wstąpiła. Formą, w jakiej senatorowie brali udział w czynnościach rządowych, były obrady wiecowe. Wiece to instytucja prastara. Znane są tylko z nazwiska wiece ludowe, która sięgają niemal kolebki naszego prabytu społecznego. Natomiast o kilka wieków później od owych prastarych wieców, mianowicie już w dobie piastowskiej zjawia się inny rodzaj wieców, które w biegu czasów różnym ulegają przekształceniom, aby ostatecznie w formie sejmów i sejmików odegrać najdonioślejszą rolę w naszym państwowym ustroju. Te wiece nie sięgają wstecz nad połowę XII w., a źródłem ich są rozporządzenia testamentowe Bolesława Krzywoustego.

Stosunek wzajemny seniora i książąt dzielnicowych do siebie i postanowienie prawa zwyczajowego polskiego, dotyczące własności majątku nieruchomego, były powodem powstania wieców książęcych. Ile razy który z książąt dzielnicowych zamierzał przedsięwziąć jakiś akt ważniejszy, musiał się z tem odnieść do seniora z prośbą o pozwolenie. I również ile razy nie tylko który z książąt dzielnicowych, ale nawet i sam senior zamierzył przedsięwziąć jakiś akt, który dotyczył majątku nieruchomego, jak np. założenie jakiegoś klasztoru i uposażenia onegoż dobrami ziemskimi, tylekroć musiał starać się o zezwolenie reszty członków rodu. Rozpoczęły się więc zjazdy książąt; od samego ich początku, nietylko książęta sami, ale i ich najwyżsi dostojnicy udział w nich brali, jednak udział tych dostojników ograniczał się zrazu do udzielania jedynie rady swemu księciu, zaś w postanowieniach wiecowych oni żadnego udziału nie brali i posta-

nowienia te spoczywały jedynie w rękę książąt. Wiece te, wicani książęcemi zwie Piekosiński.

Pierwszy taki wiec musiał się odbyć zaraz po śmierci Bolesława Krzywoustego, a to w celu szczegółowego oznaczenia granic pojedynczych dzielnic. Szereg wieców książęcych, jakie się odbyły następnie w ciągu XII i XIII wieku, przytoczył prof. Piekosiński w innej pracy p. t. „Uwagi nad ustawodawstwem wiślicko-piotrkowskiem króla Kazimierza Wielkiego“. Postanowienia synodu łączyckiego, jakkolwiek noszą charakter więcej kościelny, tak wszelako głęboko wkraczają w prawo ziemskie zwyczajowe polskie, iż bez wyraźnego zezwolenia książąt nigdy-by w życie wejść nie mogły. Jeśli zaś weszły w życie, nawet bullą papieską zatwierdzone zostały, tedy albo książęta musieli być na tym synodzie obecnymi i do postanowień tam powziętych się przyczynili, albo też w roku 1180 bezpośrednio po synodzie odbył się osobny wiec książęcy, na którym postanowienia synodu łączyckiego zatwierdzone zostały. Ze śmiercią Kazimierza pogrobowca należy uważać seniorat za zgasły, a więc i epokę tych wieców książęcych, które miały w senioracie swe źródło, za skończoną; odtąd otwiera się dla wieców nowa doba. Jakkolwiek bowiem jedno źródło wieców—seniorat—wyschło, pozostało drugie: mianowicie owo prawo zwyczajowe, które ograniczało posiadacza nieruchomości w swobodnem rozporządzaniu swą nieruchomością ze szkodą rodu.

Do wszystkich więc alienacyi lub obciążeń majątku nieruchomego musieli książęta dzielnicowi zasięgać wzajemnie zezwolenia i w tym celu odbywać zjazdy czyli wiece, których-to wieców cechą charakterystyczną jest to, że dostojnicy i urzędnicy ziemscy uczestniczą w nich i to już nietylko w charakterze jedynie doradców swoich książąt, ale wprost w charakterze współbradujących i współdecydujących; czyli, że ci dostojnicy zaczynają brać czynny udział w rządzie, i że tu szukać należy początku obrad stanu senatorskiego. Na samym wstępie sejmowej doby wieców, które autor zwie senatorskimi, odbył się wielkiej doniosłości zjazd borzykowski, w r. 1210. Zjazd ten zwany jest w przywilejach tylko synodem; obecność na nim nie tylko książąt, ale i znakomitych wielmożów, dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że to nietylko z synodem, ale także z wiecem książęczo-senatorskim mamy do czynienia. Ta faza wieców senatorskich trwa mniej więcej do początku XIV wieku, mianowicie do czasu, kiedy Władysław Łokietek zdołał zjednoczyć przeważną część dzielnic dawnej Polski w swoich rękę i na tej zasadzie wznowił w r. 1320 godność króla polskiego we własnej osobie.

Od chwili koronowania się Władysława Łokietka na króla, aż do śmierci Kazimierza Wielkiego, wszystkie prawie wiece senatorskie są

wiecami ustawodawczemi, prócz trzech, mianowicie: Chęcińskiego z r. 1330, Wiślickiego 1332, oraz Sulejowskiego z 1350, co do których nie dało się dotąd wysledzić, iżby się jakimis̄ pracami ustawodawczemi zajmować miały. Wskutek uchwalenia na wiecu krakowskim, w roku 1361 odbytym, ustawy dotyczącej urz̄adzenia wiecowych sądów, zjawiają się od r. 1362 nader często, bo trzy razy do roku odbywające się, wiece sądowe, które jednak noszą na sobie całkowicie cechy instytucyi czysto sądowych i z wiecami senatorskimi, przynajmniej w pierwszej chwili pojawienia się swego, w żadnym zgoła nie zostają związku. Śmierć bezpotomna Kazimierza Wielkiego zmieniła tron królewski w Polsce z dziedzicznego na elekcyjny. A ponieważ na króla wolno obranego nie przechodziły zobowiązania, ciążące na jego poprzedniku wobec stanów królestwa, przeto każdy nowo obrany król musiał te obowiązki wyraźnie przyjmować na siebie, czyli wystawiać stanowi tak zwane przywileje ziemskie. Za czem poszło także i to, że dla wyboru nowego króla potrzeba było zwoływać zjazd wszystkich stanów, przyczem określono bliżej obowiązki króla a prawa stanów, i tak dawniejsze wiece senatorskie przedzierzgnęły się z czasem w sejniki ziemskie i sejmy walne.

Co się tycze przywilejów ziemskich, to jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że przywilej Koszycki z 1384 r. jest jednym z najdawniejszych, typowych, przywilejów ziemskich, to jednak i w czasach o wiele wcześniejszych od przywileju Koszyckiego znajdujemy takie akta, które ostatecznie można także poniekąd uważać za przywileje ziemskie. Takim aktem jest przywilej księcia Władysława Łaskonogiego, wydany na wiecu w Cieni w 1228, a obejmujący dwa przywileje: jeden dla ziem objętych w opiekę, czyli dla Małopolski, a drugi dla duchowieństwa dyecezyi krakowskiej. W przywilejach tych książę przyrzeka utrzymać prawa słuszne i przyzwoite w swej mocy wedle rady biskupa i dostojników, a gdyby kto takowe naruszył, ulegnie karze. Nie ulega wątpliwości, że te przywileje Cieńskie noszą na sobie cechę przywilejów ziemskich, a zastrzeżenie, że książę rządzić będzie okrom uciążliwości i niezwykłych danin, mieściło już w sobie zabronienie nakładania jakichkolwiek danin czyli podatków, co następnie w przywilejach Łutomyskim z 1291, Wyszehradzkim z 1339 już wprost wyraźnie powtórzonem i zastrzeżonem zostało. Przywilej w Łutomysłu w r. 1291 wydany zawiera następujące postanowienia: że dostojności i urzędy nadawane będą za radą biskupa krakowskiego oraz starszych dostojników tychże ziem; król żadnych nowych i niezależnych danin nakładać nie będzie, a szlachta i rycerstwo, jako też osoby duchowne i świeckie, w domach swych, imionach, bezpieczni pozostawać mają. Przywilej Wyszehradzki z r. 1339 oprócz

tę warunkuje, iż żadnego cudzoziemca, okrom Polaka, król starostą nie zamianuje.

Król Ludwik począł się starać u stanów królestwa, by, z powodu braku męskiego potomstwa, jednej z córek jego następstwo na tron zapewniły. Stany Królestwa Polskiego nie okazały się przeciwne życzeniu królewskiemu, stawiały tylko ze swej strony pewne życzenia, co do których, gdy zgoda zobopólna nastąpiła, król wydał w Koszycach w r. 1374 nowy przywilej ziemski, zawierający pomiędzy innymi postanowienie, iż wszyscy ziemianie Królestwa Polskiego wolni być mają od wszelkich zgoła danin i posług publicznych, które z każdego łanu osiadłego corocznie na Św. Marcin po 2 grosze w uznaniu zwierzchności królewskiej uiszczają się obowiązani. Prócz tego król przyrzeka dostojnikom, wielmożów i szlachtę, miasta oraz ich ludzi i kmieci zachować przy ich swobodach i ani ich uciażać, ani na ich uciążenie zezwalać.

Na wiecach senatorskich bywała także i szlachta pospolita (nobiles), ale jej udział był czysto bierny i grała ona rolę prostych spektatorów, i do obrad nie mieszała się wcale. Taki bierny udział szlachty w wiecach senatorskich, czy to dzielnicowych, czy powszechnych, nie zmieniał zupełnie charakteru tychże wieców, i nie wytwarzał z nich ani sejmików ziemskich, ani sejmów walnych. Autor zastanowił się dłużej nad owymi słynnymi sejmikami ziemskimi z roku 1404, odbytymi w celu uchwalenia poboru na wykupno Ziemi Dobrzyńskiej, oraz sejm walnego Korczyńskiego, rzekomo w tymże roku i w tymże samym celu odbytego, który to sejm i sejmiki niektórzy uczeni nasi za początek parlamentaryzmu polskiego uważają. Opowieść Długoszowa o owych sejmach i sejmikach budzi jednak w prof. Piekosińskim poważne wątpliwości. Na sejm Korczyński zjeżdżały się bowiem też same stany, co i na sejmiki ziemskie, tylko że na sejm walny zjeżdżało się stosunkowo osób daleko mniej. Następnie sejmiki, zjawiając się jako ogół szlachty, nie są jeszcze ograniczone do wybierania tylko posłów na sejm walny, uchwalania dla nich instrukcyi, ale powołane są do uchwalania tych wszystkich postanowień, które później do atrybutów sejmów walnych należą. W tej więc epoce władza sejmików nie jest szczuplejszą od władzy sejmów walnych, lecz jest tak samo pełna, a sejmy nie są władzą wyższą od sejmików.

Sejm walny tylko w takim razie i tylko o tyle był potrzebny, o ile uchwały pojedynczych sejmików ziemskich nie były z sobą zgodne, lub były nawet wprost sprzeczne, wtedy potrzebny był rzeczywście sejm walny, czyli odwołanie się jeszcze raz do tegoż samego ogółu szlachty, aby te sprzeczności uchylić, a niezgodności wyrównać. Ale od roku 1404 żadna ziemia nie zaprotestowała przeciw wyższemu

poborowi na wykupno Ziemi Dobrzyńskiej. Bez koniecznej zaś i gwałtownej potrzeby sejmów walnych wówczas nie zwoływano wcale. Na sejm walny bowiem nie przybywali tak, jak później, tylko posłowie ziemscy, która to instytucja podówczas jeszcze znaną nie była, ale przybywał każdy szlachcic osobiście. Taki sejm walny przeto był rodzajem pospolitego ruszenia, a więc wielką awanturą, z którą lekko myślnie obchodzić się nie można było. Zresztą, w roku 1404 sejm walny jeszcze nie był wcale rzeczą dobrze znaną. Wobec tego więc należy przypuścić, że w roku 1404 sejm walny nie odbył się wcale.

W roku 1413 odbył się ów sławny zjazd Polaków z Litwinami w Horodle, któremu nie wiadomo jaki charakter przypisać należy, a mianowicie, czy to był tylko wiec senatorski powszechny międzynarodowy, czy też sejm walny. Ponieważ obecność pospolitej szlachty nie jest nawet ogólnikowo zaznaczona, więc zjazdu horodelskiego nie można uważać za sejm walny, ale tylko za powszechny wiec senatorski międzynarodowy. W roku 1419, w obozie pod Czerwińskiem, odbył się jakiś zjazd, na którym uchwalono przymierze z królem duńskim, Erykiem. Charakter tego zjazdu jest trudny do oznaczenia. W dokumencie, wystawionym na tym zjeździe przez Władysława Jagiełłę i Witolda, powiedziano: „nos principes, prelati, barones, nobiles, milites et militarii“, były-by tu zatem wszystkie stany reprezentowane, a więc był-by to sejm walny. Tymczasem ani podobna przypuszczać, iżby król sejm walny zwołał pod Czerwińsk, raczej przypuścić należy, iż rycerstwo-szlachta znalazła się tam tylko przypadkowo, ciągnąc z wyprawą wojenną, a że w rzeczywistości był to tylko wiec senatorski powszechny.

W roku 1420 odbyło się w Sieradzu „colloquium generale“, na którym domini (dostojnicy) uchwalili statut, z dwóch artykułów złożony. Przez „colloquium generale“ rozumie się pospolicie wiec sądowy, który, gdy ma władzę uchylać postanowienia ogólnie obowiązujące, może uchodzić za wiec ustawodawczy. W roku 1421 odbył się wiec senatorski przy współdziale szlachty (terrigenae), a współdział szlachty pospolitej przemieniał już wiec senatorski w sejm walny. W tymże samym roku odbył się wiec senatorski w Niepołomicach, na którym znajdowali się nie tylko „nobiles“, ale „cives“ i „vulgus regni“. W roku 1430 odbył się w Jedlni zjazd powszechny, zwany: „generale parlamentum seu conventio“, tedy, zdaniem autora, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że tu mamy z sejmem walnym do czynienia. W roku 1435 odbył się w Brześciu albo wiec senatorski powszechny, albo sejm walny, przy współdziale nie tylko dostojników duchownych i świeckich, ale także i szlachty pospolitej, a nawet znakomitszych mieszczan, którzy wszelako występują jako „proceres“, a nie

„nuntii civitatum“. W roku 1448 odbył się sejmik w Łęczycy. Na nim zdarzył się pierwszy wypadek, że ogół szlachecki, zamiast brać udział osobisty w obradach, daje się zastępować przez wybranych z łona swego zastępców, i nadaje im pełną moc postępowania. Stąd do posłów ziemskich tylko krok jeden.

Na zjazdach Cerekwicko - Nieszawskich z roku 1464 uchwalono postanowienia niezmiernie ważne w dziejach rozwoju parlamentaryzmu polskiego, które wskazuje, jak rozumieć należy owe liczne zjazdy i wiece z przed roku 1454. Owóż na tych wszystkich wcześniejszych zjazdach, szlachta gra przeważnie rolę spektatorów, i tylko wypadkowo i z grzeczności przez wiecujących senatorów do współudziału w obradach dopuszczaną bywała. Ów współudział odnosił się tylko do mówienia i radzenia (*loquendi et consulendi*), ale nie do głosowania i uchwalania, które należały wyłącznie do atrybucyi senatorów. Od roku zaś 1454 szlachta popolicita uzyskuje prawo głosowania i uchwalania na zjazdach. W myśl postanowień cerekwicko - nieszawskich, pobór bez współudziału popółstwa szlacheckiego uchwalonym być nie mógł, przeto jednocześnie zwołano sejmiki ziemskie we wszystkich ziemiach, i ponowny zjazd powszechny do Piotrkowa naznaczono. Był-by to więc pierwszy wypadek, że po odbytych sejmikach ziemskich następuje zjazd powszechny, czyli sejm walny, który już sejmiki uchwalily.

Idea zwoływania sejmu walnego po odbytych sejmikach ziemskich, zdaniem prof. Piekosińskiego, dopiero wtedy powstała, skoro zaszedł ten wypadek, że uchwały pojedynczych ziem nie były równobrzmiące. Ogół szlachecki brał zrazu taki sam udział w sejmach walnych, co i na sejmikach, to jest, że każdy szlachcic przybywał na sejm walny osobiście. Zwyczaj ten był tak uciążliwym dla uboższej szlachty, że równał się niemal pospolitemu ruszeniu. Musiano też wcześniej przemyśliwać nad łatwiejszym i dogodniejszym sposobem obradowania. Dopiero w roku 1496 odbył się w Piotrkowie sejm walny przy współudziale wszystkich dostojników duchownych i świeckich, ziemian oraz posłów ziemskich. Po raz też pierwszy w akcie urzędowym wzmiankowany jest wyraźnie współudział na sejmie posłów ziemskich (*terrarum nuntii*). W roku 1503 odbył się znowu sejm walny w Piotrkowie, na którym się znajdowali posłowie „*universum corpus regni representantes*“, a to samo powtórzyło się w roku 1504 również na sejmie walnym w Piotrkowie. Wskutek przywilejów cerekwickich, punkt ciężkości polityki wewnętrznej przesunął się z wieców senatorskich powszechnych na sejmiki ziemskie i sejmy walne, wiece jednak senatorskie utrzymują się bezustannie w swej mocy i sile. Na

nich uchwalane bywają naprzód te postanowienia, które następnie mają być sejmikom ziemskim do uchwały przedstawione, one naznaczają terminą i zwołują sejmyki ziemskie i sejmy walne.

Praca prof. Piekosińskiego oddała historii prawa państwowego polskiego ważną przysługę, zapełniła bowiem lukę, jakiej dotychczas żadne inne dzieło nie starało się usunąć. Autor z całą sumiennością i drobiazgowością przedstawił nam wszystkie zjazdy, poczynawszy od Piastowskich zebrań urzędniczych, aż do pierwszych sejmów walnych, na których się pojawiają ziemscy posłowie. Wszelkie stadya rozwoju uwydatnione zostały z należytą precyzją, i z pracy prof. Piekosińskiego przekonywamy się, jak powoli, choć nieustannie, rozwijał się w Polsce system reprezentacji stanowej, aż nareszcie w końcu XV wieku ustrój konstytucyjny Polski stanął już trwale w głównych zarysach. Praca prof. Piekosińskiego odznacza się gruntownością studyów, jasnością przedstawienia i głębokością sądu. Niewątpliwie też dla historii prawa państwowego polskiego jest cennym i trwałym nabytkiem, za który się autorowi rzetelne uznanie należy.

A. R.

Leo Belmont: „Rymy i rytmy“. Wybór poezyi. Trzy tomy. Wasszawa, 1900.

Poezya współczesna przyzwyczaiła nas do drobnych, wytworzonych wydawnictw, do tomików, obejmujących kilkadziesiąt utworów, wyszlifowanych po jubilersku, wyszukanych pod względem formy, gładkich i dźwięcznych.

Trzy tomy poezyi p. Belmonta liczą z górą 1,000 stronice, i już swojemi rozmiarami odbijają od powszechnego dzisiaj typu książek z wierszami. Autor staje przed nami z dorobkiem, ilościowo bardzo poważnym. Na dorobek ten złożyły się utwory oryginalne i tłómaczone, pisane w latach 1882—1899. Jako ściowo — jest to mozaika pstra, złożona z utworów bardzo odmiennego braku wartości, jak to określa sam autor w szczerze napisanej przedmowie.

Poezyi prawdziwej nie znajdujemy tu prawie wcale. Ani jedno jej technienie porywające nie ogarnęło muzy p. Belmonta, ani jeden promień jej ciepły nie rozgrzał wyobraźni pisarza, czy wówczas, kiedy miał dopiero lat osiemnaście, czy w okresie zupełnej już dojrzałości męskiej. Dobra wróżka nie schyliła się nad kołyską p. Belmonta w dzieciństwie, nie prowadziła go w okresie młodości, nie nauczyła go poetycznie na świat patrzeć, nie otworzyła przed nim szesamu Pieśni. P. Belmont urodził się z duszą niewątpliwie wrażliwą, ale nie urodził się z duszą twórczą. Wrażliwość jego rozwinęła się następnie jednostronnie, w kierunku przeważnie muzycznym, wskutek czego pojął on wcześniej i uchwycił tajemnicę rytmu, ale skrzydeł rozwinąć nie mógł, bo ich nie miał. Dlatego pisał tylko wiersze i nie przekroczył granicy, która dzieli wiersz od poezyi, formę od treści, wyraz od obrazu.

Poważny podkład myślowy i pewne filozoficzne stanowisko, jakie zajmuje p. Belmont w stosunku do otaczającego go świata i jego zjawisk, nie mogły zastąpić polotu i siły twórczej, bo poezya nie może tylko do mózgu przemawiać, ale ma przed sobą jeszcze sferę całą uczuć i odczuć, które stoją poza obrębem ścisłego rozumowania. Logiczne sprzężenie wyrazów nigdy nie zdoła w niej współzawodniczyć z tem, co jest barwą i dźwiękiem, a co się samo przez się prawdziwemu talentowi poetyckiemu nastęrcza przy wyrażeniu każdej myśli. Myśl, wyrażona bez pomocy tych środków, może posiadać ogromną wartość, ale nie będzie nigdy myślą poetyczną.

U p. Belmonta niema właśnie tych myśli poetycznych, i stąd wiersze jego są suche. Długi szereg lat pracy pisarskiej dał autorowi wprawę, wyrobił mu formę, uczynił swobodnym i naturalnym, nie wprowadził go jednak na drogi, po których idąc, tworzy się rzeczy nieprzemijające, i dlatego cała praca lat siedemnastu to tylko bilon, niezawierający ani jednej sztuki z czystego srebra.

Wśród bilonu tego najniekorzystniej wyróżniają się utwory lat młodzieńczych.

Lubo autor część ich znaczną pozostawił w tece i, jak zaznacza, jedynie to do zbioru włączył, co uznał za konieczne do uzupełnienia duchowej fizyognomii swojej; lubo chodziło mu tylko o to, ażeby jego spowiedź poetycka była, o ile możliwości, szczerą i zupełną; to jednak ani fizyognomia duchowa poety, ani szczerłość spowiedzi tej nie byłyby ucierpiały wcale na większem zastosowaniu samokrytyki, utwory bowiem, o których mowa, są przeważnie bardzo słabe, i to nietylko pod względem formy i treści, ale i pod względem języka, który w nich chroma, łamie się i obfituje w zwroty cudzoziemskie.

Nieco lepiej przedstawiają się poezye późniejsze. W większości z nich panuje humor i satyra, a niektóre, gdyby autor potrafił był dać

im formę poetyczniejszą, zyskały-by nawet powodzenie, p. Belmont ma bowiem chwilami zacięcia Heinowskie i zdobywa się na sarkazm i ironię gryzącą. Dowcip i werwa tryskają także między innymi z „Dopisków na marginesach Don-Juana“. Wszędzie jednak brak piętna s z t u k i.

Do rzeczy najlepszych w dwutowowym zbiorze utworów oryginalnych Belmonta należą heksametry i opracowane wierszem „Opowiadanie Muszalskiego“, ustęp z powieści Sienkiewicza: „Pan Wołodyjowski“.

Wprawdzie w heksametrach tych autor za bardzo trzyma się zasady, jaką wygłosił w 27 dystychu:

Szał heksametrów mnie porwał: *co tylko ujrzę, usłyszę,*
Siekam na szczę kawalków — i wnet heksametr gotowy,

ale pomiędzy temi ujrzanemi i usłyszanemi rzeczami jest przecież niejedna myśl świeża i łatwo dająca się spamiętać, na przykład:

Nie wiem, w jakim języku przemawiał do Ewy kusiciel,
 Lecz odgaduję, że wąż ów z pewnością wierszami przemawiał!

Jest to niewątpliwie bardzo zgrabne.

Na wyróżnienie zasługuje także heksametrem pisany utwór pod tytułem: „Emigracya“, w którego końcowych ustępach dźwięczy nawet prawdziwa poezya.

Oto fala wychodźcza wzbiera. Lud, znęcony opowiadaniem o bajecznych skarbach brazylijskich, ciągnie za ocean:

Z drogi mu rzędy brzoź ustępują niechętnie; niejedna
 Zwiesza płaczący włos i żalobnym go szmerem ostrzega,
 Chłop nie słyszy tych wróżb...

Fala odpłynęła:

Dzisiaj, gdy cicha noc na tej ziemi launach się kładnie,
 Naraz zrywa się wiatr, nadlatując z za mórz oddalonych,

Ludzki przedrzeźnia jęk i chichocze złośliwie w ciemności,
 Śpiewa tryumfu pieśń o skieletach co w lasach dziewiczych,
 Błędną, szukają dróg, do ojczystych stęsknione ementarzy...

.

Lasko Mejsza! Trąć Atlantyku wzburzone odmgęty,
 Postaw ściany z tych wód, a obaczysz, jak szlakiem piaseczystym
 Nędzny przeciągnie lud, podążając do matki swej — ziemi...

Tu autor nie pomija już uczuć czytelnika, umie uderzyć w duszę i wywołać odpowiedny nastrój.

Jako tłumacz, nie położył p. Belmont zasług większych. Tom III jego poezji obejmuje przekłady z języków: francuskiego, niemieckiego, angielskiego, czeskiego, małopolskiego, greckiego (Anakreont i Safo), łacińskiego i rosyjskiego. Przekłady te, o ile bez porównywania ich z oryginałami wnosić można, są wierne, ale nie stoją na wysokości sztuki, tłumacz mimowolnie zatarł w nich blask poezji, oddając je swoim stylem i swoim językiem niepoetycznym. Wybór przytem dokonany został niezawsze trafnie, wiele bowiem z tłumaczonych utworów nie zasługiwało na przekład, a w każdym razie na przekład drukowany. Najlepiej powiodło się p. Belmontowi z Heinem, którego rozumie (Wieli - Pucli) i miłuje snąc głęboko, oraz z Puszkinem, zwłaszcza w wyjątku z pieśni I Eugeniusza Oniegina.

Z. D.

Mieczysław Głiński: „Poezye“. Warszawa, nakład Dubowskiego, 1901.

Pierwszy to, jak się zdaje, tomik poezji młodego autora, znanego poprzednio z ulotnych poezji, drukowanych po pismach peryodycznych.

W zbioru p. Głińskiego niema sztucznej pozy na modernizm, niema udawania czegoś, lub kogoś, kim się nie jest, niema nadewszyst-

ko tego ciągłego zajmowania czytelnika swoim własnym „ja“, swoim bólem, swoim erotyzmem, swoim wyłącznie sercem.

Jest natomiast wiele zapалу do rzeczy ogólnoludzkich, głębokiego uczucia, szczerego pojmowania natury, jest ogień poetycki i serce gorące. Autor widocznie ukochał naszych mistrzów i tak się zżył z nimi, że czasem bezwiednie, a może niekiedy świadomie, formę ich naśladowuje. W „Poszukiwaniu“ na przykład znać wpływ Krasińskiego, a trzy fragmenty: „Wiara“, „Nadzieja“ i „Miłość“ przypominają trochę „Sonety Krymskie“. Są to wszakże tylko dowody, że poeta na najlepszych kształcił się wzorach.

Takie utwory, jak: „Bodaj-to“, „Żeglarze“, „Może“, „Fragment“, są szczerze poetyczne. Drobne zaś usterki nie odbierają czytelnikowi nadziei, że, wzbogaciwszy skarbnicę wrażeń i myśli, młody autor szerzej skrzydła do lotu rozwinie.

M. W.

Kronika miesięczna.

Jest w dniu Zadusznym, poświęconym pamięci umarłych, nastrój smutny, wywołany przypomnieniem osób bliskich i drogich, które odeszły od nas bezpowrotnie, jest mimowolny zwrot myśli ku ostatecznemu kresowi własnego życia, ku chwili, która i przed nami otworzy Wieczność i Nieskończoność.

Nastrój to niewątpliwie poważny, przenikający najgłębsze warstwy duszy ludzkiej, najściślej z każdym „ja“ zespolony.

Wewnętrzna jego powaga powinna jednak i zewnętrznie odpowiedny znajdować wyraz.

Niestety, dzieje się inaczej. Tłum, odwiedzający cmentarz, powagę zostawia jakoby u wrót jego, tłoczy się i ciśnie, gwarem wypełniając cichy przybytek śmierci. To niemile wrażenie odnosimy zawsze ilekroć odwiedzamy Powązki w dzień Zaduszny.

Powodem tego, po części, jest może zbyt efektowne zdobienie i illuminowanie grobów, które pociąga wielu wprost jako widowisko.

Potrzeby serca i duszy ustępują wtedy miejsca ciekawości, a wycieczka na cmentarz staje się rozrywką.

Trudno jest powstawać przeciwko zdobieniu grobów wogóle, bo stanowi to żywą niejako potrzebę uczucia, ale radzi-byśmy zwrócić uwagę na konieczność zachowania w tem pewnej miary. Zasadniczą rzeczą w uczczeniu zmarłych w dzień, przeznaczony na to, jest pamięć o nich i modlitwa. Dekoracya jest tu dodatkiem, a rozrzutność w tym kierunku i wysilanie się na jaskrawe efekty—nierozumieniem zasad religii, która zawsze i we wszystkim kładzie nacisk na prostotę.

Mniej kwiatów świeżych i mniej świateł nie uszczuplą zmarłym miłosierdzia Bożego, które jest bez miary — może to natomiast wpłynąć na utrzymanie powagi dnia na cmentarzu i przysporzyć funduszków nie jednej instytucyi dobroczynnej, kto bowiem ma zamiar dużo w dniu tym wydać, tam powinien rękę ofiarną zwrócić.

Zamiast kwiatów, można-by na przykład doskonale składać na mogiłach w dzień Zaduszny wieńce z karteczek papierowych, nabywanych na ten cel po groszu, lub jeszcze taniej, w Towarzystwie Dobroczynności. Zyskały-by na tem sieroty, których rodzice spoczywają obok naszych drogich i blizkich.

Niebawem Warszawa otrzyma dwa gmachy nowe, przeznaczone dla szkół elementarnych. Jeden z nich stanie przy ulicy Przyokopowej, drugi — na Pradze, przy ulicy Petersburskiej.

Ktokolwiek zwiedzał za granicą architektonicznie nieraz bardzo piękne, a zawsze przestronne, widne i dobrze wentylowane szkoły początkowe, kto widział wysypującą się z nich dziatwę wesolą, rozśpiewaną, o twarzach jasnych i rumianych, a w jakiś czas potem zajrzał przypadkiem do której z warszawskich szkół elementarnych, mieszczącej się w brudnej oficynie brudnego domu o ciemnem podwórku, o klasach ciemnych i dusznych, w których przebywa ilość dzieci — prawie, że ponad normę powierzchni—dzieci wybladłych, poźółkłych, z wątlą i zapadłą klatką piersiową—temu, niewątpliwie, serce musiało się ścisnąć na myśl o różnicy, jaka panuje w urządzeniu szkół gdzieindziej, a u nas.

Długo tymczasem, bardzo długo, na sprawę tę wielkiej doniosłości społecznej nie zwracano uwagi.

W ostatnich dopiero czasach powstał projekt zarzucenia wynajmu lokalów na szkoły, a budowania natomiast gmachów specjalnych, tem bardziej, że obliczenia ściślejsze wykazały, że koszta, jakie miasto nasze łoży na szkolnictwo, nie zwiększą się przez to, przeciwnie, można będzie nawet pewne osiągnąć na tem korzyści.

Do obradowania nad tym projektem wyznaczona została specjalna kommissya, która czynna była w okresie od dnia 16 marca do 26 lipca roku bieżącego. Zaraz na pierwszych jej posiedzeniach wyłonily się wnioski, zmierzające ku pomyślnemu załatwieniu sprawy, a ujęte później w sześć następujących postulatów:

a) Pierwszy z postulatów tych żąda obrania jednego typu gmachów szkolnych, odpowiednio do wewnętrznego ich rozkładu, bez skrępowania wszakże budowniczych w szczegółach, zależnych od warunków i kształtu placu, i co do strony zewnętrznej, zmiany architektoniczne (stylowe) mogą i powinny być również uwzględnione. Gmachy powinny się atoli składać bezwarunkowo z dwóch oddzielnych części: jednej dla dziewcząt, drugiej — dla chłopców.

b) Co do wysokości gmachów szkolnych, to kommissya orzekła, iż mogą być dopuszczane i budowle trzypiętrowe, pod warunkiem jednak, ażeby piętro najwyższe przeznaczać na lokale, w których uczniowie przebywają rzadziej, oraz, częściowo, na pomieszczenie personelu szkolnego.

c) Za normę dla uczniów w klasie uznano liczbę 50, m a x i m u m 60, i w tych granicach określono rozmiary klas, przyjmując za zasadę, że przestrzeń sześcienna wynosić ma na jednego wychowanka cztery metry, powierzchnia zaś najmniej jeden metr kwadratowy.

d) Ogrzewanie i wentylacja mają być centralne, według najnowszych, ulepszonych systemów.

e) W gmachach, oprócz klas, kancelaryi, urzędzeń dla wentylacji i ogrzewania i t. d., znajdować się mają: biblioteka, pomieszczenie na s l o j d, dwa lokale mieszkalne: jeden dla nauczyciela, kierującego szkołą męską, drugi dla nauczycielki, nadzoreczyni oddziału dziewczęcego, pokój stołowy dla uczniów, pokój dla rządcy gmachu, mieszkanie dla służby niższej, pralnie, natryski, kłozety i pisuary, te ostatnie na każdym piętrze.

f) Sala gimnastyczna znajdować się powinna oddzielnie od gmachu głównego, lub też połączona ma być z nim za pomocą kurytarza. Sala ta służyć ma jednocześnie jako pomieszczenie dla szkół niedzielno - handlowych.

Odpowiednio do tych postulatów, budowniczy, p. Nieniewski, wypracował szereg szkiców, które kolejno rozpatrywano na posiedzeniach dalszych, starając się określić bliżej typ szkoły. Typ, przyjęty ostatecznie i uznany za najlepszy, przedstawia się, jak następuje: postać gmachu zbliżona jest do kształtu litery D, której środek na kondygnacji parteru pierwszego i drugiego piętra zajmuje występ, przeznaczony na pomieszczenie wielkiej, połączonej z gmachem, sali gimnastycznej.

W suterrenach mieszczą się: lokale dla służby, natryski, kuchnie, składy, pralnia, spiżarnia i t. d.

Na parterze: kancelarya, wspólna dla obu szkół, męskiej i żeńskiej, pokój dla nauczycieli i drugi dla nauczycielek, szatnie, cztery klasy dla chłopców i cztery dla dziewcząt.

Pierwsze i drugie piętra urządzone są tak samo, z tą różnicą, że niema tam kancelaryi, liczba klas natomiast jest większa: po sześć męskich i cztery żeńskie.

Trzecie piętro wreszcie zawierać ma dwie klasy dla dziewcząt i tyleż dla chłopców, cztery sale na slōjd i rysunki, bibliotekę, muzeum, osiem pokojów mieszkalnych, dwie uczelnie i szatnię.

Na wszystkich piętrach znajdują się kurytarze, prowadzące przez całą długość gmachu.

Oświetlenie szkół ma być elektryczne, światło zaś dzienne wprowadzane będzie do sal obficie, stosunek bowiem świetlnej powierzchni okien do powierzchni podłogi przedstawia się jak 1 : 3.

Urządzenia wodociągowe będą na wszystkich piętrach.

Według tak określonego typu stanie gmach szkolny przy ulicy Przyokopowej; projekt gmachu przy ulicy Petersburskiej na Pradze zmieniono o tyle, iż gmach ten będzie mniejszy, co, zdaje nam się, lepiej odpowie wymaganiom zdrowotności i bezpieczeństwa.

Projekt gmachu przy ulicy Przyokopowej zakrojono bardzo szeroko. Z podanego powyżej rozkładu widać, że na parterze, pierwszym i drugim piętrze, znajdzie pomieszczenie 28 klas (8+10+10), że zaś normalna liczba tak uczniów, jak uczennic, w klasie wynosić ma 50, przeto w jednym budynku zbierze się codziennie $28 \times 50 = 1400$ dzieci, co stanowczo jest zbyt wielką ilością, utrudniającą dozór i opiekę w przerwach pomiędzy lekcjami.

O ile znamy budynki szkolne za granicą, to nie mieszczą one nigdy więcej dzieci ponad 1,000, a przeważnie cyfra uczęszczających do nich waha się pomiędzy 500 — 600.

Taka ogromna liczba dzieci, o ile się ma uczyć w jednym zakładzie, będzie musiała przychodzić z dalszych nawet stron miasta, będzie musiała w słoty i zawieje śnieżne brnąć do szkoły, co na zdrowie

korzystnie wpływać nie może. Dlatego pożyteczniej jest budować mniejsze gmachy, a w rozmaitych punktach, tak przynajmniej, aby każda dzielnica swoją posiadała szkołę.

Oczywiście, w Warszawie największą przeszkodą ku temu jest brak i niezmierna drożyzna placów, ale przy tem wszystkiem nie należy wpaść w przesadę, i z jednej ostateczności przechodzić w drugą.

Wyprowadźmy szkoły z dotychczasowych ciasnych, brudnych, ciemnych i niezdrowych pomieszczeń, ale nie budujmy dla nich koszar.

Prasa nasza, która, jak to już zaznaczyliśmy niedawno na tem miejscu, nie spełnia należycie obowiązku swojego względem prowincyi, lubi rozprawiać o jej uspieniu intelektualnem, i od czasu do czasu nawołuje do rozbudzenia mieszkańców miasta i miasteczek, drzemiących w przerwach pomiędzy działalnością rozmaitych komitetów, z których jeden zajmował się zorganizowaniem straży ochotniczej, drugi walczył z epidemią cholery, trzeci niósł pomoc pogorzelcom i t. d.

Nawoływania te jednak są zazwyczaj ogólnikowe, rzucane na wiatr i — z wiatrem idą. Rzadko towarzyszy im jakiś projekt poważny, jakaś myśl, która-by się domagała wcielenia w życie i pozwalała wróżyć o istotnej zmianie stosunków prowincjonalnych na lepsze.

Taki wypadek rzadki mamy do zanotowania obecnie z powodu omawiania na łamach pism codziennych sprawy „prelegentów podróżujących”. Rzec to nie nowa, ale z powodu, iż dotychczas niewykonana, tak, jakby nowa, i bardzo dobrze uczynił p. Rabski, przypominając nam ją w swoich „Listach z Krakowskiego Przedmieścia”.

Urządzanie odczytów na prowincyi jest niewątpliwie doskonałym środkiem do rozbudzenia jej życia umysłowego. Myśl potrzebuje bodźca, potrzebuje ustawicznej ostrogi w postaci ciągle zmieniającej się fali wrażeń. Bez wrażeń łatwo usypia się i gnuśnieje. Atmosfera wielkich miast z natury rzeczy jest doskonałym bodźcem dla myśli, trzyma ją w ciągłym napięciu, do ciągłej pracy zmusza, otwiera przed nią coraz nowe pola i horyzonty. Atmosfera prowincjonalna, przeciwnie, widnokreśli te zwięża, zacieśnia, polot myśli zniża i po-

zbawia ją sił twórczych. Z apaty i odrętwienia, w które popada w warunkach takich umysł, może go przecież bardzo łatwo wyrwać jedno słowo, może drżącą w nim energię pobudzić do działania i pełną w kierunku pracy. Słowo takie trzeba jednak prowincyi zanieść i podać w formie, która umiała-by zająć, i nietylko zająć, ale i rozerwać, bo rozrywka jest tu czynnikiem bardzo ważnym, który zawsze na widoku mieć należy. Wobec tego zjawia się pytanie dość trudne, jak urządzać odczyty na prowincyi?

P. Rabski stawia nam za przykład tak zwanych *conferencier'ów* francuskich: „Ci ludzie,—mówi on,—a znajdują się pośród nich umysły bardzo wybitne,—stworzyli sobie zawód z popularyzowania wiedzy w drodze wykładów publicznych. Jeżdżą oni od miasta do miasta i z przedziwnym artyzmem, bez togi profesorskiej, w stylu miłych gawędziarzy, rzucają w tłum zgromadzony iskry talentu i wiedzy“.

Takich *conferencier'ów* zawodowych nie mamy jeszcze, takich gawędziarzy publicznych z professyi nie mogły wytworzyć dotychczas nasze warunki, nie mniej jednak jest między nami nie mało ludzi dobrej woli, którzy, posiadając gruntowną wiedzę i naukę, mają do rozporządzenia talent popularyzatorski, a tak szczerze ożywieni są uczuciami obywatelskimi, że chętnie zgodzili-by się na wygłaszanie odczytów i urządzenie pogadanek w miastach prowincjonalnych, podobnie, jak wygłaszają je w Warszawie na rozmaite cele publiczne.

Trudno jednak im samym myśleć o tem, dokąd wyjechać i gdzie jaki odczyt wygłosić. Życie publiczne nie jest u nas jeszcze rozwinięte do tego stopnia, aby można było zjawić się niespodzianie na jakimś zgromadzeniu w obcym sobie mieście, i tam mówić o sprawie nauki, lub sztuki, wobec słuchaczy przygodnych. Tego zresztą niema nigdzie, i zawodowi *conferencierowie* nawet jeżdżą na zaproszenia stowarzyszeń, klubów i t. p., a nie narzucają się nikomu sami.

Jeżeli więc mamy brać seryo projekt rozbudzenia życia umysłowego na prowincyi przy pomocy odczytów, a trudno na projekt ten zapatrywać się inaczej, to należy środek ciężkości sprawy przenieść na prowincję — i słusznie podkreśla to p. Rabski.

Chodzi przedewszystkiem o to, aby po miastach i miasteczkach zawiązały się komitety dla przeprowadzenia korespondencyi, usunięcia trudności miejscowych i organizacyi całego pomysłu.

Komitety takie, czy wyłonią się z pewnego kółka towarzyskiego, czy z istniejących już tu i owdzie klubów i stowarzyszeń sportowych, jak Towarzystwo wioślarskie w Płocku, Włocławku i Kaliszu,

lub Towarzystwo cyklistów, będą mostem pomiędzy publicznością prowincjonalną a prelegentem z Warszawy. Komitety takie określą miejsce, czas, i zajmą się stroną materialną odczytu, prelegent przyjedzie go tylko wygłosić — i wygłosi niewątpliwie wobec sali przepełnionej.

Że tak będzie, wnosić możemy z powodzenia, jakim się cieszą wśród intelligencji prowincjonalnej odczyty uniwersytetu ludowego imienia Mickiewicza w Galicyi. Z głównych siedzib swoich we Lwowie i w Krakowie — instytucya ta wysyła zazwyczaj w dni świąteczne do miast mniejszych swoich popularyzatorów, którzy tam nieraz liczniejsze mają daleko grono słuchaczy, aniżeli w stolicach, liczniejsze zaś dlatego, że z wykładów tych, za skromną opłatą po 5 ct. od osoby, korzysta także i publiczność inteligentna.

I u nas odczyty te powinny być płatne, oczywiście jak najniżej, o tyle, aby pokryć mogły koszta podróży i umiarkowane honorarium autora - prelegenta.

Spółczeństwo przyzwyczało się wprawdzie do bezinteresownej ofiarności w tym względzie ludzi nauki i talentu, składających chętnie pracę swoją na ołtarzu publicznym, ale w danym wypadku nie może i nie powinno chodzić o żadną filantropię. Odczyty na prowincyi nie powinny odbywać się po to, aby przysporzyć grosza tej, lub innej instytucyi, ale, ażeby intelligencya miejscowa, swobodnie i niekępowana niczem mogła się zbierać na nich, słuchać, zastanawiać się i wciągać w ruch umysłowy, panujący w rozmaitych dziedzinach. Odczyty takie powinny mieć charakter czysto towarzyski, poruszać kwestye najżywotniejsze i stawiać je tak, aby wywołały dyskusyę.

Tylko wtedy przyniosą one pożytek należyty i spełnią rolę swoją.

Projekt odczytów tych w interpretacyi p. Rabskiego, o ile wiemy, przyjęty został bardzo przychylnie, i odrazu zyskał sobie licznych zwolenników, a do redakcyi „Kuryera Warszawskiego“ zwrócono się już listownie z kilku miast prowincjonalnych z prośbą o wskazaniu prelegentów.

Pierwszy usługi swoje ofiarował humorysta, p. Bolesław Londyński (Bruno Las), który opracował już pogadankę popularną na temat *Humor i satyry*, i zamierza ją wygłosić, stosownie do wezwań, we wszystkich znaczniejszych miastach Królestwa. Praca ta ogarnia wybitniejsze objawy humoru w literaturze wszechświatowej, ze szczególnem jednak uwzględnieniem piśmiennictwa ojczystego.

Początek więc może być zrobiony łatwo, a jeżeli początek wszelkiego dzieła stanowi istotnie rzecz najtrudniejszą, to możemy mieć

nadzieję, że sprawa odczytów prowincjonalnych weźmie obrót bardzo pomyslny, zwłaszcza, jeśli się nią zaopiekuje Kasa literacka, która najwięcej posiada danych ku temu, ażeby zorganizować i skupić prelegentów. Do niej, jako do instytucji poważnej i znanej, przede wszystkim należy pośredniczenie pomiędzy prowincją a licznymi w Warszawie przedstawicielami nauki, literatury i sztuki. Każdy z nich niewątpliwie chętnie odpowie wezwaniu, a każdy będzie miał coś nowego i własnego do powiedzenia.

Wiele rzeczy świadczy o niskim jeszcze u nas poziomie oświaty. Są sprawy, które gdzieindziej załatwiono już dawno, a które u nas dotąd na drodze swojej spotykają jakiś ciemny opór i walczyć z nim muszą.

Do spraw takich należy szczepienie ospy. Straszna choroba ta ma u nas stałe swoje gniazdo, i co lat kilka wybucha epidemicznie, zabierając liczne ofiary, lub piętnując twarze ludzkie na całe życie. A przecież, zdawać-by się mogło, nic łatwiejszego, jak zła tego uniknąć. Na Zachodzie, zwłaszcza w Niemczech, gdzie istnieje prawo obowiązkowego szczepienia ospy i obowiązkowej co lat dwanaście rewakynacji — ospa należy już do historii. Jak zapewniają, młodsze pokolenie lekarzy nie zna jej wcale. Zdarzają się wprawdzie od czasu do czasu sporadyczne wypadki choroby, ale te zawleczone bywają przez przybyszów skądinąd.

U nas, okazuje się, iż dziesiątki, a nawet setki tysięcy osób nie mają ospy szczepionej, a o szczepieniu powtórnem wcale się nie mówi. Nie dziw więc, że ospa staje się klęską i po dawnemu chodzi po kraju, jak dziewica z chustą czerwoną.

Statystyka lekarska dowiodła tymczasem, że, stosując obowiązkowe szczepienie, można w ciągu lat dziesięciu chorobę tę stłumić zupełnie. Gdzie ogół to rozumie, poddaje się szczepieniu chętnie, i sam pilnuje, aby nie było pośród niego jednostek nieszczepionych. U nas, ani lud, ani intelligencja nawet nie zdaje sobie należycie sprawy z tego, i stąd potrzeba przepisów specjalnych i ostrych, które-by zastąpiły świadomość złego i przymusowo rozpowszechniły szczepienie.

Idzie tu zwłaszcza o rewakcynację, o racjonalne powtarzanie szczepień co czas pewien. Obowiązkiem ludzi intelligentnych jest czuwać nad tem i oddziaływać w tym kierunku na swoje otoczenie bliższe i dalsze. Obowiązkiem pracodawców, właścicieli fabryk i przedsiębiorstw jest przekonywać pracowników swoich o potrzebie szczepienia. Wyborna broszura popularna d-ra Puławskiego: „O ospie“, rozjeść się powinna w setkach tysięcy egzemplarzy i dotrzeć wszędzie. Dwór wiejski i plebania zanieść ją powinny pod strzechy, i ułatwić ludowi szczepienie ochronne.

Towarzystwo higieniczne, które tak gorliwie zajmuje się sprawami higieny społecznej, opracowało już nawet memoriał w sprawie powszechnego szczepienia i rewakcynacji, i złożyło go odpowiednim władzom, zanim jednak sprawa ta doczeka się sankcyi prawodawczej, powinno i ono na własną rękę z ospą walkę prowadzić.

Zdaje nam się, że było-by możliwą rzeczą do wykonania, zorganizować w oddziały ruchome studentów - medyków kilku wyższych kursów, wyjednać dla nich odpowiedny fundusz u władz gubernialnych, i polecić im szczepienie ospy wśród ludności wiejskiej i małomiasteczkiej. Dziesięć takich oddziałów, po jednym dla każdej gubernii, wystarczyłoby zupełnie, a w ciągu kilku miesięcy wakacyjnych, młodzi medycy przenosili-by się ze wsi do wsi, z miasteczka do miasteczka w obrębie gubernii, zatrzymując się, stosownie do potrzeby, po kilka godzin, lub dni, w danej miejscowości, i dokonywując powtórnego szczepienia.

Sprawa zabezpieczenia przed ospą zyskała-by na tem wiele, a młodzież uniwersytecka otrzymała-by rodzaj stypendyum, spłaconego odrazu społeczeństwu pracą pożyteczną.

Radzi-byśmy, aby projekt ten dotarł do Sekcyi higieny ludowej, i tam rozpatrzony został szczegółowo przez lekarzy fachowych, którzy lepiej od nas określą jego stronę techniczną i materyalną. Ze stanowiska publicystycznego — możemy podkreślić tylko znaczenie społeczne sprawy tej dzisiaj, kiedy trwoga, z powodu szerzącej się ospy, ogarnia coraz szersze koła ludności kraju.

Warszawa na polu dobroczynności publicznej stawia coraz śmielsze, coraz lepiej obmyślane kroki, Jest to niewątpliwie dziedzina pracy zbiorowej, w której się u nas najwięcej robi.

Mamy kuchnie ruchome, których wozy kursują już po mieście i rozwożą ciepłą strawę ku ogólnemu zadowoleniu biednej ludności miasta, mamy przytulki rozmaite, wśród których do najpożądańszych należy przytułek dla robotników i rzemieślników, niezdolnych do dalszej pracy. Inicytorem przytulku tego jest p. Marceł Kłyszewski, który w roku 1892 jeszcze wystąpił z projektem założenia instytucji, zapewniającej dach nad głową i chleb znudzonym pracą. Projekt ten poparła i urzeczywistniła w roku 1896 delegacja Sekcji IV rzemieślniczej działu Tow. pop. przem. i handlu. Założony podówczas przytułek przyjęło pod protektorat swój. Towarzystwo dobroczynności. Trwale jednak podstawy zyskuje on dopiero dzisiaj z chwilą pozyskania własnej siedziby w umyślnie na ten cel wzniesionym gmachu murowanym przy ulicy Młynarskiej.

Gmach ten jest wysoką trzypiętrową oficyną, która zajmuje za ledwie część obszernej posesyi, na ten cel nabytej. W miarę wzrostu instytucji przybywać będą do obecnego inne pawilony. Tymczasem dom otoczony jest ogrodem owocowym. W ogrodzie tym wznosi się prowizoryczna kaplica drewniana w kształcie altany, którą zastąpi później fronton z większą kaplicą murowaną.

Urządzenie domu na razie zawiera tylko najniezbędniejsze przedmioty, przeznaczone dla piętnastu rezydujących w nim pensjonarzy. Stopniowo jednak urządzenie to będzie uzupełniane, zwłaszcza, że dom obliczony jest na pomieszczenie sześćdziesięciu osób.

Sale i korytarze są wysokie, przestronne, widne, dobrze przewietrzane i zaopatrzone w kinkiety gazowe.

Rozkład jest następujący: w suterenie mieści się duża jadalnia tuż obok kuchni z piecem gazowym. Tamże znajduje się obszerna pralnia higieniczna i spiżarnia. Na parterze są trzy sale dwuokienne, każda z oddzielnym wejściem na korytarz, a prócz tego dwa pokoje mniejsze, każdy na cztery osoby.

Pierwsze, drugie i trzecie piętro mają tylko po trzy sale, pokójów mniejszych już tam nie znajdujemy. W korytarzach, nawprost drzwi, prowadzących do sal, umieszczono szafy podwójne, przeznaczając jedną szafę dla dwóch pensjonarzy.

Tak wygląda przytułek dla zniedołężniałych robotników i rzemieślników. Po ciężkiej pracy warsztatowej, po długich latach, przebytych wśród huku młotów, świstu transmissyi, warkotu kół, dymu i kurzu — znajdują tam oni cichą przystań, znajdują bardzo zasłużony wypoczynek, wygodne i higieniczne pomieszczenie, kęs chleba na starość.

Organizatorom zakładu, przedewszystkiem zaś panom: Janowi Szlenkierowi, jako prezesowi jego zarządu, i Marcelemu Kłyszewskiemu, jako wice-prezesowi, należy się szczerza wdzięczność ogółu za pracę, którąłożyli celem rychłego wzniesienia i urządzenia własnej siedziby dla przytułku, uznanie zaś przypisać powinno w udziale wszystkim przedsiębiorcom, przemysłowcom i rzemieślnikom, którzy, jako pracodawcy, składkami swojemi pokryli koszta budowy, przeznaczonej dla tych, którym zawdzięczają własny dobrobyt.

Poważne posiada znaczenie dla przemysłu górniczego Królestwa i dla sprawy węglowej, od lat kilku tak bardzo niepokojącej mieszkańców Warszawy, świeżo zapadła decyzja budowy nowych kolei w Zagłębiu Dąbrowskiem, właściwie, b o c z n i c k o l e j o w y c h.

Sprawę tę rozpatrywał w roku zeszłym V zjazd górniczy, który w uchwałach swoich zaznaczył naglącą potrzebę wybudowania trzech linii podjazdowych: jednej w północnej części Zagłębia i dwóch w południowej.

W północnej części projektowano bocznice toru kolei Warszawsko - Wiedeńskiej od stacyi Ząbkowice do wsi Sączowa, ogólnej długości wiorst dwadzieścia; w południowej zaś—od toru kolei Warszawsko - Wiedeńskiej pomiędzy stacyami Ząbkowice a Strzemieszyce do kopalni węgla „Ignacy“ (cztery wiorsty), i od stacyi Strzemieszyce Iwangr. - Dąbr. szerokotorową bocznice długości piętnaście wiorst w kierunku zachodnim.

Linia Ząbkowice - Sączów kierunkiem swoim przecina tak zwane podredenskie pokłady węgla, mniej obfite od redenskich, ale za to spoczywające nie tak głęboko, a więc łatwiejsze do eksploatacyi. Eksploatacyja ta rozwinąć się powinna znacznie z chwilą pozyskania linii dla terrenu, dziś już posiadającego kilka pozakładanych szybów, z których jednak wydobywanie węgla

wstrzymano dla braku odpowiednich warunków komunikacyjnych. Obecnie znajdują się niewątpliwie kapitały na dalsze, intensywne prowadzenie robót, zwłaszcza, że węgiel z okolic Sączowa będzie miał zbyt zapewniony, w kołach fachowych bowiem uznano go za zdalny do „koksowania“. Jeśli tak jest istotnie, to fabryki metalurgiczne Królestwa pozyskają krajowe źródło dostawy koksu, i wyzwolą się z zależności od dostawców, zagranicznych, co, chociażby tylko częściowo osiągnięte, dla przemysłu krajowego już wielki plus stanowi.

Zrozumieli to dobrze miejscowi przemysłowcy i, oceniając znaczenie bocznic północnej dla siebie, oświadczyli na ostatnim zjeździe górniczym gotowość przyjęcia na rachunek własny kosztów skupu ziemi, potrzebnej pod tę linię.

Co się zaś tyczy linii południowych, to w obydwóch zainteresowane jest bardzo Towarzystwo Sosnowieckie, które, doprowadzając do kopalni „Ignacy“, jako do krańcowego punktu jednej z bocznic, swoje kolejki prywatne, zyskuje w ten sposób nowe połączenie z linią kolei Wiedeńskiej, z pominięciem zawsze przepełnionych ładunkami — Dąbrowy i Sosnowca, które już dzisiaj nie mogą należycie go obsługiwać, a z chwilą otwarcia nowych szybów, musiały-by z ekspedycją znacznie zalegać ku szkodzie Towarzystwa i jego odbiorców. Z tego też względu Towarzystwo Sosnowieckie podjęło się chętnie ponieść wszelkie koszta, wynikające ze skupu ziemi pod tę linię. Bocznicę zaś drugą, jako prawie wyłącznie jego interesom służącą, ofiarowało się Towarzystwo wybudować na przestrzeni czterech wiorst kosztem własnym pod warunkiem, że skarb, na rzecz którego linia ma przejść po wybudowaniu, zwróci mu potem koszta budowy bez procentu z opłat taryfowych za węgiel, który z tej bocznicy będzie przechodził na kolej Iwangrodzką, z potrąceniem kosztów przewozu, wynoszących $\frac{1}{125}$ kop. od puda i wiorsty. Przytem wszystkim Towarzystwo gwarantuje jeszcze skarbowi przewóz sześciu milionów pudów węgla rocznie.

Wszystkie te kwestye rozpatrywała Komisya nowych kolei w Petersburgu, a w obradach jej w charakterze rzeczoznawców uczestniczyli dodatkowo przedstawiciele: generał - gubernatora warszawskiego, zjazdów górniczych w Królestwie Polskiem, kolei Wiedeńskiej, Towarzystwa Sosnowieckiego i właściciel tramwaju elektrycznego sosnowiecko-dąbrowskiego, p. Ciechanowski.

Po wyczerpującem zbadaniu sprawy, postanowiono: Oddać kolei Warszawsko - Wiedeńskiej budowę pierwszych dróg wążkotorowych bocznic pod tym warunkiem, iż kolej ta wybuduje je za wypuszczone obligacye, ziemię zaś, potrzebną pod budowę, wykupią zainteresowani

przemysłowcy, zgodnie ze swojemi deklaracyami. Co zaś do budowy linii trzeciej, szerokotorowej, od Strzemieszyc Iw.-Dąbr.—Komisya postanowiła przyjąć propozycyę Towarzystwa Sosnowieckiego co do budowy owych czterech wiorst. Przedłużenie natomiast tej bocznicy dalej na Zachód odłożono na czas nieograniczony, gdyż obecnie budowa naraziła-by skarb na znaczne koszta z powodu drożyzny ziemi.

Pod wymienione koleje powinna być, jak opiewa orzeczenie Komisyi, wykupiona tylko sama powierzchnia ziemi, przyczem w zawieranych co do tego umowach ma być wymienione, że kolej obowiązuje się wynagrodzić właścicieli wnętrza za wyrządzone straty według praw, które będą w tym celu wydane i ogłoszone.

Komisya zastanowiła się również nad stratami, jakie z powodu wybudowania pomienionych bocznic poniesie właściciel tramwaju elektrycznego, p. Ciechanowski. Uchwalono mianowicie uwolnić go od obowiązku budowania w umowie zastrzeżonych, a mniej korzystnych, linii tego tramwaju, oraz zamieniono opłatę skarbowi, którą, według koncessyi, płacić miał od każdej wiorsty wybudowanego tramwaju, na **w y n a g r o d z e n i e** w ilości 5% od dochodu **b r u t t o**.

W ten sposób Zagłębie Dąbrowskie pozyskało trzy nowe i ważne arterye komunikacyjne, których przeprowadzenie niewątpliwie odbije się bardzo korzystnie na rozwoju ekonomicznym tej, tak szczerze uposażonej przez naturę, części kraju naszego.

W dniu 8 listopada roku bieżącego zmarł w Warszawie ś. p. Jan Trejdosiewicz, były profesor uniwersytetu, znany z licznych prac naukowych w dziedzinie geologii, człowiek umysłu głębokiego, zacnego serca i szerokich pojęć obywatelskich.

Oto kilka dat z życia, pełnego pracy i zasług.

Ś. p. Jan Trejdosiewicz urodził się w Warszawie dnia 15 maja 1834 roku. W roku 1853 ukończył oddział mechaniczny byłego gimnazjum realnego w Warszawie, w roku 1855 b. Instytut gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie, a w roku 1859 oddział nauk przyrodniczych wydziału fizyczno-matematycznego Uniwersytetu petersburskiego. W roku 1860 był wysłany przez b. wydział górnictwa do Akademii górniczej we Freiburgu, w Saksonii, a po dwuletnim tam pobycie powrócił do kraju i powołany został na profesora

geologii w Instytucie Nowoaleksandryjskim. W r. 1864 otrzymał stopień naukowy doktora filozofii od uniwersytetu w Heidelbergu. W roku 1867 powołany został na katedrę petrografii do b. Szkoły Głównej warszawskiej, a w roku 1869 otrzymał katedrę geologii i paleontologii. W roku 1872 doktoryzował się ponownie w uniwersytecie charkowskim, a jednocześnie zatwierdzony został na posadzie docenta uniwersytetu warszawskiego. W roku 1881 został profesorem nadzwyczajnym, w roku 1889 — profesorem zwyczajnym. W roku 1890 uwolniony został od obowiązków i przedstawiony do emerytury. Po śmierci ś. p. Jana Pankiewicza, objął kierownictwo prywatnej szkoły realnej, na którym-to stanowisku do ostatnich dni pozostawał.

Z prac naukowych zmarłego na wyróżnienie zasługują: O geologii i jej postępach; O formacjach przejściowych gór kieleckich w Królestwie Polskiem; Grunt; Opis badań geologicznych, dokonanych w Królestwie Polskiem w roku 1878; O porfirze w Królestwie Polskiem; O utworach trzeciorzędowych gubernii Lubelskiej; Mapa geologiczna gubernii Lubelskiej, ułożona na podstawie własnych badań, i wiele innych.

Przez czas pewien ś. p. Jan Trejdosiewicz był także radaktorem miesięcznika „Ateneum“.

Niechaj mu lekką będzie ziemia, którą badał, jako uczony, a kochał, jak syn, przywiązany do niej sercem i duszą.

Wiadomości bibliograficzne.

— Krakowska Akademia Umiejętności wydała swój rocznik z roku 1899/900.

— Wyszedł tom XV seryi II Rozpraw Krakowskiej Akademii Umiejętności, Wydziału filologicznego (ogólnego zbioru tom trzydziesty). Znajdujemy w tym tomie rozprawy: L. Sternbacha: „De Georgii Pisidae apud Theophanem aliosque historicos reliquis“; tegoż: „De Pisidae fragmentis a Suida servatis“; „Observationes in Pisidae carmina historica“, i „Analecta Avarica“.

— Jako hold, złożony Wszechnicy Jagiellońskiej w roku jubileuszowym, wydała Krakowska Akademia Umiejętności część pierwszą dzieła pod tytułem: „Mikołaj Kopernik“, zawierającą studia nad pracami Kopernika, oraz materiały biograficzne, opracowane i zebrane przez Ludwika Antoniego Birkenmejera. Dzieło to będzie w swoim czasie przedmiotem obszerniejszej oceny.

— Nakładem Krakowskiej Akademii Umiejętności wydane zostały następujące prace: ks. Jana Fijołka: „Mistrz Jakób z Paradyża i Uniwersytet Krakowski w okresie soboru Bazylejskiego“ (dwa tomy); d-ra Bronisława Kruczkiewicza: „Petri Royzii Aurei Alcagnicensis Carmina“ (dwie części). Jest to piąty tom wydawnictwa, przedstawiającego poetów łacińskich w Polsce aż do Jana Kochanowskiego. Wyszedł wreszcie wydany sumptem Akademii pierwszy tom „Słownika gwar polskich“, ułożonego przez Jana Karłowicza.

— Jan Feliks Sikorski opracował rzecz o „Uprawie łąk i pastwisk“, pracę swoją ofiarował Krakowskiemu Uniwersytetowi z powodu jego jubileuszu.

— Wilhelma Bogusławskiego „Dziejów Słowiańszczyzny północno - zachodniej aż do wynarodowienia Słowian Zaodrzańskich“, wyszedł w Poznaniu tom IV, nakładem autora.

— Walery Przyborowski napisał „Historję sześciu miesięcy“ — ustęp z dziejów 1862 roku. O pracy tej wkrótce pomówimy obszerniej.

— „Potęga wojenna Rosyi w świetle najnowszych dokumentów urzędowych“. Książka ta wyszła we Lwowie.

— „Księgi herbowej rodów polskich“, wydawanej przez Juliusza hr. Ostrowskiego, wyszedł z druku zeszyt X.

— Wznowione wydawnictwo „Encyklopedyi wychowawczej“ posuwa się systematycznie. Nowa redakcyja wydała zeszyt III tomu V, zawierający artykuły: Gramatyka polska, Gramatyka francuska, Gramatyka niemiecka, Grecya, Gregorowicz Jan, Grodek Ernest-Gotfryd, Groźba, Gry i zabawy, Grzegorz z Sanoka, Grzeczność — niegrzeczność, Grzepski Stanisław, Guizot Franciszek, Guizot Paulina, Gustawicz Bronistaw i Guwerner — guwernantka.

— Wyszedł z druku zeszyt VIII „Słownika języka polskiego“, wydanego pod redakcyą J. Karłowicza, A. Kryńskiego i W. Niedźwiedzkiego, i zawiera wyrazy od Jednoskośny do Kcenzysko na 160 stronach ósemki większej.

— Do „Biblioteki przyrodniczej *Wszechświata*“ przybył „Podręcznik mineralogii“ prof. D. G. Tehermaka, przełożony z piątego wydania niemieckiego, uzupełniony i przedmową historyczną opatrzony przez Józefa Morozowicza.

— Zręczny popularyzator, Feliks Vermiński, przetłumaczył „Opowiadania o elektryczności“ Johna Munro.

— Niemordowany badacz i komentator naszej przeszłości, Zygmunt Gloger, wydał sympatyczną publikację, pod tytułem: „Rok polski w życiu, tradycji i pieśni“, jeden tom (cztery zeszyty), z interesującymi ilustracjami. Z pięknym tem wydawnictwem nie omieszkamy zaznajomić czytelników „Biblioteki“.

— Kazimierza Przerwy-Tetmayera „Poezyi“ wychodzi już druga edycja. Pierwszy tom wydała niedawno firma Gebethnera i Wolffa.

— Jako nakład tejże firmy ukazało się czterotomowe wydanie jubileuszowe powieści Henryka Sienkiewicza: „Krzyżacy“, której obszerną ocenę podamy w zeszycie grudniowym.

— „Legenda“, „Kto ona“ i „Euthanasya“, trzy nowelle Sewera, tworzą spory tom, który wyszedł u Gebethnera i Wolffa.

— Kazimierz Witte wydał zbiór nowell i obrazków, pod tytułem: „Szkice z pamięci“.

— „Zginęła głupota!“ — taką ma nazwę wydana nakładem A. G. Dubowskiego powieść z „niedalekiej przyszłości“ Jana Mieroszewicza.

— „Biblioteki dzieł wyborowych“ tomy 154, 155 i 156 wyszły z druku i zawierają powieść czeską Karola Raisa, pod tytułem: „Patryoci z zakątką“, w przekładzie J. Kietlińskiej Rudzkiej.

— „Sonata Kreutzerowska“ Leona Tolstoja doczekała się drugiego przekładu. Przetłumaczył ją z najnowszego wydania oryginału i zaopatrzył wstępem p. Kazimierz Daniłowicz - Strzelbicki. Do tej edycji dodane też zostały szkice: „Jeszcze o sonacie Kreutzerowskiej“, „Do kobiet“, „Z powodu zarzutów o artykule do kobiet“ i „Miłość“.

— Historię pożytecznego człowieka, pod tytułem: „Wojciech Kłos“, napisała p. Jadwiga Szczawińska.

— Panna Marya Weryho zaznajamia małe dzieci z „Nieproszonemi gośćmi“ ze świata zwierzęcego. Pożyteczna książeczka urozmaicona jest ilustracjami.

— Wyszedł nakładem firmy Paprockiego „Kalendarz powszechny“ na rok 1901.

— W trzecim zeszyście „Świata artystycznego“, który ukazał się niedawno, znajdujemy: wiersz Maryi Konopnickiej, pod tytułem: „Którzy idziemy...“, dokończenie artykułów: „Władysław Łuszczkiewicz“ Stanisława Tomkowicza i „Nieziszczona przepowiednia“ Ferdynanda Hösicka; „Benvenuto Cellini w czterechsetną rocznicę urodzin artysty“ przez Władysława Nawrockiego; dalszy ciąg rozpraw: W. Gersona: „Kilka głosek języka plastycznego“; M. Massoniusa: „O pierwiastku poetyckim w sztukach plastycznych“; Antoniego Jabłońskiego: „Przodownia sztuk plastycznych“, wreszcie „Kronikę sztuk pięknych“.

— „Herbarza polskiego“ Adama Bonieckiego wyszedł zeszyt X tomu II-go, który skończył się na tym zeszyście, zawierającym berby: Chełmickich, Chełmińskich, Chełmońskich, Chełmowskich, Chełmskich, Chełstowskich, Chęcińskich, Chlebowskich, Chlewickich, Chlewińskich, Chlewskich, Chłudzińskich, Chłuskich, Chłapowskich, Chłasków, Chłasowiczów, Chłędowskich, Chłocholów, Chłopeckich, Chłopickich, Chłodów, Chmarów, Chmieleckich i Chmieleńskich.

O D E Z W A.

Do większej pracy pod tytułem: „Czasy namiesznicstwa ks. Paszkiewicza 1831 — 1856“, pragnął-bym, między innymi, użytkować w najszerszej mierze świadectwa współczesne polskie, drukiem nieogłoszone. Niniejszem upraszam osoby, będące w posiadaniu niewydanych pamiętników, lub innych dokumentów, dotyczących całości, lub części wskazanego okresu, o użyczenie mi ich do rzeczonyj pracy. Odpowiedne papiery proszę przysyłać pod moim adresem do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej“, Warszawa, Warecka 14. Pożądane jest w każdym wypadku dołączenie dokładnej wskazówki: 1) o ile właściciel nadsyłanych papierów życzy sobie zachowania w dyskretyi ich pochodzenia przy użytkowaniu ich w mojej pracy; 2) jakie wogóle czyni zastrzeżenia pod względem ich użytkowania (dosłownie, czy w streszczeniu, w całości, czy częściowo); 3) na jaki czas papiery zostają użyczone, oraz dokąd i jaką drogą mają zostać zwrócone?

Inne pisma polskie proszone są o łaskawe przedrukowanie niniejszej odezwy.

Warszawa,
22 października 1900 roku.

Szymon Askenazy.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

Michał książę Radziwiłł.

ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA.

„Encyklopedia Wychowawcza“, wydawana od roku 1888 do 1894 przez księcia Jana Tadeusza Lubomirskiego, Edmunda Stawiskiego, Stanisława Przytuńskiego oraz Józefa Kazimierza Plebańskiego, zaczęła na nowo wychodzić poszytami miesięcznymi od 15 października 1900 roku, jako dalszy ciąg wydanych tomów czterech, pod kierownictwem Romana Plenkiewicza, przy współdziałaniu grona współpracowników, które składają: Andrychiewicz Władysław, Chlebowski Bronisław, Chmielowski Piotr, Dickstein Samuel, ks. Gralewski Jan, Karpowicz Stanisław, Król Kazimierz, Nitowski Jan i Struve Henryk.

O konieczności doprowadzenia takiego dzieła do końca było-by mówić zbyt wiele. Wobec trudnych warunków ekonomicznych i potrzeby zdobywania coraz szerszej wiedzy we wszystkich jej kierunkach i zastosowaniach w życiu; wobec obowiązku doskonalenia ctycznego naszej młodzieży i skierowania jej ku wysokim ideałom moralnym; wreszcie, wobec braku należytego pojmowania środków, do tego celu wiodących, nieodzownem jest: oprócz wychowanie młodych pokoleń na zasadach, uznanych przez doświadczenie wiekowe i naukę, z uwzględnieniem najnowszych jej wyników i rzeczywistego postępu.

A skoro od umiejętnego stosowania tych zasad zależy prawidłowy rozwój sił fizycznych i duchowych kształcącej się młodzieży, jej szczęście, lub niedola w przyszłości, wyższy stopień udoskonalenia, lub zwicnięcie jej pod względem umysłowym, lub moralnym: ulegać wątpliwości nie może, iż gruntowna znajomość pedagogiki jest najważniejszym zadaniem dla wszystkich kierowników tak w domowym, jak i publicznym wychowaniu.

Temi względami powodowani, założyciele „Encyklopedyi“ zamierzali w niej objąć i udostępnić całość wiedzy pedagogicznej, zarówno w teorii, jak i w jej historycznym rozwoju dla najszerszych kół wychowawczych. Obecna Redakcja, kierując się temi samymi względami i podejmując przerwany wątek pracy pierwszych założycieli, pragnie dzieło to, z pomocą szerokiego koła współpracowników, w tym samym duchu doprowadzić do końca.

Dotąd przyrzekli zasilać wydawnictwo, lub już nadesłali swe prace:

Amborski J., Barabasz M. ks., Bieńkowski B., Bistel F., Chrzanowski I. Chudzyński A., Cynerman ks., Danysz A., Drzażdżyński St., Erzepki B., Finkiel L., Gębarski S., Giżycki J., Gubrynowicz B., Hahn W., Jełowicki A. ks., Konie H., Karbowski A., Konopczyński E., Kopezyński St., Korzeniowski J., Kozłowski Wł., Kramsztyk St., Krasnowolski A., Kreck Fr., Kąkowski Fl., Kazarewicz profesor, Lebiński W., Łęgowski profesor, Łuczycycki Kl., Majehrowicz Fr., Marrené W., Teofil Matuszewski ks., Miaskowski ks., Moszczeńska I., Nowicki Wł., Nussbaum H., Oltuszewski Wł., Osterloff W., Parylak P., Radliński I., Rowiński M., Rychliński K., Schneider St., Skorski A., Smoleński Wł., Szeniec profesor, Szye A., Trepka M. E., Trzaskowski B., Urbanowski St. Warmiński ks., Weryho M., Wróblewski K., Załęski St. ks.

Redakcyja zamierzyła całość „Encyklopedyi“, licząc w to wydane dotąd tomy cztery i nieodzowne dopełnienia, zawrzeć najwyżej w tomach piętnastu.

WARUNKI PRENUMERATY.

Prenumeratę na „Encyklopedyę Wychowawczą“ przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne. Prenumeratorowie za każdy tom, obejmujący arkuszy 40, opłacają rubli 3 kopiejek 20, z przesyłką rubli 4; za każdy zeszyt pięcio-arkuszowy kopiejek 40, z przesyłką 50.

Nadto, dla ułatwienia nowym prenumeratorom nabycia całości „Encyklopedyi“, cena wydanych czterech pierwszych tomów obniża się z ustanowionej dawniej rubli 20, na rubli sześć.

Skład główny i ekspedycyja „Encyklopedyi Wychowawczej“ znajduje się w Warszawie, w księgarni Gebethnera i Wolffa, Krakowskie Przedmieście 15.

Adres Redakcyi: Warszawa, Sosnowa Nr 1.
